Artur Chojecki

Żywot średniego człowieka

~~Rozdział I~~

~~Rodzina, dzieciństwo, lata szkolne.~~

✠

Przedmowa

Zwalanie winy z siebie na drugiego jest stare jak świat, a raczej jak Adam i Ewa. – „Niewiasta, którąś mi dał za towarzyszkę, dała mi z drzewa i jadłem" tłumaczył się naiwnie praojciec wszystkich pantoflarzy. A ileż to razy słyszymy: „Josiu, nie ciągnij kota za ogon! – To mnie Zosia namówiła, proszę mamy", albo: „Iksiński, przestań hałasować, bo wylecisz z klasy! – To nie ja, panie profesorze, to Igrekowicz".

Toteż, jeśli Opinia zwróci się do mnie z wyrzutem: „Chojecki, po co piszesz pamiętniki, przecież nie jesteś sławnym człowiekiem, kogo to wszystko obchodzi, kto to będzie czytać?" – będę miał doskonałą wymówkę: Proszę pani Opinii, ja nie chciałem, to mnie Michalski namówił." A że ten Michalski, to nie byle jaki Michalski ale sam prezacny pan Stanisław Michalski, ostatnio dyrektor Funduszu Kultury Narodowej, więc będę miał mocno zabezpieczone tyły.

On to bowiem, uważając, że jak ów Odyseusz, co to:

Siła różnych miast widział, poznał tyle ludów
Zwyczaje... (tłum. Lucjana Siemieńskiego) (N.B. petitem)

tak i ja, com z niejednego pieca chleb jadał, bywał pod wozem i na wozie (częściej pod wozem...), będę mógł ze swoich wspomnień coś ciekawego dla ogółu wyciągnąć, że te wiele takich rzeczy, które mi się wydają błahe i powszednie, będą mogły dla przyszłych pokoleń żywą ilustracją minionej epoki, że wreszcie nie ma takiego tumana, który by się czasem nie zdobył na trafną obserwację, słowem na coś nie przydał i t.d.

Uległem temu naciskowi; „czym zawinił, trudno dociec", jak śpiewał moniuszkowski „Stary Kapral", a raczej niech dociekają czytelnicy. Starałem się sprawy ściśle osobiste o ile możności pomijać, a przynajmniej sprowadzać do minimum i, w myśl rady pana Stanisława, pisać o ludziach i rzeczach, które widziałem. Oczywiście w pierwszym rozdziale ten element osobisty będzie się wyraźniej uwydatniał; im dalej, tym będzie malał na rzecz możliwie obiektywnego opisu i oceny zdarzeń i ludzi. ~~Zamiarem moim nie było dać tu~~ Nie zamierzałem tu dać jakiejś „vie romancée" Artura Chojeckiego, ale obraz czasów, w jakich mu żyć wypadło. Mogłem wiele rzeczy pominąć, ale niczem nie dodał.

Dixi et salvavi animam meam!

~~Et nunc:~~ A teraz:

~~ne scribam in vanum,~~ By rzecz nie szła na bezdroża,
~~duc Dei Mater manum.~~ Prowadź pióro, Matko Boża!

A. C.

Warszawa 16. VIII. 1943 r.

Rozdział I

Rodzina, dzieciństwo, lata szkolne.

Rodzina Chojeckich herbu Lubicz, głównie na Mazowszu i Podlasiu rozsiadła, należy do tej średniej szlachty, tak licznej w całej Polsce, która w ciągu jej dziejów stanowiła najważniejszą warstwę społeczną, rzec by można, firmissimum Reipublicae fundamentum na opoce ludu wiejskiego założone.

Ród Chojeckich nie wydał ani świętych, ani bohaterów, ani geniuszów; w dziejach ojczyzny Chojeccy nie odgrywali ról pierwszoplanowych, historia nie opromieniła tego nazwiska jakąś aureolą chwały, do zaszczytów się nie pięli: nie znajdujemy wśród nich senatorów, wojewodów, czy hetmanów. Ale za to nie było też zdrajców, łotrów, sprzedawczyków, infamisów. Typowe średniaki, na ogół poczciwe i pożyteczne.

Na powierzchnię tej bezimiennej masy wynurza się w XVII w. postać Wielebnego O. Chrystyna Chojeckiego (+ 1678), zakonnika reguły Św. Franciszka de Observantia (Reformaty). Odznaczał się on wielką gorliwością w pełnieniu obowiązków swego powołania i życiem ascetycznym. Dwukrotnie obrany prowincjałem małopolskim, w klasztorze lwowskim świątobliwego życia dokonał.

W w. XVIII Karol Lubicz Chojecki, konfederat barski, opisał swe przygody i niewolę moskiewską w książeczce p.t. „Pamięć dzieł polskich, podróż i niepomyślny sukces Polaków", wydanej w Warszawie w r. 1789. W tej samej epoce Józef, Jan, Kazimierz Chojecki (+ 1808), dziedzic na Choi i Rzążewie, miecznik łukowski, posłuje z ziemi liwskiej na sejm w 1752 r., w r. 1764, jako poseł lubelski, podpisuje elekcję Stanisława Augusta, później bierze udział w konfederacji barskiej.

Do większej fortuny i znaczenia doszła ukraińska gałąź naszej rodziny. Historia zanotowała nazwiska Franciszka Kazimierza Chojeckiego (+ 1779), chorążego kijowskiego i posła na sejm z województwa kijowskiego. oraz jego synów Hilarego i Jana Nepomucena (1748 - 1817). Ten ostatni, posłując na sejm czteroletni z województwa kijowskiego, zyskał sobie sławę jednego z najgorliwszych zwolenników nowej konstytucji.

Wreszcie w XIX w. dość znacznym cieszył się rozgłosem Edmund Chojecki (1822-1899), brat przyrodni mojego dziadka, literat, publicysta i polityk, ale o tym ~~wspomnę~~ jeszcze wspomnę później.

Nie robiłem poszukiwań archiwalnych do drzewa genealogicznego i nie wiem, jak daleko wstecz można by dzieje mojej rodziny prześledzić. Wiem tylko, że na przełomie wieków XVIII i XIX zanotowano nazwiska mego prapradziadka Franciszka Chojeckiego „dziedzica wsi Kuligowa" i brata jego, Adama, sędziego Trybunału Warszawskiego. Nędzne to ~~musiało~~ widać było owo „dziedzictwo", skoro syn Franciszka i Barbary z Glinków, a mój pradziad, Andrzej-Ksawery Chojecki, musi chodzić dzierżawami, co mu jednak wyszło na dobre, bo się dorobił znacznego majątku. Tak więc, jako 25-letni młodzieniec, żeniąc się z 16-letnią Marianną Łaską, córką Karola Łaskiego, stolnikowicza Łukowskiego i Teofili z Moczulskich, jest jeszcze tylko „possesorem" (dzierżawcą) Woli Skromowskiej w pow. lubartowskim, w dziesięć lat później, ~~poślubiając~~ prowadząc do ołtarza Karolinę Taszycką, jest już dzierżawcą Klucza Wiskowskiego w pow. radzyńskim, za trzecią żoną, Teofilą Wyrzykowską, bierze niebrzydki jak na owe czasy posag złp. 60.000, a gdy wreszcie w 1837r., ~~już~~ jako stateczny przeszło 50-letni potrójny wdowiec, staje na ślubnym kobiercu z Elżbietą Banczakiewiczówną, jest już ~~dziedzicem~~ właścicielem dóbr Gródek i Motożew w pow. sokołowskim i radcą gubernialnym podlaskim.

Malowniczo nad wysokim brzegiem Buga panujący Gródek z odwiecznymi lipami, tworzącymi jakby altanę koło domu, z dużym sadem, w dobrej ~~pszenicznej~~ pszennej glebie położony, był wymarzoną siedzibą dla starzejącego się pradziadka. Poprzedni właściciele, Załuscy, zapatrzeni widocznie na Puławy, ozdobili rezydencję oficyną z kolumnami w pseudoklasycznym stylu i lodownią, wzorowaną na Świątyni Sybilli. Sam dom mieszkalny, nic nie udający, ~~z wysoki~~ dzikim winem obrośnięty, z wysokim, gontami krytym, dachem, był zwykłym wiejskim szlacheckim dworem, obliczonym bardziej na wygodę niż na estetykę i właśnie dlatego ujmował pięknością rzeczy prostych a celowych. Mój pradziad widocznie doskonale się w nim czuł, bo go nie ozdabiał ani przerabiał, a jako dobry gospodarz więcej dbał o budynki folwarczne niż o własne mieszkanie. Do dziś dnia w tamtych stronach krąży legenda o sąsiedzie, który, wybrawszy się do pana Ksawerego w odwiedziny, kazał woźnicy zajechać nie przed dwór ale przed nowo wybudowaną i znacznie okazalej wyglądającą owczarnię.

Z pierwszego małżeństwa p. Ksawery miał dwóch synów: Adama-Ksawerego-Artura trojga imion i Władysława oraz córkę Celinę, późniejszą Iżykowiczową; z drugiej żony wspomnianego już Edmunda-Franciszka-Maurycego, z trzeciej małżonki i z czwartej już się potomstwa nie dochował. O wychowanie dzieci wielce dbał p. Ksawery i dał im, jakie w owym czasie mógł, najlepsze. Najstarszy Artur, mój dziadek, ukończył w r. 1830 Liceum Warszawskie. Mam właśnie przed sobą czcigodny dokument, w którym rektor i profesorowie tej szkoły stwierdzają

w języku łacińskim, że ~~Artur Ch~~ „iuvenis" Artur Chojecki, poczyniwszy we wszystkich wykładanych tam naukach „progressus sufficientes", uznany został za zdolnego do studiów akademickich. Wśród podpisanych widzimy m.i. rektora Lindego, Wacława Aleksandra Maciejowskiego, profesora łaciny i greki, i Mikołaja Chopina, profesora języka francuskiego i literatury. Jednakże z tej zachęty do studiów akademickich mój dziadek nie skorzystał i wolał od razu osiąść na stałe w Gródku, gdzie pędził żywot poczciwy, spokojny i niefrasobliwy, zostawiwszy po sobie pamięć dobrego i zacnego człowieka, miłego sąsiada, ale nieszczęsnego gospodarza, który zebraną przez ojca swego fortunę nie tylko uszczuplić ale zgoła do ruiny doprowadzić potrafił.

Przyrodni brat jego, Edmund, miał zupełnie inne usposobienie. Ponosił go temperament, który ~~już jako niespełna piętnastoletnie ma~~ już niespełna piętnastoletniemu chłopcu kazał wykradać się ze stancji uczniowskiej w Warszawie na maskarady. Oto jakimi słowy strofował go wtedy ~~[illegible]~~ stroskany ojciec:
„Bardzo się zmartwiłem o awanturach iakie ty porobiłeś na Pensyi i żeś zasłużył na karę.... czy młody chłopiec po kilka dni powinien się absentować z pensyi..... czy ty w domino powinieneś się był znaydować na reducie, to nie dla ciebie jeszcze mieysce.... czyż nie ~~lepiej~~ lepiey zbywaiący czas poświęcić ~~muzyce~~ udoskonaleniu się w muzyce..... dopóki się tych nie pozbędziesz wad, iako to: zarozumienia, uporu, nieuległości, lenistwa – nigdy nie wyidziesz na człowieka takiego, któren by zyskał powszechną opinią."

Mimo te wady (a może dzięki nim) Edmund wcześnie rozpoczął żywot samodzielny i dosyć hałasu na świecie narobił. Już w r. 1841, a więc jako 19-letni młodzieniec współpracuje w „Gazecie Warszawskiej" i przez kilka miesięcy redaguje jej dodatek literacki „Echo" (E. Cho.), gdzie drukuje m.i. urywek „Kartofli" Mickiewicza. Przez pewien czas pełni obowiązki sekretarza teatrów warszawskich, co mu daje sposobność romansowania z aktorkami. Wyjeżdża niebawem za granicę, aby nigdy już do Polski nie wrócić. Widzimy go to w Paryżu, to w Pradze, gdzie w r. 1848 bierze udział w Zjeździe Słowiańskim, (x) to w Egipcie ~~gdzie poz i zyskuje względy~~ gdzie pozyskuje względy chedywa, to we Włoszech, gdzie się zbratał z ks. Napoleonem (Plon-Plon), stryjecznym bratem przyszłego cesarza Napoleona III, to w Szwajcarii. ~~Bierze udział~~ Po wybuchu wojny krymskiej w r. 1854 wstępuje jako ochotnik do armii Omera Paszy, a w r. 1856, już jako sekretarz ks. Napoleona, towarzyszy mu w podróży do Islandii. Zasłynął jako ostre pióro polemiczne i jako autor „Alkhadara", a po najrozmaitszych przygodach, które by mogły dać doskonały materiał do jakiejś „vie romancée" osiadł na stałe w Paryżu, ~~[illegible]~~ porósł w zasoby i w pierze, jako Charles Edmond pisał mierne powieści francuskie i wreszcie dzięki stosunkom z Napoleonidami dostał synekurę

(x) to znów w Paryżu, gdzie współpracuje ~~[illegible]~~ w założonej przez Mickiewicza „Tribune des Peuples"

w Bibliotece Senatu, gdzie, jako główny bibliotekarz, gnębił swego pomocnika, Anatola France'a. Życiorys Edmunda Chojeckiego umieściłem w „Słowniku Biograficznym".

Peregrynacje i burzliwy żywot Edmunda niemało się przyczyniły do nadwerężenia majątku Artura, który musiał ~~pokrywać~~ nieraz pokrywać długi i zabałaganienia młodszego brata. Nie podreperował fortuny małżeństwem z Jadwigą Trębicką, córką Ludwika i Emilii z Taszyckich, która, choć z wysoko noszącej się rodziny ~~pochodząca~~ pochodziła, ale przy działach majątkowych została przez rodzeństwo pokrzywdzona i mało co mężowi w wianie przyniosła. Z małżeństwa tego miał dwoje dzieci: Tadeusza-Andrzeja-Eugeniusza-Ludwika, mojego ojca i Marię, późniejszą Brudzyńską, której się dostał Gródek i która już, wszakże, przy tym ślicznym majątku utrzymać się nie mogła.

Ojciec mój, choć go na technika chciano wykierować, czuł jednak dziedziczny pociąg do ziemi i, nie mając już własnej, postanowił wzorem swego dziadka Ksawerego dzierżawami się dorabiać. Za namową dalekiego kuzyna z Ukrainy, p. Piotra Chojeckiego, przeniósł się w tamte strony i w Żytomierzu poznał się z przyszłą swoją żoną, panną Marią Iwanowską, córką miejscowego adwokata Ignacego Iwanowskiego i Bronisławy z Janowskich, współwłaścicielki folwarku Niedzieliszcze pod Żytomierzem. Dobra, miła, ładna, wykształcona, brzdąkająca trochę na fortepianie i + mówiąca po francusku, angielsku i niemiecku, —co również nie było bez znaczenia— dość posażna panna nie była obojętna na konkury przystojnego i pełnego werwy młodzieńca, który umiał i zgrabny wierszyk okolicznościowy sklecić i piosenkę ~~zanucić~~ sam sobie akompaniując zanucić i karykaturę narysować i hasać na balu do upadłego. Te starania poparł swym autorytetem p. Piotr, który po staroświecku, niezbyt ortograficznie napisanym listem, polecał swego „wnuka Tadeusza" pannie Marii i jej ~~matce, bo p. mecenas~~ macosze, bo p. mecenas Iwanowski i jego pierwsza małżonka już nie żyli.

Z tego małżeństwa, w którym, jak to często w Polsce bywa, ziemiaństwo skojarzyło się z palestrą, przyszedłem na świat w domu mojej babki Iwanowskiej w Żytomierzu dn. 25. VI. 1880 r., a 13. VI veteris styli, t. zn. w dzień Św. Antoniego Padewskiego, uroczyście w Żytomierzu odpustem i jarmarkiem obchodzony.✓ Rodzice zamieszkali najprzód w Wólszce na Ukrainie, potem pod Równem w Kolodence, którą ojciec dzierżawił od ks. Lubomirskich. Tu stawiając pierwsze kroki, upadłem na twarz i złamałem sobie chrząstkę w nosie, co mię zeszpeciło na całe życie. Tak się rozpoczęło moje dzieciństwo sielskie, anielskie. Inne wspomnienia mam mniej przykre. Pamiętam piękną aleję lipową, prowadzącą do zarosłego krzakami, jeżynami i starami gaju, który mi się wówczas wydawał jakimś zaczarowanym ogrodem. Tuż za wsią był lasek z kredowym wzgórzem, które świeciło z daleka białością nagiego zbocza. Tam się chodziło na przechadzkę i urządzało majówki.

✓ Pradziad mój miał dwa imiona, dziadek troje, a ojciec aż czworo, z czym miał później w życiu wiele kłopotu przy różnych sprawach urzędowych. Nie chcąc mnie na podobne ambarasy narażać, dano mi jedno tylko imię, celtyckiego Artura, na pamiątkę dziadka. Chrzcił mnie ówczesny rektor seminarium Ks. Karol Niedziałkowski, późniejszy biskup Łucko-żytomierski, ~~autor kilku w swoim czasie głośnych książek: „Dlaczego dzisiaj w poezji nie mamy słowików", „Nie tędy droga, Szanowne Panie", „Podróż do Ziemi Świętej"~~. Ja ~~później~~ sam na bierzmowaniu przybrałem sobie za patrona, tak w Żytomierzu czczonego, Św. Antoniego Padewskiego.

Nie mając rodzeństwa znalazłem najmilszych towarzyszy wśród psów i kotów domowych i ukochanie tych zwierząt pozostało mi na całe życie.x) Wcześnie ~~też~~ zacząłem jeździć konno na kucyku w towarzystwie matki lub ojca albo obojga razem. ~~[illegible]~~ i dziś jeszcze, gdy mam po temu okazję, chętnie konia dosiadam. Wcześnie też nauczyłem się czytać. Dostałem do zabawy alfabet ruchomy, złożony z kwadracików tekturowych, i w ten sposób, układając wyrazy z ruchomych liter, doszedłem do opanowania umiejętności czytania, niemal niepostrzeżenie bez żadnego wysiłku. Równie gładko poszło z pierwszymi elementami rachunku i pisania dzięki jakiemuś widać wrodzonemu talentowi pedagogicznemu mojej matki, której też zawdzięczam podstawy wychowania religijnego. Oboje moi rodzice byli religijni, każde na swój sposób, i to niewątpliwie sprawiło, że przez całe życie, nawet w czasach studenckich, kiedy się „postępowo" a potem i „socjalistycznie" bałamuciłem, choć praktyk religijnych czasem się bardzo zaniedbywało, to nigdy przecież z Kościołem katolickim nie byłem w zatargu. Tę zasługę Rodziców, którą dziś dopiero w całej pełni ocenić mogę, chciałbym tu podkreślić i w ten sposób Im podziękować za ów skarb duchowy z domu wyniesiony.

Na msze jeździło się bądź do kaplicy w Równem, gdzie nowy kościół się dopiero budował, bądź do Tajkur. Obydwie te drogi łączą się u mnie ze wspomnieniami strachu, którego doznawałem na pewnych ich odcinkach. W Tajkurach, na czterech rogach majątku, stały cztery słupy murowane z krzyżami i legenda głosiła, że w jednym z nich miał być zamurowany żywcem Tatar, który porwał był przed laty pannę z tajkurskiego dworu. A że koło takiego słupa się przejeżdżało, więc wyobraźnia dziecinna malowała przeraźliwy obraz męki zamurowanego... W Równem znów przejeżdżało się obok więzienia i zawsze myślałem sobie, co by to było, gdyby tak różni rozbójnicy wyłamawszy kraty rzucili się na nas. Dopiero w znacznie późniejszym wieku uświadomiłem sobie, że mniej się lękać należy nieszczęśliwców „gnijących na słomie więziennej" niż zbójów i łotrów na wolności chodzących. Z Równego również został mi w pamięci, za wrostem wśród moczarów jakby na wyspie stojący, na wpół zrujnowany, pałac ks. Lubomirskich, w którym mieściła się poczta. Jeszcze wówczas znać było resztki dawnej wspaniałości, której obecnie, kiedym po wielu, wielu latach znów Równe ~~[illegible]~~ odwiedzał, zaledwie dostrzegałem pozostałe ślady.

Jadąc w sąsiedztwo w odwiedziny, rodzice zwykle brali mnie ze sobą. Bywaliśmy w Horodyszczach (cukrownia „Żytyń"), gdzie administratorem był p. Szuch z Warszawy, ojciec dwóch chłopców w moim wieku, w Oleksinie (cukrownia „Szpanów") w dyrektorostwa Mistagiewiczów, w Gródku u Wysockich, w Basowym Kącie u Rejsów, wszystko w najbliższej okolicy Równego. Z dalszych wycieczek wspominę Woskodawy, majątek Dzieduszyckich, dzierżawiony przez p. Maksymiliana Chojeckiego z Galicji. Wspólność nazwiska i herbu sprawiała, że mój ojciec z p. Maksiem poczuwali się do jakiegoś pokrewieństwa, choć wątpię, czy umieli je wywieść z rodowodów. Został mi ów kuzyn w pamięci, jako obdarzony

x) Dziś jeszcze za najbardziej udany twór Boski nie uważam ani pięknej kobiety, ani konia arabskiego, ale rasowego angielskiego setera.

potężnym wzrostem i odpowiednią tuszą, a bardzo donośnym sposobem kichania, co mnie bardzo cieszyło. Później dowiedziałem się, że p. Maksymilian dokonał pięknej pielgrzymki, że powędrował podobno pieszo z Krakowa do Rzymu.x) Nie pamiętam szczegółów tej pielgrzymki, ale wiem, że się gazety o niej rozpisywały.

Wyraz „gazety" nasuwa mi wspomnienie o „Słowie", które rodzice prenumerowali, głównie dla drukującego się w nim wówczas „Ogniem i Mieczem". Pochłaniało się natychmiast każdy odcinek i gorąco potem komentowało. Byłem oczywiście za mały, aby w tym brać udział, ale com się nasłuchał, tom się nasłuchał i kiedy się później wreszcie sam do „Trylogii" dorwałem, tom wszędzie spotykał dawno już znajome postacie. Oprócz „Trylogii" drugim źródłem pierwszych wiadomości z historii polskiej były dla mnie „24 Obrazki z dziejów Polski" Anczyca; jeszcze dziś mam w oczach Kurpiów strzelających zza sosen do Szwedów oraz i Chmielnickiego, na klęczkach przed Janem Kazimierzem siedzącym na białym koniu. Koń miał piękną kokardę u nasady ogona, co mnie zawsze zachwycało.

Kołodenka nie była dobrym interesem. Wsadziwszy w tę dzierżawę resztę swych pieniędzy i posag żony, ojciec musiał zrezygnować z własnego gospodarstwa i objął administrację jakiegoś majątku na Podlasiu. Widocznie ciągnęło go w rodzinne strony. Matka dostała posadę nauczycielki u pp. Pruszyńskich w Korościatynie w powiecie równieńskim, gdzie była dziewczynka o rok ode mnie starsza i gdzie zgodzono się na to, abym ja przy matce się chował. Zarówno matka z p. Pruszyńską, jak i ja ze swoją rówieśniczką, Wawrzynką, szybkośmy się zaprzyjaźnili i współzawodniczyliśmy we wszelkich naukach, jakich nam moja matka udzielała. Musiała mieć ~~wrodzone zdolności pedagogiczne i~~ duży (jak na owe czasy) zasób wiedzy; uczyliśmy się przy niej nie tylko religii, polskiego i rachunków, ale i francuskiego i niemieckiego a nawet, co było dość niezwykłe w ówczesnym kształceniu domowym, i początków nauk przyrodniczych według francuskich podręczników Paula Berta. Do historii polskiej używaliśmy Zdanowicza. Zapewne obecnie mamy inne i może lepsze podręczniki, ale dla mnie przeszłość Polski tak się skojarzyła z historią Zdanowicza, jego tablicami chronologicznymi i kolorowymi obrazkami, że dziś jeszcze nie mogę sobie wyobrazić wojewody bez kontusza i długich żółtych butów, a, spotykając obecnie wojewodów w garniturach marynarkowych, nie mogę ich brać całkiem na serio. V Matka oprócz tego pomagała sobie Bobrzyńskim, którego dwa tomy „Dziejów Polski" właśnie niedawno były się ukazały. W rezultacie z „Obrazków" Anczyca, z historii Zdanowicza i z Bobrzyńskiego zacząłem kompilować jakieś streszczenie popularne dziejów Polski. Najgorzej było z początkiem. Długo się namyślałem i męczyłem jak rozpocząć swoje dzieło, aż wreszcie zacząłem je słowami: „Było na świecie plemię Słowian..."; dalej już poszło gładko. Stwierdziłem więc na sobie słuszność przysłowia, że „dimidium facti qui bene cepit habet". Matka była dość dumna z tej mojej elukubracji, bo kiedy przyjechał do Korościatyna luminarz okolicy, marszałek szlachty, p. Stecki, to kazała mi pokazać mu swoją pisaninę, a on ją pochwalił. Zdaje się jednak, że mimo tej pochwały nie doprowadziłem pracy do końca, a zawsze w szkołach i później historia była moją najsłabszą stroną.

V Jakoś to śpiewa o tym stara piosenka:
I nikt nie pozna, szewc czy wojewoda,
Obadwaj kuso, bo dziś taka moda.

x) O Maksymilianie Chojeckim wspomina w swych pamiętnikach T. T. Jeż (Od kolebki przez życie t. II str. 478–479), z którym miał scysję w Gwoździcu w Kołomyjskim ~~1863~~ na tle ustosunkowania się Galicji do powstania 1863 r.

Z tej epoki została mi w pamięci pierwsza podróż do Warszawy: zdarzenie niełada dla dziecka w moim wieku. P. Pruszyńska potrzebowała dłuższej kuracji, opieka mojej matki była przy tym niezbędna, a że dzieci samych zostawić nie było można, więc Wawrzynka i ja skorzystaliśmy na tym. Stanęliśmy w hotelu Saskim, który od tego czasu nic się nie zmienił. Na długim asfaltowanym prostokącie podwórza bawiliśmy się z małymi Wróblami, synami kupca kolonialnego z sąsiedztwa. Dość szybko nauczyłem się orientowania się po Warszawie i umiałem sam trafić do Ogrodu Zoologicznego na Bagateli, będącego dla mnie największą atrakcją Warszawy. Z kościołów odwiedzaliśmy przeważnie najbliższy Karmelitów, gdzie większe wrażenie od marmurowej rzeźby Chrystusa umarłego, zrobił na mnie posąg metalowy Chrystusa w bocznej prawej nawie ze względu na ~~piękne barwy~~ piękne kolory jego szat. ~~Dziś te barwy mocno przybladły i obłazły, ale wtedy były jeszcze świeże i bardzo mi się podobały.~~ ~~Byłem~~ Żywo mam również w pamięci pierwszą bytność w teatrze: *zaprowadzono mnie do Teatru Letniego w Ogrodzie Saskim, gdzie dawano balety: „W Indiach" i „Wesele w Ojcowie" i jakąś jednoaktówkę. Później byłem jeszcze na komedii, w której obok najlepszych ówczesnych aktorów: Prażmowskiego, Wolskiego i Szymanowskiego występował i Żółkowski.

Kiedy Wawrzynkę odwieziono do Jazłowca, gdzie w klasztorze SS. Niepokalanek wychowywały się panienki z domów obywatelskich, matka moja ze swoją wiedzą i ze mną przeniosła się do Nosowiec w pow. hajsyńskim na Podolu do pp. Woroniczów. P. Woroniczowa, siostra p. Pruszyńskiej, była bardzo zacną i miłą, niestety słabego zdrowia osobą. Los t. zw. „guwernantek" rzadko kiedy bywa do pozazdroszczenia, ~~jak~~ ~~wymow~~ jak wiele o tym mówi popularne przekleństwo: „obyś cudze dzieci uczył!". Matka szczęśliwie trafiła w obydwóch razach do domów, gdzie ją bardzo życzliwie i serdecznie potraktowano. Szczególnie z p. Woroniczową matka zawarła tak ścisłą przyjaźń, tak się zżyły i pokochały, jak i między siostrami rzadko się zdarza. Dzieci pp. Woroniczowie mieli troje: uczniem mojej matki był, młodszy ode mnie o dwa lata, Józio, z którym się bardzo zaprzyjaźniłem. Został on później księdzem, ~~był gdzieś~~ ~~na~~ w czasie przewrotu bolszewickiego był gdzieś na Wołyniu proboszczem i został prawdopodobnie zamordowany, bo ślad po nim zaginął.

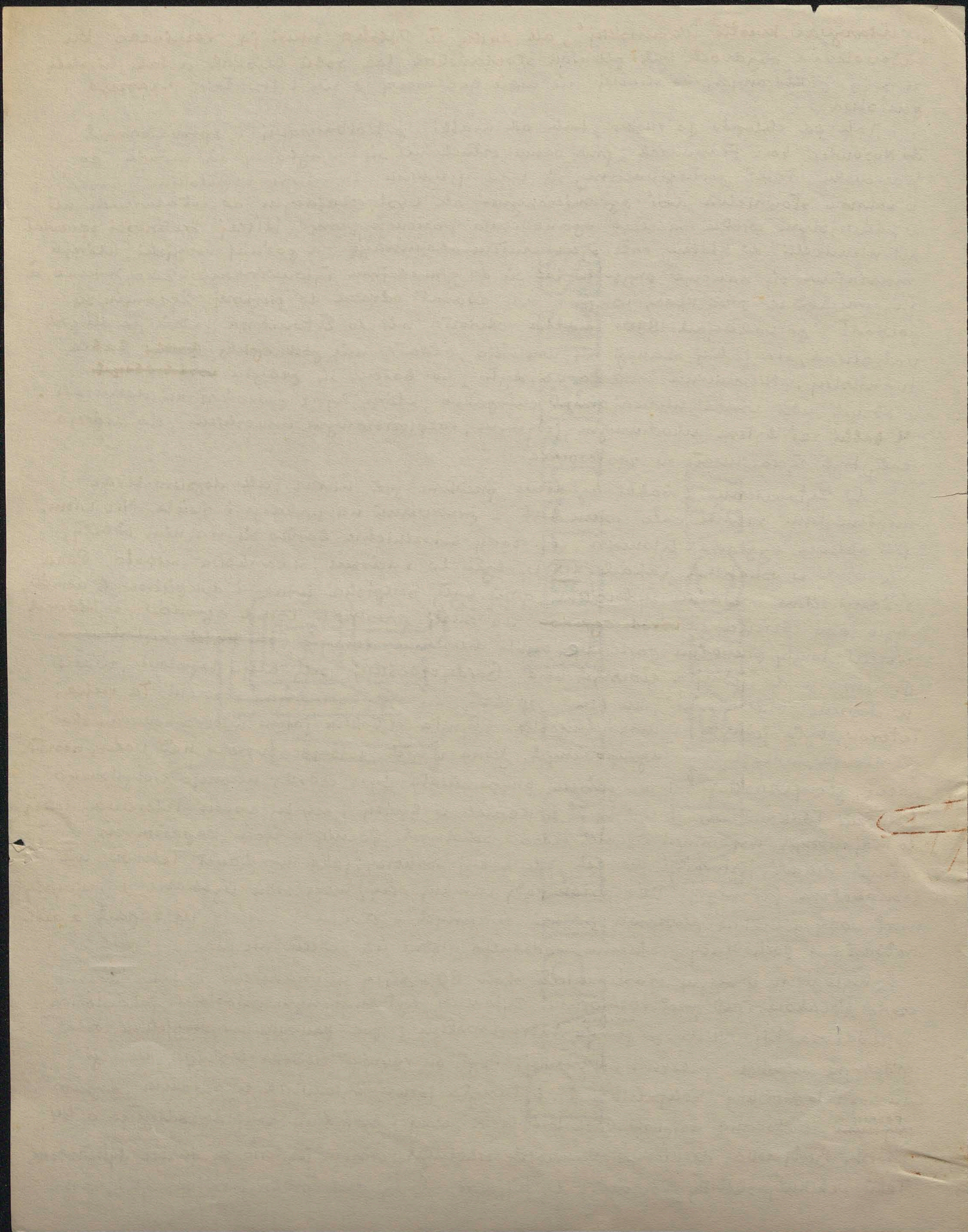
Czy to na Wołyniu, czy na Podolu, wszędzie miałem do czynienia z ludem ruskim, czyli, jak się dziś mówi, „ukraińskim", toteż naturalnym biegiem rzeczy nauczyłem się jego ~~mowy i mó~~ języka i mówiłem „po chłopsku" prawie równie swobodnie jak i po polsku. Przez myśl mi nie przychodziło, że ci chłopi, ta służba ~~folwarczna~~ domowa czy folwarczna, są innej ode mnie narodowości i dziś jeszcze, mimo rozwój nacjonalizmu ukraińskiego, idącego zwykle w parze z nienawiścią do Polski, nie mogę patrzeć na Rusinów inaczej niż na rodaków. Mimo wszystkie błędy z jednej i z drugiej strony popełniane, mimo wyraźne ~~zbrodnie, mimo wpływy~~ ~~ni~~ zbrodnicze wpływy niemieckie, contra spem sperans, ufam, że dojdzie wreszcie kiedyś między nami do zgody, jeśli już nie pod hasłem „gente Ruthenus natione Polonus", to pod nowszym: „wolni z wolnymi, równi z równymi." Jeśli w takiej Szwajcarii dzisiaj obok siebie w zgodzie mogą żyć trzy (a z retoromańskim nawet cztery) języki i dwa wyznania religijne, to dlaczegożby to nie miało być możliwe i na naszej ziemi. Nie piszę tu rozprawy politycznej i nie ~~mam~~ zamierzam

„rozstrzygać kwestii ukraińskiej", ale sądzę, że Polska musi ją rozwiązać ku zadowoleniu obydwóch tych plemion słowiańskich tak sobie bliskich a tak, niestety, ze sobą poKłóconych, bo inaczej nie może być mowy o sile i trwałości naszego państwa.

Jak od chłopów po rusku, tak od matki, p. Woroniczowej i sprowadzanych do Nosowiec bon Francuzek przez samo osłuchanie się uczyliśmy się mówić po francusku. Toteż posługiwaliśmy się tym językiem na równi z polskim, oczywiście w zakresie słownictwa dość ograniczonym, ale wystarczającym do ułatwienia mi w późniejszym wieku niezłego opanowania francuszczyzny. Więcej trudności sprawiał mi niemiecki, do którego całe życie czułem abominację, a później rosyjski, którego musiałem się nauczyć przygotowując się do gimnazjum żytomierskiego. Zdecydowano, że nie przechodząc przez klasę wstępną będę zdawał odrazu do pierwszej. Egzamin się powiódł: po wakacjach 1890 r. matka odwiozła mię do Żytomierza, gdzie po długich wahaniach, na jakiej stancji mię umieścić, oddała mię pod opiekę ~~babki~~ babce Iwanowskiej. Niezmiernie mnie to ucieszyło, bo bałem się pobytu ~~wśród obcych~~ u obcych ludzi wśród nieznajomych chłopaków, którzy by z pewnością mi dokuczali. U babki zaś byłem ukochanym, jedynym, rozpieszczonym wnukiem, do którego cały tryb życia musiał się zastosować.

W Żytomierzu u babki bywałem przedtem już nieraz, ale dopiero teraz miałem tam spędzić całe osiem lat z przerwami na wakacje i święta. Nie wiem, jak obecnie wygląda Żytomierz, czy rządy bolszewickie bardzo się na nim odbiły, ale wtedy w ostatnich latach XIX w. było to zaciszne, sielankowe miasto. Poza śródmieściem przeważnie żydowskim, gdzie były skupiska jedno- i dwupiętrowych domów, było ono rozrzucone ~~wśród ogrodów~~ na dużej przestrzeni wśród ogrodów, w których zieleni tonęły przeważnie parterowe, często drewniane domy. ~~[illegible]~~ Prostopadle do jednej z głównych ulic, Berdyczowskiej, szły aleje topolowe, zwane niesłusznie „bulwarami", ku rzece i spadały ku niej stromym zboczem. Ta rzeka, Teterów, była jednym z uroków miasta. Płynęła głębokim jarem w obramowaniu skał granitowych, fantastycznie ugrupowanych. Jedna z nich, zwisająca wysoko nad wodą, nosiła nazwę „głowy Czackiego" i rzeczywiście przypominała tępą czaszkę uczonego wołyńskiego. Pływanie łódkami wśród tych skał i kąpiel w bystrej i czystej wodzie Teterowa należą do najmilszych wspomnień z moich czasów szkolnych. Później w życiu kąpałem się w różnych rzekach, jeziorach i morzach, ale takiej rozkoszy, jaką mi dawał Teterów, nie doznawałem już nigdy. Dziś jeszcze, gdy zamknę oczy, mogę sobie wyobrazić i przejrzysty nurt wody i miękkość ~~pieszczoty~~ jej fal ogrzanych w słońcu i świeży jej zapach z ziół nadbrzeżnych pochodzący, jakiemu podobnego nigdzie na świecie nie ma...

Żytomierz w owym czasie miał ~~około~~ 80 tysięcy mieszkańców, w tym znaczną część Polaków. Już przed rozbiorami Żytomierz był ważnym miastem, jako stolica województwa Kijowskiego po ~~pokoju~~ rozejmie Andruszowskim; pod panowaniem rosyjskim został głównym miastem gubernii wołyńskiej. Był on również siedzibą biskupa diecezji łucko-żytomierskiej. Kolej żelazna nie łączyła jeszcze Żytomierza ze światem, dopiero ~~[illegible]~~ później zbudowano najpierw wąskotorówkę a potem i normalną kolej do odległego o 44 wiorsty Berdyczowa, do którego za moich szkolnych czasów jeździło się jeszcze dyliżansem. Takie wehikuły chodziły również i do Kijowa. Były dwa przedsiębiorstwa dyliżansowe,



(+)

(do str. 8)

Było tu prawie jak na wsi. Zawsze najbardziej mię wzruszał i zachwycał początek wiosny: zrazu nieśmiałe nabrzmiewanie pąków na krzakach, stopniowe przesiąkanie szarej zeszłorocznej trawy młodą zielenią, pierwsze wystrzelanie z ziemi pędów, a potem coraz w żywszym tempie rozwijanie się kwiatów: koron cesarskich (fritillaria imperialis), szafirków (muscari racemosum), wiśni japońskich, jabłoni, tulipanów, hiacyntów i tych romantycznych serduszek biskupich (dielytra spectabilis), które są dla mnie zawsze najmilszym symbolem wiosny. Później, gdy już zakwitną kasztany, bzy i piwonie, głogi, róże i akacje, gdy się wreszcie wiosna, mówiąc gwarą dzisiejszą, ustabilizuje, nie ma ona już dla mnie tego uroku, co w swym pierwszym okresie, gdy jest jeszcze „in statu nascendi" i gdy dosłownie widzę „jak trawa rośnie".

jedno polskie Łaszkiewiczów, drugie żydowskie Feldenkrajza, każde miało swoich zwolenników i obydwa robiły dobre interesy. Warto opisać taki antyczny pojazd, którego dzisiejszym potomkiem jest autobus. W ogromnym pudle na wysokich kołach było trzy klasy, pierwszą stanowiła część umieszczona tuż za przednimi kołami, wchodziło się do niej z dwóch stron z boku jak do karety i mieściło się w niej sześć osób; do drugiej, gdzie było miejsc, jeśli się nie mylę, dziesięć i gdzie się siedziało bokiem do kierunku jazdy, wchodziło się drzwiami od tyłu; wreszcie trzecia na wzniesieniu, tuż za koziołem woźnicy, zasłonięta czymś w rodzaju daszka, mogła przyjąć zaledwie czterech pasażerów mniej dbałych o wygody niż o świeże powietrze, które w ~~[illegible]~~ pierwszych dwóch klasach przy szczelnie zamkniętych oknach było bardzo wątpliwej czystości. Wehikuł, zaprzężony w siódemkę koni, poganianych krzykiem woźnicy i klaskaniem z bata, kołysząc się, dzwoniąc szybami, grzmiąc i trzeszcząc po wyboistym bruku, wytaczał się z podwórka i ruszał ulicą Berdyczowską przez drewniany most na Teterewie na szosę wiodącą do Berdyczowa. Odległość wynosiła 44 wiorsty, ale czasem trzeba było zjeżdżać z uszkodzonej do nieprzejechania szosy na tak zwane „objazdki”, z których grzęznąc w błocie dyliżans ledwo mógł się wygramolić, co podróż przedłużało. Po drodze zmieniało się konie, co dawało pasażerom możność wyprostowania nóg i ~~[illegible]~~ ogrzania się herbatą na stacji pocztowej. ✗

Przejeżdżając przez Berdyczów mijało się pałace Radziwiłłów i Tyszkiewiczów, mocno powiszczone i jakby zharmonizowane z niechlujnym wyglądem zażydzonego miasta, oraz ~~[illegible]~~ skromnego kościoła parafialnego, w którym to Balzac wziął ślub z p. Hańską. Drugi wspaniały kościół nie leżał po drodze, ale w samym śródmieściu. Był to kościół pokarmelicki, fundowany przez Janusza Tyszkiewicza, wojewodę kijowskiego, w stylu barokowym z amboną w kształcie łodzi i piękną kopułą, która dominowała nad miastem. W głównym ołtarzu był cudami słynący obraz Matki Boskiej Berdyczowskiej, do której w wiele lat później napisałem wierszowaną „Inwokację”. Obraz cudowny był czczony nie tylko przez ludność katolicką ale i przez prawosławnych a nawet i żydów, którzy się gnieździli i wokół klasztoru i w samych murach poklasztornych i niezmordowanie ciągnęli zyski z pielgrzymów gromadnie na odpusty przybywających. Klasztor miał charakter obronny i jego mury, schodzące ku bagnistej rzece, Hniłopiati, imponująco wyglądały.

Z Berdyczowa była już tylko godzina jazdy pociągiem do Koziatyna, stacji węzłowej Kolei Południowo-Zachodnich, skąd rozchodziły się szlaki do Kijowa, Brześcia, Humania i Odessy. Przy względnie małej szybkości pociągów a wielkich odległościach do przebycia podróże w tych stronach trwały długo, toteż koleje dbały o wygody pasażerów w wagonach i na dworcach kolejowych, które były zarazem i restauracjami i hotelami i salonami; w których czekało się ~~[illegible]~~ na pociąg bez przykrości po kilka godzin a czasem przez noc całą. Tak były urządzone wspaniałe dworce w Brześciu i Żmerynce, ale Koziatyn przewyższał je wszystkie, jeśli nie ogromem, to pięknością architektury. Wielka okrągła sala restauracyjna, nakryta kopułą, była naprawdę nie tylko ~~[illegible]~~ efektowna ale i estetyczna. W porze obiadowej, kiedy z czterech stron przybyłe pociągi wysypywały podróżnych, można tam było niemal zawsze spotkać znajome twarze.

Żytomierz stał na uboczu od tego ruchu kolejowego, od wielkiego świata z jego zamętem i był zacisznym miastem emerytów i ludzi spokój miłujących.✗ Polaków było ~~[illegible]~~ sporo i w samym mieście i w okolicy, gdzie nie tylko obywatelstwo było przeważnie polskie, ale były też całe wsie, zamieszkałe przez drobną szlachtę i

✗ O tym wielkim świecie mówiła mu tylko szosa kijowsko-brzeska, wzdłuż której z jednej strony biegła linia telegraficzna rosyjska, a z drugiej – indyjska, łącząca Królestwo Wielkiej Brytanii z cesarstwem Indyjskim poprzez kontynent europejski. Po założeniu kabli podmorskich ta linia, jako zbyteczna, została skasowana.

1 —

włościan polskich. Były tu dwa kościoły: parafjalny a zarazem katedralny i seminaryjny, mieszczący się przy seminarium duchownym na rynku w gmachach po klasztorze bernardyńskim; do pierwszego uczęszczały przeważnie niższe warstwy miasta i wsi, do drugiego – elita miejscowa. Panowie w niedzielę po sumie ustawiali się szpalerem przy wyjściu i odprowadzali „Przegląd Katolicki" wychodzących pań i panien. My, młodzież gimnazjalna, mieliśmy swoją mszę osobno o 9 rano, ale starsze chłopaki pod wąsem bywały zwykle i na „przeglądzie".

Polacy żytomierscy byli to przeważnie ludzie ze sfery obywatelskiej, ściślej albo luźniej z dworami wiejskimi związani i kultywujący dawne tradycje. Odwiedzało się jak relikwię przeszłości „panią ministrową" Grabowską, choć nieboszczyk jej mąż, Stanisław Grabowski, syn Stanisława Augusta i morganatycznej jego małżonki pani Grabowskiej, „minister zaciemnienia publicznego" za Królestwa Kongresowego, dość szpetnie się zapisał na kartach naszych dziejów. Wspominało się z dumą i czułością, jak to Kraszewski i Aleksander Groza w Żytomierzu mieszkali i działali. Zapewne Żytomierz nie dorównywał sławą „Atenom Wołyńskim" – Krzemieńcowi, ale i na nazwę Beocji nie zasługiwał! Z literatów późniejszej doby żył jeszcze za mej pamięci poeta Jan Prusinowski, do którego wierszy Moniuszko muzykę pisał, Kazimierz Gliński, również poeta, autor „Królewskiej Pieśni"; ten jednakże na partykularzu wołyńskim nie mógł wytrzymać i do Warszawy się przeniósł, historyk słowianofil Wilhelm Bogusławski, wreszcie z młodszych Edward Paszkowski, adwokat, dziennikarz i publicysta, współpracownik „Głosu" warszawskiego a później redaktor „Dziennika Kijowskiego". Osobną wzmiankę należy poświęcić ks. biskupowi Karolowi Niedziałkowskiemu, którego dzieła krytyczno-polemiczne: „Nie tędy droga, Szanowne Panie" (rzecz o emancypacji kobiet) i „Dlaczego dziś w poezji nie mamy słowików?" były żywo dyskutowane. Później wydał jeszcze „Podróż do Ziemi Świętej", która już mniej hałasu narobiła. Oprócz literatury kwitła w Żytomierzu i muzyka: pamiętano, że Juliusz Zarębski, kompozytor i wynalazca podwójnej klawiatury, był z naszego miasta rodem. Było w Żytomierzu trochę lekarzy, aptekarzy, inżynierów i adwokatów Polaków, w handlu Polacy prawie nie brali udziału i sklepy polskie można ~~policzyć~~ było na palcach ~~jednej ręki~~ policzyć. Również mało było rzemieślników polskich: prawie cały handel i rzemiosło były w rękach żydowskich.(x) ~~Natomiast~~ Dwa lepsze hotele z restauracjami były polskie, do Polaków też należały dwie cukiernie: Kozłowskiego z Warszawy pod firmą „François" i Pomadowskiego. Ich wyroby cukiernicze nie ustępowały warszawskim, a tak dużych i smacznych pączków nawet w Warszawie nie jadłem. Chodziło się tam nie tylko na ciastka i lody ale i na pisma polskie. Rosyjskich sklepów było niewiele: najwspanialszy był Żurawlewa, górujący nad wszystkimi solidnością i doskonałym doborem towarów. Był to jakby „Wielki Magazyn", czy jak dziś u nas z Kiepska po niemiecku nazywają: „Dom Towarowy"; gdzie w amfiladzie jego pokojów przy pryncypalnej ulicy Kijowskiej można było wszystkiego dostać od futra do bakalii. Zawsze mnie zachwycał w dziale futer wielki wypchany bury niedźwiedź, trzymający potężną kłodę nad głową.

Księgarnię polską i skład nut miał Józef Zawadzki, z imienia i zawodu kontynuator tradycji wileńskiej. Było tu rendez-vous towarzystwa polskiego, przesiadywali tu wyżej wspomniani literaci, tu się sprzedawało bilety na koncerty wirtuozów polskich, tu wreszcie była wypożyczalnia książek polskich, z której dzięki pokrewieństwu mojej babki Iwanowskiej z p. Zawadzką wolno mi było bezpłatnie korzystać. Jak tylko mogłem myszkowałem po ciemnych zakamarkach między półkami i wybierałem sam sobie lekturę, zawiadamiając tylko o zamianie książek drzemiącego w kasie p. Józefa. Prócz tego w domu babki były również szafy z książkami, zebranymi przez dziadka, ale poza poezjami Mickiewicza, Syrokomli i Pola, komediami Fredry, „Ramotami i ramotkami" Wilkońskiego, kompletnym wydaniem Korzeniowskiego i Encyklopedią Orgelbranda w 28 tomach, mało tam było rzeczy, które by mnie interesowały. Toteż księgarnia Zawadzkich była dla mnie kopalnią literatury i dzięki niej zapoznałem się ze „Szkicami historycznymi" Szajnochy, z całym Sienkiewiczem, Prusem i Orzeszkową, z Jeżem, Kraszewskim i Kaczkowskim i z różnymi późniejszymi, mniej głośnymi a dziś prawie zapomnianymi autorami jak Wilczyński, Klemens Junosza, Gawalewicz itp. Poza tym pochłaniałem Juliusza Verne'a i różne powieścidła tłumaczone z francuskiego i angielskiego. (Do niemieckiej literatury w żadnej postaci nigdy nie miałem upodobania: widocznie zdrowy instynkt polski mną kierował!)

Wreszcie trzecia ——————

(x) ~~Wyjątek stanowili rękawicznicy Polacy, których wyroby słynęły szeroko poza Żytomierzem.~~ ~~Kupcy~~ Żydzi między sobą mówili, oczywiście, żargonem, ale znali język polski i w stosunkach z klientami Polakami chętnie ~~lepiej~~ go używali. Dopiero młodsze pokolenie, skurtyzowawszy strój tradycyjny, zaczęło udawać Rosjan i ostentacyjnie mówić po rosyjsku.

źródło lektury znalazłem w naszej uczniowskiej bibliotece konspiracyjnej, której jednym z założycieli był przed laty mój wuj, Kazimierz Iwanowski, i do której doszedłszy, zdaje się, dopiero do szóstej klasy, zostałem dopuszczony. Była też związana z tą biblioteką i zakonspirowana „Korporacja", ale poza płaceniem składek nie brałem w niej udziału.

Oprócz książek polskich i francuskich czytałem i rosyjskie z biblioteki gimnazjalnej, zawdzięczam jej zapoznanie się z nieśmiertelnym Pickwickiem, którego dopiero znacznie później miałem sposobność przeczytać po polsku i po angielsku.

Nasze gimnazjum było najliczniejszym w Rosji, o czym zwykle z dumą wspominał dyrektor podczas t.zw. „uroczystego aktu" t.zn. dorocznego sprawozdania połączonego z wręczeniem nagród celującym uczniom. Polaków i Rosjan, czyli też Rusinów, było w nim pół na pół a jakieś 10% Żydów. Później wraz z postępującym rozpowszechnianiem się wykształcenia średniego, dopływ uczniów z warstw niższych stopniowo zmieniał ten stosunek na niekorzyść Polaków, którzy głównie się rekrutowali ze sfery ziemiańskiej. W mojej jednak klasie jeszcze Polacy przeważali liczebnie nad Rosjanami. Nacisku rusyfikacyjnego nie odczuwaliśmy w takim stopniu jak młodzież w Królestwie: oczywiście w obrębie gimnazjum byliśmy obowiązani rozmawiać po rosyjsku, ale tego nikt nie przestrzegał i nie pamiętam, aby kto został za to ukarany.

Zawód nauczycielski zwykle gromadzi różnych oryginałów: wykolejeńców, a z biegiem czasu pogłębia ich dziwactwa. Obcowanie przez kilka godzin dziennie z diabelsko pomysłowymi urwisami wyrabia u nawet najbardziej podniośle nastrojonych pedagogów bądź nadmierną surowość dla podtrzymania autorytetu i umożliwienia jako takiej nauki, bądź pobłażliwe patrzenie na wszystko przez palce i wybuchowe poskramianie bandy małpoludów, od czasu do czasu, gdy dalsze tolerowanie ich figlów groziłoby jakimś grubszym skandalem. Wiem coś o tym z własnego doświadczenia, gdyż byłem przez lat kilka nauczycielem w szkołach średnich w Warszawie i „mówię, bom smutny i sam pełen winy". Ale takiej galerii dziwadeł jak w gimnazjum żytomierskim, to chyba nigdzie nie było. Arytmetyki dawał Toselski, przed którego tubalnym głosem malcy drżeli ze strachu i zapominali języka w gębie. Do rosyjskiego był w klasach niższych Cedrowski, przezwany przez nas „ciconia", wysoki szczupły starszy pan, wygolony z bokobrodami, wyglądający na jakiegoś dyplomatę z pierwszej połowy XIX w. Wyrzucał mi zawsze „polonizmy" w wypracowaniach, w starszych klasach literatury rosyjskiej dawał Wesin, drzemiący stale na katedrze i mruczący coś niezrozumiale pod nosem. Nie mógł nas oczywiście zachęcić do studiowania arcydzieł tej literatury i raczej ją nam obrzydzał. Zabawny był Senftleben, wyglądający jak powiadają podoficer, a może i oficer pruski, który w niższych klasach dawał łacinę, a oprócz tego ćwiczył nas w „gimnastyce wojskowej", czyli po prostu — musztrze. Uformował on z bardziej do tego nadających się uczniów t.zw. „złotą rotę", z którą odprawiał ciągle jakieś ćwiczenia specjalne. W czasie lekcji wsadzał głowę do klasy, w której ktoś z jego kolegów wbijał do głów sztubackich elementy, dajmy na to, geografii czy algebry i wywoływał uczestników swojej wzorowej roty. Było to bardzo wygodne dla tych, którzy chcieli w ten sposób wydostać się z klasy i uniknąć ewentualnej dwójki. Później w starszych klasach takim pretekstem do opuszczania lekcji były „obserwacje meteorologiczne", kilka razy dziennie dokonywane. Senftleben

uchodził za wielkiego amatora piwa i opowiadano o niezwykłych ilościach tego trunku, jakie mógł wchłonąć. Przeciwieństwem rubasznego, wrzaskliwego i ordynarnego Senftlebena był wytworny gentleman Pracki, fizyk. Był raz w życiu w Paryżu i podobno chętnie opowiadał, jak się tam „u nas w Paryżu" żyje. Był wielkim higienistą i lubił się swoimi wiadomościami z tej dziedziny popisywać. Wystarczało też podczas lekcji fizyki zadać mu jakieś pytanie z zakresu medycyny, aby rozpoczął dłuższy wykład na temat tej lub owej choroby, jej leczenia i sposobu jej unikania, zapominając o prawie Boyle'a i Mariotte'a czy też o załamywaniu się światła w pryzmacie i tak cała lekcja przechodziła ku uciesze przebiegłych wyrostków. Francuskiego dawał Szwajcar, Huguenin, tłumacząc zasady gramatyki kiepskim rosyjskim językiem. O mówieniu po francusku nikomu się nie śniło: jedyną rozmową było: „Wiktor Wiktorowicz, permettez-moi de sortir" — „Allez et revenez vite!". Przekonawszy się, że znam francuski z domu i że niczego więcej w szkole się nie nauczę, p. Huguenin pytał mnie raz na kwartał dla zadośćuczynienia formalności i zupełnie się nie interesował, co ja robię podczas jego lekcji. Łaciny dawał nam Suszycki, wysoki i gruby, zwany „puszka" (armata), gdy szedł korytarzem do klasy, to witano jego przyjście okrzykami „wiezut, wiezut" co znaczyło, że niby wiozą tę armatę. Hałaśliwie i niespokojnie było na jego lekcjach i dziw doprawdy, że nas przecież tej trochy łaciny nauczył. Drugim grubasem był inspektor Zieleniecki, „samowar" - w przeciwieństwie do Suszyckiego sam jego widok sprowadzał ciszę. Niektórych nauczycieli do dziś dnia życzliwie wspominam: do takich należał geograf Jarocki, promieniujący dobrocią i pobłażaniem, historyk Latoszyński, podobno pochodzenia polskiego, którego wykłady, bo trudno je inaczej nazywać, porywały jasnością i wytwornością stylu. Podczas jego lekcji panowała taka wzorowa cisza, że razu pewnego mysz wybiegła spod szafy, posiedziała chwilkę na środku pokoju i spokojnie poszła sobie dalej. To zdarzenie długo potem wspominaliśmy chwaląc lekcje Latoszyńskiego. Dodać jeszcze należy, że ilekroć w urzędowym podręczniku historii były jakieś nieprzychylne wzmianki o Polakach, jakieś przekręcenie faktów na naszą niekorzyść, to profesor wykreślał te ustępy i dawał nam własną interpretację wypadków. Wreszcie wspomnę tu jeszcze nauczyciela matematyki i fizyki, Bieleńkiego, nie, żeby się odznaczał jakimiś dziwactwami, czy też był wyjątkowo sympatyczny, nie, ale dlatego, że był dobrym pedagogiem i że jeśli, co umiem z tej dziedziny, to jemu zawdzięczam. Osobną wzmiankę należy poświęcić księżom prefektom, czyli jak się u nas mówiło: Kapelanom, ks. Michałowi Rusieckiemu, a później ks. Polikarpowi Rowińskiemu. Nauka religii odbywała się z podręczników rosyjskich i rzekomo w języku rosyjskim, ale oczywiście ani księża profesorowie, ani my tegośmy nie przestrzegali. Rola ich była bardzo trudna, bo z jednej strony trzeba było przecież czegoś smarkaczy nauczyć, a z drugiej strony nie mogli złym stopniem na cenzurze utrudniać im przechodzenia

z klasy do klasy i stawiać ~~[illegible]~~ Polaków w położeniu gorszym wobec Rosjan. 13 16
Także piątka z religii była normalnym stopniem, czwórka czymś niezmiernie rzadkim, a o niższych stopniach nigdy się nie słyszało. W niedziele, jak już wyżej wspominałem, chodziliśmy do kościoła na „uczniowską mszę", do której usługiwali również uczniowie: dwóch starszych i dwóch malców, z góry wyznaczonych.
Przed ~~lekcjami~~ nauką i po ~~lekcjach~~ nauce odmawiano w każdej klasie krótkie modlitewki po rosyjsku, oprócz tego przed ~~[illegible]~~ lekcjami wszyscy prawosławni mieli trochę dłuższe wspólne modlitwy w cerkwi gimnazjalnej. Uważając widocznie, że to upośledza katolików, wprowadzono dla nas później również wspólną modlitwę po łacinie w sali gimnastycznej.

Na zakończenie muszę jeszcze wspomnieć o dyrektorze, którym za moich czasów był Piotr, syn Apollona, Sidorow. Był to młody jeszcze człowiek, z piękną blond brodą, elegancki i wykształcony, autor gramatyki łacińskiej, świeżo ~~przyb~~ przysłany z Petersburga na odpowiedzialne stanowisko dyrektora „najwiękoszego gimnazjum w Imperium". Plotka twierdziła, że zawdzięczał on ten swój awans niedawnemu synostwu Aleksandra III, do którego był nieco podobny. W mojej klasie dawał greki i był ~~przez cały mój pobyt w gimnazjum~~ jej „gospodarzem". ~~tej klasy~~. Obowiązki dyrektora nie pozwalały mu poświęcać zbyt dużo czasu i energii uczeniu nas mowy starożytnych Greków, ale lekcje jego były zawsze zajmujące i, jak się to dziś mówi: ogólnokształcące. Od czasu do czasu pod jego przewodem urządzaliśmy wycieczki do fabryk w okolice Żytomierza, ~~[illegible]~~ np. do cukrowni w Iwankowie i do huty żelaznej w Deneszach. A innym znów razem zrobiliśmy ~~razem~~ piękny spacer na nartach po zamarzniętym Teterowie. Mówiono o nim, że stara się pozyskać zaufanie i sympatię uczniów dla celów szpiegowskich, ale nie wiem, ile w tym było prawdy.

Raz na rok urządzaliśmy tradycyjną majówkę do lasu podmiejskiego. Senftleben był w swoim żywiole! Od rana ćwiczył nas, ustawiał ~~klasami~~, ~~[illegible]~~ to czwórkami, to parami, każda klasa ze swoim sztandarem, oprócz których był jeszcze wielki ciemnoszafirowy ~~sztandar~~ jedwabny sztandar ogólny, wreszcie Senftleben dosiadał białego rumaka, wypożyczonego od straży ogniowej i przy dźwiękach orkiestry ruszaliśmy przez miasto, most na Teterowie, szosą berdyczowską do lasu, gdzie się kończył przymus wojskowy a zaczynały się zabawy, jedzenie i picie. ~~Z miasta~~ Dążyli za nami z miasta nie tylko rodzice i wychowawcy w dobrze ~~wozach~~ wypchanych dorożkach, ale i cukiernicy z ciastkami, lodami i napojami chłodzącymi. Trwały te sielskie igraszki do zmroku, po czym, znów w ordynku wojskowym, wracało się do miasta, gdzie przed gimnazjum następowało rozejście się do domów.

Poza szkołą brałem lekcje francuskiego, niemieckiego i gry na fortepianie. Tę ostatnią ~~[illegible]~~ rychło zarzuciłem, gdyż bębnienie gam i wprawek nudziło mnie niewymownie. Z niemieckim byłem zawsze na bakier: nauczycielki stare i młode naprożno się wysilały, aby mnie czegoś nauczyć; dopiero gdy nastał poczciwy Richter, organista miejscowej „Kirchy", to swoją dobrodusznością dobrym humorem i niewyczerpaną cierpliwością zdołał jakoś mój wstręt do

tego języka zniechęcić. Miał piękną rudawą brodę Barbarossy i liczną rodzinę: stąd może wiedział, jak się zabrać do kapryśnego malca; bawiliśmy się raczej niż odbywali systematyczne lekcje, ale metoda, którą już zalecał Puszkin w „Onieginie" (учил его всему шутя) okazała się dobrą i jeśli dzisiaj coś niecoś niemczyzny posiadam, to zawdzięczam to poczciwemu Richterowi. Z francuszczyzną było całkiem inaczej. Znajomość jej przyszła mi niemal niepostrzeżenie i od dziecka mówiłem ~~w~~ tym językiem. Chodziło więc tylko o pogłębienie i usystematyzowanie wiadomości i zapoznanie z literaturą. Zaproszono do tego ~~[illegible]~~ Francuzkę, która w swoim czasie wszystkie panny Żytomierskie, łącznie z moją matką, w mowie Gallów wkleiła, a której należy się tu osobne wspomnienie. Przyjechawszy ~~z dalekiej Bretanii~~ przed wielu wielu laty z dalekiej Bretanii p. Journau wyszła tu za mąż za p. Ziemięckiego, ~~który jako emigrant długo we Francji przebywał~~, matematyka i swedenborgianina, który jako emigrant długo we Francji przebywał i tam się widocznie we Francuzkach rozmiłował. Mimo długiego pobytu na Wołyniu p. Ziemięcka do końca życia nie nauczyła się żadnego z języków krajowych, znała zaledwie kilka wyrazów polskich; kilka rosyjskich, co jej pozwalało przy akompaniamencie obfitej mimiki porozumiewać się ze służącą. Opowiadano liczne facecje o różnych nieporozumieniach, które p. Ziemięcką na tle lingwistycznym spotykały. Tak więc kiedyś syn jej, odbywający właśnie służbę wojskową, przysłał ~~ordynansa~~ do niej ordynansa po pas i czapkę, które był u matki zostawił. „Deńszczyk" ~~salu~~ grzecznie salutuje p. Ziemięcką i powiada: „~~Barin prosit kuszàk i szapku~~". ~~Barin, prosit, szapku ... to wszystko rozumiała, ale „Kuszàk" zrozumiała upodobniła do „Kuszat'?" „Barynia dajtie Kuszàk i szapku~~ „Barin prosit kuszàk i szapku". „Barin", „prosit", „szapku" — to rozumiała, ale „kuszàk"? Aha! to ~~znaczy [illegible]~~ przecież znaczy „jeść" (Kuszat'). Przynosi mu więc żądaną czapkę i stawia przed nim misę jakiegoś jadła. Żołnierz zjadł ze smakiem, wytarł rękawem usta i mówi: „a tiepier barynia dajtie jeszcze kuszàk". Zdziwiona apetytem deńszczyka, p. Ziemięcka przynosi mu drugą porcję, która podzieliła losy pierwszej w bezdennym brzuchu sołdata, i ten, mocno już najedzony, chciałby wrócić do swego pana, ale musi ~~on~~ przecież ~~przynieść~~ spełnić polecenie i przynieść nie tylko czapkę ale i pas, więc stojąc na baczność ~~żartobliwość swojej rozgrywki~~. ~~jeszcze raz powtarza~~ znowu przypomina: „jeszcze kuszàk!". Taka bezczelna żartobliwość zirytowała wreszcie p. Ziemięcką, która ~~i~~ wybuchnęła na Bogu ducha winnego żołnierza krzykiem: „Ah mais non! tu as déjà assez mangé, Va-t'en! Poszła won!". Tak więc ~~zdziwiony~~ biedny ordynans poszedł bez pasa.

P. Ziemięcka mimo swego bretońskiego pochodzenia była republikanką, radykałką i deistką z końca XVIII w. zabłąkaną do wieku XIX. O księżach nie wyrażała się inaczej jak: „ces messieurs" (ci panowie).

Toteż nawzajem księża żytomierscy jej nie lubili i zwracali
uwagę mojej babki, że lekcje francuskiego mogą ujemnie oddziałać na
moją religijność. Jednakowoż babka czuła słabość do p. Ziemieckiej, z którą
się od tak dawna znały, oczywiście żadnej propagandy antyklery-
kalnej u siebie w domu by nie zniosła, a z drugiej strony dla mnie p. Ziemiecka
była śmieszną figurą, której na serio brać nie mogłem i, co za tym idzie, nie
przejmowałem się jej zapalczywościami na Kościół i księży. Zresztą i
ten jej czerwony radykalizm przyblakł mocno pod koniec życia i
wiem, że przed śmiercią pogodziła się z Bogiem. Poczciwe
to było kobiecisko mimo śmiesznostek i fałszywych teorii, zdaje się zdolności peda-
gogicznych wiele nie miała, jak to dziś z odległości oceniam, lekcje jej były
szablonowe i tak suche jak jej mała zawiędła osóbka, ale traktowała swój zawód
poważnie i, jako wzór czasownika I koniugacji, zamiast powszechnie
po gramatykach przyjętego „aimer" (kochać), dawała zawsze swoim uczniom
do odmieniania: „penser" (myśleć)! Wreszcie początków angielskiego nauczyłem się od p. Finkel-
steina, Żyda-poligloty, którego brat, osiadły w Paryżu, zasłynął jako Jean Finot redaktor Revue des Revues.
Francuski i niemiecki to były nauki obowiązkowe; sam zaś paliłem się
do chemii, z którą się zapoznałem z popularnego podręcznika Roscoe'go. Ku
przerażeniu babki robiłem różne doświadczenia, grożące pożarem i
zatruwające powietrze. Później przyszła fala doświadczeń fizycznych, głównie
z dziedziny elektryczności: konstruowałem elektrofory, które się trzepało lisim
ogonem, butelki lejdejskie, elementy różnych typów itp.
Pomagali mi w tym koledzy, z którymi w tym czasie najbliżej żyłem: Aleksander
Staroświecki, zwany pospolicie Szurką, i Staś Jankowski. Ze Staroświeckim,
choć Rosjaninem, najbardziej jem się zaprzyjaźnił, łączyły nas wspólne upodobania,
i kultura z domu wyniesiona. Rewolucja bolszewicka wymiotła go z Wołynia
aż do Belgii, gdzie się ożenił i osiadł, biedując na posadce w
jakiejś fabryce chemicznej. Jeszcze w pierwszym roku ostatniej (czy aby
ostatniej?) wojny w 1939 r. miałem od niego list, obecnie nie wiem nawet,
czy jeszcze żyje! Oprócz wspomnianych utrzymywałem bliższe stosunki z Edmundem
De Mezerem, , Władysławem Łowienieckim,
+ Michałem Jankowskim i Bohdanem Kasztelanem; tylko z tym ostatnim
zetknąłem się w późniejszych latach, dał mi na pamiątkę swoją książkę
w języku angielskim: „One crowded hour", w której opisał
burzliwe dzieje swego żywota, dodając do „Warheit" wielką dozę „Dichtung"...
Z kolegami Rosjanami i Żydami stosunki były na ogół poprawne,
sporów i antagonizmów narodowych nie było, ale nie było też i bliższego
współżycia. My Polacy mieliśmy zawsze swoje odrębne sanktuaria, do
których nie dopuszczaliśmy obcych. Nie mówię już o związkach konspiracyj-
nych, ale po prostu Polacy nie bywali w domach rosyjskich a Rosjanie
w polskich. Wyjątkiem był wspomniany Szurka Starowiecki, który
się z Polakami przyjaźnił i bywał przyjmowany w domach polskich.
Antysemityzmu wyrozumowanego nie było, ale był instynktowny.

Nie mogłem sobie np. wyobrazić, że Polak może się ożenić z Żydówką, albo Polka wyjść za mąż za Żyda. Dopiero później zobaczyłem, że w Królestwie takie wypadki się zdarzają i zawsze mię to bardzo raziło. Koledzy Żydzi z gimnazjum mówili poprawnie po rosyjsku i starali się ~~[illegible]~~ upodabniać do Rosjan, po polsku albo nie mówili wcale, albo zaledwie kilka słów w przeciwieństwie do swych rodziców, którzy uprawiając rzemiosło i handel rozmawiali z klientami Polakami po polsku. Sprawa Dreyfusa była czynnikiem, który wyraźnie Żydów odseparował od chrześcijan i pamiętam na pauzach liczne dyskusje na ten temat.

Wakacje spędzałem częściowo u ojca, który wtedy w Warnawie zamieszkał, częściowo we wspomnianych już Nosowcach u matki, zamieszkałej u pp. Woroniczów. Później Woroniczowie i matka przenieśli się do Żytomierza, a babka zjechała do Nosowiec, gdzie pasierb jej a wuj mój Kazimierz Iwanowski został administratorem nie tylko ~~samego folwarku~~ samych Nosowiec, ale i sąsiednich folwarków: Łozowej i Trubeżki. Tak więc dwór Nosowiecki stał się dla mnie jakby rodzinnym domem, z którym mię łączą najmilsze wspomnienia. Sam dwór na wielką skalę zakrojony, ~~o pałacowym niby zaciszu~~, z wielkim podjazdem kolumnowym, z oranżerią (w której była śpiżarnia), z kapliczką (także), z ~~salą balową~~ wielką salą balową, i tarasem na kolumnach, miał całkiem pałacowe zacisze. Dość duży park spadał stromo ku stawowi, gdzie nie było ryb, ale za to pięknie rechocące żaby. Były, jak to zawsze na wsi, różne kundysy, były i charty do polowania na zające, były konie wierzchowe, bidki, linijki, bryczki, ~~[illegible]~~ sad z doskonałymi owocami, melony i kawony z inspektów albo z „basztanów", słowem raj ziemski. Najbliższym miastem był, ~~Hajsyn, dokąd się jeździło na pocztę i po zakupy odległy o 12 wiorst, położony~~ Hajsyn, odległy o 12 wiorst, dokąd się jeździło na pocztę i po zakupy. Kościół parafialny był w Kunie, własności Edwardostwa Jaroszyńskich. P. Jaroszyński wyróżniał się wśród okolicznego ziemiaństwa wysoką kulturą i głęboką pobożnością, dzięki czemu kościół kuniański miał w nim nie tylko formalnego kolatora ale i prawdziwego opiekuna. ~~Był tu nie~~ Był to kościół po-kapucyński, ~~o wszystkich cechach~~ ze wszystkimi cechami, ~~[illegible] typowych~~ typowymi dla świątyń przez ten zakon stawianych. Za mej pamięci był tam proboszczem O. Mariusz Klepacki, Kapucyn, przysłany do Kuny po zamknięciu klasztoru w Winnicy. ~~[illegible]~~ Dobry, łagodny, wyrozumiały na ułomności ludzkie, a przy tym ~~głęboko religijny~~ ponad poziom kapucyński wykształcony, ten kapłan cieszył się ogólnym poważaniem i sympatią. Zawsze otoczony psami, kotami, kurami, kaczkami i gołębiami, miłością swoją ~~dla~~ do zwierząt ~~naśladował~~ przypominał Św. Franciszka z Asyżu, którego habit nosił. Sługiwałem mu do Mszy Św. w niedziele wraz z Józiem Woroniczem i wtajemniczałem się w piękności liturgii katolickiej. On to mnie przygotował do pierwszej Komunii Św. i jego wpływ i wspomnienie o nim dodatnie zostawiły ślady na mojej duszy.

Polityka agrarna Rosji w stosunku do Polaków zamieszkałych na Litwie
i Rusi, czyli jak to się oficjalnie nazywało w kraju Północno-Zachodnim i
Południowo-Zachodnim, sprawiała, że ~~stan posia~~ majątki polskie stopniowo
topniały i dwory polskie stawały się coraz rzadsze. W sąsiedztwo jeździło się
zatem po kilkanaście a czasem i po kilkadziesiąt wiorst. Taka jazda szczególnie
nocą, po doskonałej twardej drodze podolskiej miała dużo uroku. Obok dworów
ośrodkami polskości były cukrownie, gdzie technikami i ~~of~~ urzędnikami bywali
przeważnie Polacy. Nosowce dostarczały buraków do Sitkowiec odległych o 5 wiorst.
Administratorem cukrowni był p. Jan Jakowicz, ~~ojciec licznej rodziny~~, zbieracz
starych obrazów i innych antyków, które sprzedał później ~~Galerii~~ Miejskiemu
Muzeum Sztuk Pięknych we Lwowie. P. Jakowicz był ojcem licznej rodziny,
panny były ładne, dom gościnny, słynne były tam bale na św. Jana,
ale i bez okazji imieninowych ciągle się tam ~~przeżyt~~ przewijali goście. Również
liczną i gościnną była rodzina dyrektorostwa Osińskich, z te dwa domy
najczęściej odwiedzałem i po dziś dzień z tymi rodzinami życzliwie utrzymuję
stosunki. Z Sitkowiec również pochodził, głośny ~~później~~ Walery Sławek, syn
pomocnika dyrektora, ~~którego później piłsudczycy~~ o którym później piłsudczycy
rozpuścili plotkę, jakoby był nieprawym synem ks. Czetwertyńskiego z
pobliskiego Daszowa. W paradoksalnych umysłach tych naszych smutnej
pamięci władców, pseudo-socjalistów i pseudo-~~dyktatorów~~ patriotów, uchodziło bowiem za
większy zaszczyt być nieprawym synem księcia niż legalnym ~~synem włostnego~~ skromnego technika....
ojca... ~~zaprzyjaźniliśmy się ze Sławkiem w~~ Spotykałem się później ze Sławkiem
za czasów studenckich, ~~ale zawsze odstręczał mnie od niego a po~~ w Warszawie,
ale do większego zbliżenia między nami nigdy nie doszło, a po zamachu
majowym 1926 r. drogi nasze ostatecznie się rozeszły. ~~Fakt, że jak ty~~
~~był on jednym z niewielu piłsudczyków, który się majątku nie dorobili~~
~~Fakt, że To, że się jak tylu innych piłsudczyków nie dorobił majątku~~
To, że się nie dorobił majątku na znajomości z „Dziadkiem”, jak tylu innych
piłsudczyków, i tragiczny jego koniec świadczą, że był to w gruncie uczciwy
człowiek. No, ale ~~to~~ trochę za mało, aby rządzić Polską! ~~Już nawet Prystor~~
~~był od niego mądrzejszy~~! (tu wstawka na osobnym papierze)

Dobrą część wakacji spędziłem u ojca, który zrezygnowawszy wreszcie ~~z pracy~~ z gospoda-
rowania/ na roli zamieszkał w Warszawie i pracował w Tow. Ubezp. „Przezorność”. Poznałem tam
kolegę ojca z „Przezorności” Stanisława Kozłowskiego, autora kilku dramatów wierszo-
wanych, granych w Warszawie. Właśnie ukończył był świeżo sztukę z dziejów czeskich
„Taboryci” i odczytał ją nam z rękopisu. Widziałem ją później, wystawioną na scenie
teatru „Rozmaitości” ~~ze~~ z Bolesławem Leszczyńskim w roli głównej. ~~Ale pamiętam, aby~~
~~mnie ta rzecz~~ Wspaniała gra ratowała słabą sztukę, ale dłużej na afiszu
utrzymać jej nie mogła. Teatr był wówczas moją pasją i pozostał nią jeszcze przez długie
lata, toteż podczas pobytów w Warszawie co wieczór szliśmy z ojcem, bądź do Rozmaitości, bądź do Opery, a w lecie do Teatru letniego w Ogrodzie Saskim, bądź do
jednego z teatrzyków ogródkowych, których jeszcze kilka było w Warszawie. ~~D~~ Poznałem
też Klemensa Junoszę (Szaniawskiego); pamiętam, że ~~byliśmy~~ byliśmy z ojcem i
z nim na kolacji w jakiejś restauracji; ~~[illegible]~~ robił wrażenie
poczciwego, dobrodusznego i wesołego człowieka, który umiał rozmawiać i żartować
ze sztubakami i właśnie tak wyglądał, jak sobie go wyobrażałem, czytając w Tygodniku
„Pająki”, „Czarnebłoto” i różne nowelki.

do str. 17

Sitkowce należały do ordynacji Teplicko-Sitkowieckiej, będącej wspaniałym szczątkiem ogromnych niegdyś dóbr Potockich. Obecny ordynat, hr. Franciszek Potocki, mieszkał w Peczarze, skąd po katastrofie bolszewickiej przeniósł się do Warszawy, gdzie w niepodległej Polsce objął stanowisko dyrektora departamentu wyznań religijnych w Ministerjum Wyznań i Oświaty. Kunkę, leżącą na połowie drogi do parafjalnej Kuny, a będącą własnością inż. Drewnickiego, dzierżawili Zakrzewscy, w Kuźmińcach siedzieli Bonieccy, w Charpaczce i Stepaszkach Jełowiccy, ~~w dalszej Narajówce w dalszej~~ dalej, w Narajówce, ~~Meleniewscy~~ komandor Maltański, Meleniewski, ~~[illegible]~~ który, w odwiedziny ~~do sąsiadów~~ przyjeżdżał ~~z lokajem~~ z własnym lokajem, wraz z Francuzem, co ~~wielki~~ zawsze sprawiało sąsiadom zaszczyconym odwiedzinami ~~[illegible]~~ wielki kłopot, ~~[illegible]~~ w Odajpolu i w Troszczy siedzieli ~~Zaleski~~ Zapolscy a w Ferdynandówce ~~[illegible] w majątku~~ Podgórscy. Dalej, bo w powiecie Skwirskim guberni Kijowskiej, miał majątek Szapijówkę ~~[illegible]~~, przyjaciel mego ojca, hr. Stanisław Tyszkiewicz, ~~powtórny wdowiec (primo voto z Chojecką żonaty)~~, wielki meloman i amator fotografii. ~~[illegible] z ojcem i przyjacielem [illegible] z młodymi Tyszkiewiczami, z których jed~~ ~~[illegible]~~. Wszystko to dziś nie istnieje, zmiecione przewrotem bolszewickim, ~~[illegible]~~ cienka warstwa kultury polskiej, nie mającej korzeni w ludzie, spłynęła, na miejscu polskich majątków powstały „kołchozy" i „sowchozy", ale czy ludność ~~[illegible]~~ rdzenna, owi Rusini, Małorusini, czy Ukraińcy, na takiej zmianie co zyskała — śmiem wątpić!

Wzór E. M. 127 (F2) 5000. 4.39.

(Do str. 17.)

Utkwił mi również w pamięci ciekawy obrazek z tych czasów, który warto zachować dla potomności. Znajomym ojca z Podlasia był unicki ksiądz Skalski, który po kasacie unii dostał się na jakąś posadę w Warszawie, czy nie na Kolei Wiedeńskiej, ~~[illegible]~~ tym nieocenionym przytułku różnych rozbitków życiowych. W dni powszednie pan Skalski chodził do biura, a w niedzielę ksiądz Skalski odprawiał Mszę Św. Na takie nabożeństwo zaprowadził mnie kiedyś ojciec. W typowym warszawskim saloniku zamknięto okiennice, z komody wyciągnięto szaty liturgiczne, samą komodę przybrano na ołtarz, pozapalano świece, i w takim katakumbowym iście nastroju, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ w obecności najbliższej rodziny i nas zaproszonych, ks. Skalski intonował: Hospody pomyłuj! Sprawiło to na mnie wielkie wrażenie i przypomniało naocznie o prześladowaniu unii, o którym tylko słyszałem różne opowieści.

Dziś ojcu pokazałem V Płock, do którego śmy jeździli statkiem i Kraków.
Ten ostatni uczynił na mnie wielkie i nie przemijające wrażenie. Już w samym pociągu wyjazdu „za granicę" było wiele emocji. Już na stacji w Szczakowie wszystko było takie inne, [Nawet pociągi wymijały się na lewo] innymi wagonami się jechało, a Kraków wydał mi się jakimś zaczarowanym miastem z bajki. ~~O [illegible] kilka [illegible] od [illegible] było już [illegible]~~ ~~[illegible]~~ Wszystko mnie zachwycało i mówiło o wielkiej przeszłości narodu. Z nabożnistwem chodziłem po rynku, gdzie umurowana ~~[illegible]~~ w bruk tablica znaczyła miejsce, gdzie [na którym] przysięgał Kościuszko, słuchałem z rozrzewnieniem ~~hejnału~~ ~~[illegible]~~ cogodzinnego hejnału z wieży Mariackiej i bicia starych dzwonów. Nie czuło się tu niewoli jak w Warszawie, ale i nie czuło protestu, Polska tu ~~[illegible]~~ drzemała, śniąc jakiś czarowny sen; dopiero później miałem się przekonać o szkodliwości tej austryjackiej magii. Na razie przybysze z „Rosji" oddychali tu namiastką wolności, która im uderzała do głowy mocniej niż wino u Hawełki.

Oprócz odmiennego ~~nastroju politycznego~~ od Warszawy klimatu politycznego Kraków dawał już przedsmak gór, które w dzień pogodny widziało się ~~na horyzoncie~~ z Kopca Kościuszki na horyzoncie. Monotonia niziny polskiej zawsze mnie nudziła, brzydota okolicy podwarszawskiej irytowała, toteż falistość gruntu zaczynająca się na południe od Krakowa była dla mnie prawdziwym wytchnieniem. A już zetknięcie się z Pieninami w Szczawnicy i z Tatrami w Zakopanem był to taki cud, że nawet późniejsze poznanie Alp nie zdołało go przyćmić.

W czerwcu 1898 r. zdałem maturę uzyskując zarazem „medal złoty" — „za szczególne postępy w greckim i matematyce". ~~[illegible]~~ Z tą greką to była istna blaga, bo moja w tej dziedzinie wiedza nigdy nie przekroczyła poziomu przeciętności, ale dawał nam greckiego przecież sam dyrektor, który był zarazem „gospodarzem" (wychowawcą) naszej klasy przez całe pięć lat, więc nie wypadało napisać inaczej. Dyrektorowi też zawdzięczamy istną powódź medali: 8 złotych i 5 srebrnych na około 80 matur.

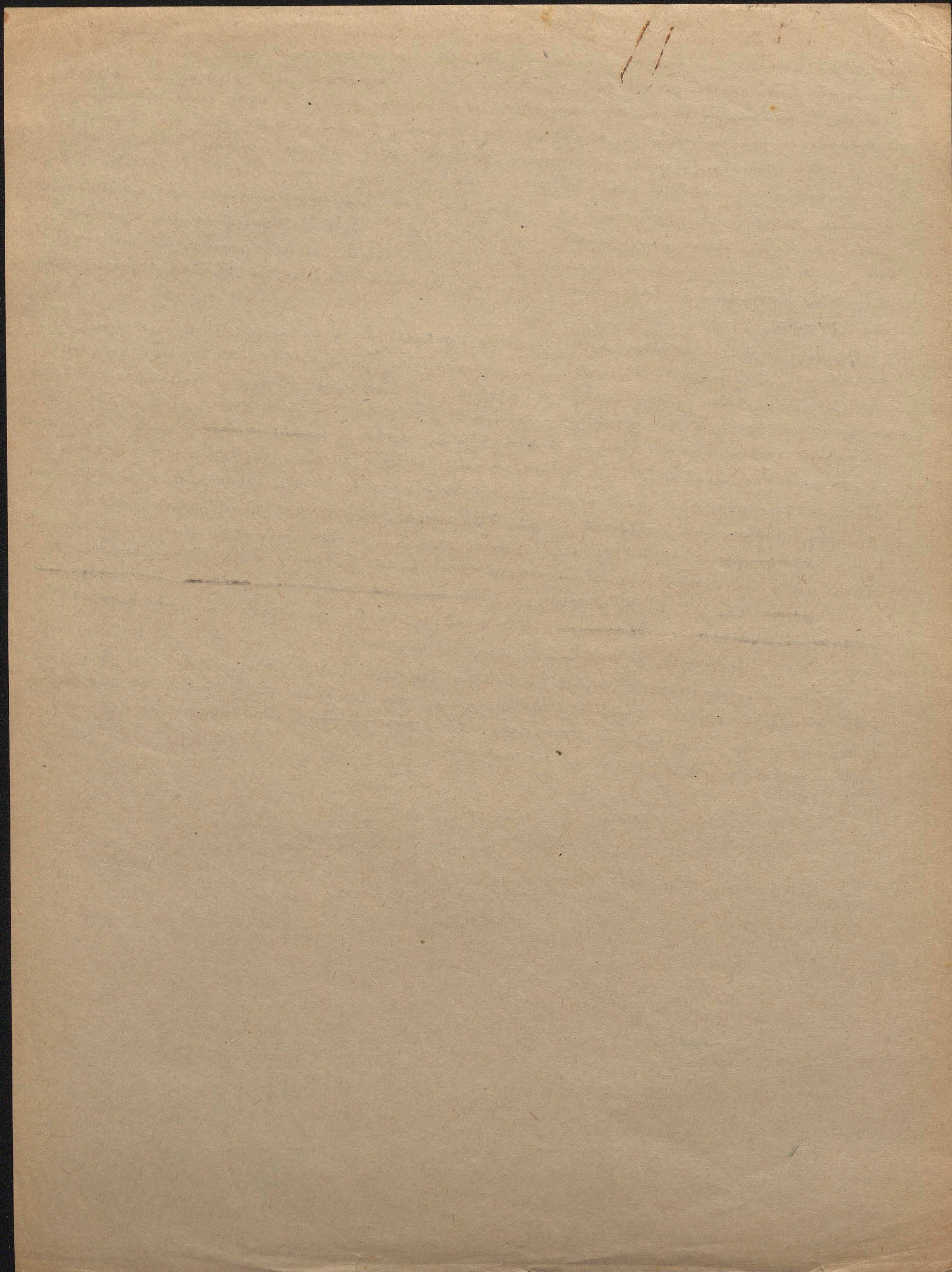
W tym roku na skutek wizyty cesarza Mikołaja II w Warszawie została zebrana znaczna suma pieniędzy, zdaje się przeszło milion rubli, dla uczczenia tego wydarzenia, a cesarz „miłościwie" przeznaczył tę ~~sumę~~ [ją] na założenie Politechniki w Warszawie. Ojcu technika zawsze bardzo imponowała, inżynierowie robili wtedy „bajeczne kariery", skłonił mnie ~~więc~~ [zatem] do wstąpienia do ~~[illegible]~~ mającej się otworzyć uczelni, z którą Królestwo Polskie łączyło wiele różowych nadziei. Mnie pociągał raczej Uniwersytet Kijowski, dokąd kierowała się ~~W jesieni~~ większość moich kolegów, ale musiałem ~~ustąpić~~ ojcu ustąpić.
Po wakacjach miałem więc udać się do Warszawy i poddać się tam egzaminowi konkursowemu upoważniającemu do wstąpienia na Politechnikę.
Tymczasem zafundowałem sobie [letnią] czapkę studenta uniwersytetu: białą z szafirowym otokiem i ~~pojechałem~~ z dumną miną [pojechałem] na wywczasy do Nosowic.

V Podlasie z rodzinnym ojca Gródkiem, Częstochowę,

Jakie było to gimnazjum żytomierskie i jak dzisiaj, z perspektywy tylu lat, mógłbym ocenić jego wartość? Zwykły to ale nieunikniony błąd: uogólnianie własnych doświadczeń; sądząc zatem po sobie i najbliższych mi znanych kolegach, powiem, że nie zamęczając nas zbytnio dało nam pewien solidny podkład wiedzy w ograniczonym zakresie w myśl zdrowej zasady: non multa sed multum. W gimnazjach dzisiejszych uczą więcej, może i lepiej, ale uczniowie mniej umieją. Ja osobiście wyniosłem niezłą znajomość łaciny, matematyki i fizyki i z tym dawałem sobie jakoś w życiu rady. Nauką nas, jak powiedziałem, nie zamęczano, warunki życia mieliśmy dobre, niemal wiejskie, żadnych specjalnych sportów nie uprawialiśmy, ale ślizgawka w zimie a w lecie dalekie przechadzki za miasto i pływanie łódkami po Teterowie były ich równoważnikiem, a może i lepsze były dla zdrowia.

Oprócz zwykłego kontyngentu lekarzy, prawników, nauczycieli itd., na ogół porządnych i pożytecznych ludzi, z gimnazjum żytomierskiego ~~[illegible]~~ wyszło za moich czasów kilku ludzi, którzy zasłynęli potem na szerszym świecie: Kazimierz Stołyhwo, profesor antropologii na Uniw. Jagiellońskim, Eugeniusz Frankowski, prof. etnologii na Uniw. Poznańskim (ten co prawda tylko skończył ~~[illegible]~~ szkołę w Żytomierzu, a pochodził z Siedlec), Józef Turczyński, znany wirtuoz fortepianowy, bracia Wielhorscy: Władysław - polityk i Aleksander - muzyk, Jan Szembek, przedwcześnie zmarły dyplomata i literat i Jan Tokarzewski-Karaszewicz z Podola rodem, który, ~~[illegible]~~ odwróciwszy stare hasło, stał się „gente polonus - natione ruthenus" ożenił się z Ukrainką i został ambasadorem rządu Petlury w Konstantynopolu, a potem ~~który~~ klepał biedę w Paryżu. ~~Ta metamorfoza była [illegible] bezinteresowna i [illegible] i wynikła z idealnych~~ Mimo odmiennych poglądów ta metamorfoza wynikła z idealnych pobudek i potępić jej nie można.

Z Żytomierza wreszcie wyszli i bracia Jędrzejewiczowie, którzy tak smutną po sobie pamięć w Polsce zostawili. Na szczęście nie znałem ich osobiście za czasów gimnazjalnych, a później w Warszawie tak ~~odmiennymi~~ różnymi chadzaliśmy drogami, że nie ~~[illegible]~~ miałem okazji z nimi się zetknąć.



Rozdział II

Czasy studenckie

Zamianie czapki uczniowskiej na studencką towarzyszy zwykle uczucie, które Anglicy nazywają „puchnięciem głowy", na skutek czego każda czapka wydaje się za ciasną. Młokosowi, który już w ostatniej klasie gimnazjum skrobał sobie na policzkach i podbródku jakieś niewidoczne gołym okiem puszki, zaczyna się naprawdę puszczać na twarzy męska roślinność; ~~z pewnym zachwytem~~ młodszych od siebie o rok chłopców, których jeszcze kilka miesięcy temu uważał za kolegów, obecnie traktuje z pobłażliwym lekceważeniem, zwraca coraz baczniejszą uwagę na osoby płci odmiennej, nabiera pewności siebie, czasem zasługującej na miano „tupetu" i bywa nieznośny w rodzinie, która przez jakieś dziwne zaślepienie nie dostrzega metamorfozy sztubaka w dorosłego człowieka, o czym świadczy przecież „matura" – świadectwo dojrzałości!

Przechodziłem i ja te objawy, ale w bardzo łagodnym stopniu i moje tegoroczne wakacje nie różniły się prawie niczym od dawniejszych. Tak samo jeździłem konno po folwarkach i polach pomagając ekonomom liczyć kopy pszenicy, tak samo jeździłem po pocztę do Hajsyna, a w niedzielę służyłem do Mszy O. Mariuszowi. Nie przejmowałem się myślą, że mnie czeka konkursowy egzamin do politechniki, bo wiedziałem, że w razie niepowodzenia zostanę automatycznie przyjęty na uniwersytet. Używałem tedy beztrosko wsi i dostatniego życia. ~~u wuja w Nosowcach~~ Stosunek z ludnością wiejską był poprawny, choć z każdym rokiem dawna „patriarchalność" zanikała. W Nosowcach pod tym względem nie było ani gorzej ani lepiej niż w sąsiednich znanych mi dworach. Nowożeńcy zwykle przychodzili z całym orszakiem weselnym pokłonić się „panu", odbierali życzenia tegoż wraz ze skromnym datkiem pieniężnym i tańczyli przez chwilę w przedpokoju. Chorzy przychodzili po poradę i lekarstwa: największym powodzeniem cieszyła się nalewka bardzo mocna i gorzka na jakimś korzeniu „kałganie"; był to podobno syberyjski specyfik od cholery, ale stosowany z powodzeniem we wszelkich bólach żołądka tak pospolitych na wsi w sezonie ogórków. Oprócz tego: olej rycynowy, chinina, wewnątrz a jodyna i wazelina na zewnątrz – oto był cały repertuar apteki domowej. Do żniw, które należało odbyć w szybkim tempie, aby się ziarno nie wysypywało, zwoływano ludność wiejską przez „heroldów", obdarzonych donośnym głosem parobków, którzy z wieczora zachęcali chłopów do stawienia się do pracy na danym polu, oznajmiając zarazem o jej warunkach t.j. o ilości kopiejek od zżętej kopy, bo praca była na akord. W różne półświątki, w które obfituje kalendarz prawosławny, nie można było pracować za pieniądze, urządzało się zatem t.zw. „tłoky". Było to coś w rodzaju zabawy towarzyskiej, połączonej ze żniwem.

Przywożono się na pole wódkę, ~~jakieś~~ gościńce dla dziewcząt, urządzano jakąś loterię, ~~[illegible]~~ kapela wiejska przygrywała i między jednym tańcem a drugim coś niecoś pszenicy się zebrało. Tak samo z muzyką i tradycyjnymi śpiewami obchodziło się zawsze dożynki.

Pięknie wyglądały na ścierni dorodne piętnastki, których nikt u nas z niemiecka „mendlami" nie nazywał; ~~budowało~~ stawiało się je ~~[illegible]~~ odwiecznym fasonem czworokątnym ~~snopami~~ kłosami do środka a z wierzchu nakrywało czapą z rozczepierzonego snopa. Z gęstości kóp na polu wprawne oko gospodarza oceniało urodzaj. Na ten temat kursował w tym czasie w okolicy żart o tak fenomenalnym urodzaju u pewnego ziemianina, że nie mógł on zmieścić kóp na własnym polu i musiał wydzierżawić w tym celu pole od sąsiada. Już przy mnie zanikły ~~tłoki~~ i ~~[illegible]~~ żęcie sierpem przez tłumy kobiet; zjawiły się najprzód zwykłe żniwiarki, machające niby wiatracznymi skrzydłami, a potem żniwiarki-wiązałki. Nie jestem chwalcą czasu przeszłego ~~laudator temporis acti~~, więc nie żałuję tych ~~[illegible]~~ dawnych malowniczych ale uciążliwych sposobów zbierania zboża ~~(tym bardziej, że „sic vos non vobis"...)~~ i witam z uznaniem wszelki wynalazek, który zaoszczędza ludziom potu i zmęczenia. A zresztą i widok żnących żniwiarek-wiązałek ma także dużo malowniczości ~~w sobie~~.

Wreszcie następował ostatni akt – młócka. Odczyszczone, wyświeżone i wyremontowane ~~[illegible]~~ lokomobila i młocarnia jechały na miejsce, gdzie się młócenie miało odbywać. Jeżeli zważymy, że trzeba było przy tym przejechać czasem kilka jarów mniej lub więcej stromych i kilka mostków czy ~~tak~~ grobelek mniej lub więcej zdezelowanych, to zrozumiemy, że ~~tego roku~~ ten dzień był dla gospodarza niczym decydująca ~~[illegible]~~ bitwa dla Napoleona ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~. Mogło to być ~~Austerli~~ Marengo czy Austerlitz, oby nie było Waterloo! Wszystkie chyba konie i woły folwarczne, w przemyślny jakiś sposób poprzęgane do tych dwóch potworów, smagane batami, podniecane krzykami, ledwo mogły je wciągnąć pod górę. Sam gospodarz, jak wódz naczelny, dawał dyspozycje, które zdenerwowani ekonomowie, uwijając się na spoconych wierzchowcach, starali się, ~~wykonać~~ ~~za pośrednictwem przy odpowiedniej~~ ~~wytłumaczyć parobkom~~ przy odpowiedniej dozie ~~łajania~~ barwnego i obrazowego łajania, wytłumaczyć parobkom. Ci wreszcie ~~bezpośrednio~~ ~~wykonawcy podwajając „rugania" i bicia~~ zwracali się bezpośrednio do ~~[illegible]~~ wołów i koni i za pomocą podwojonego „rugania" i bicia uzyskiwali wreszcie od tych pociągowych stworzeń wykonanie skomplikowanego taktycznego planu, polegającego na przewiezieniu machin na miejsce przeznaczenia.

Szlubak jest istotą w życiu towarzyskim zaledwie tolerowaną — student całkiem równouprawnioną. Miałem i na sobie tego doświadczyć, biorąc odtąd czynny udział w rozmaitych wieczorkach, balach, teatrach amatorskich i polowaniach, którymi urozmaicano sobie w tych stronach życie. Warto zostawić dla potomności opis takiej ~~zabawy tańczącej taneczną na~~ wiejskiej zabawy tanecznej, bo i pod tym względem obyczaje szybko się zmieniają.

Do małych wieczorków wystarczała najczęściej jakaś kapela wiejska, ale na wyższe uroczystości sprowadzano orkiestrę jakiegoś słynnego w okolicy Herszka z Niemirowa, czy z samej Winnicy. Tańce zaczynały się wcześnie koło 8-ej wieczorem a trwały, mało powiedzieć „do rana", ale do zupełnego już dnia. ~~Tańczono~~ Zaczynano bal zwykle polonezem, po którym szły walce, mazury, kontredanse, polki i kotyliony. Innych tańców na ogół nie tańczono. Różne pas-de-quatre'y, pas-d'Espagne, węgierki i t.p. były efemerydami, do których zaledwie kilka par można było zwerbować, ~~i były rzadko zapisani~~ czasem w trakcie mazura z figurami znajdowali się amatorzy oberka czy krakowiaka, ale to były tylko nieliczne rodzynki w cieście. A ciasto stanowiły jak już mówiłem: mazur, kontredans i walc. Każdy z tych tańców był oczywiście „z figurami" i trwał nieskończenie długo.

Dzisiejsze tańce, owe tanga, bluesy, shimmy i foxtrotty mają wybitnie charakter egoizmu à deux. Partner z partnerką, nie dbając o ~~na~~ resztę tancerzy, ~~przyjść~~ ściskają się, ocierają się o siebie i wolno, ledwo przesuwają się z miejsca na miejsce, całkiem co prawda zbytecznie, bo ten swój „taniec" mogliby z równym skutkiem wykonywać, nie ruszając się z miejsca, a nawet w zgoła innej pozycji niż stojącej. Natomiast w czasach, które opisuję, tańce ~~są~~ były wybitnie społeczne, stąd też ogromną w nich rolę odgrywał aranżer czyli wodzirej, prowadzący tańce. ~~Do mazura stawać~~ On to ustanawiał porządek tańców, ~~on~~ układał figury, dobierał pary, konferował z orkiestrą w sprawie repertuaru i t.p. Do mazura stawały wszystkie pary, najczęściej od początku balu już ze sobą zmówione, tańczyły przez chwilę, po czym wodzirej je numerował i komenderował: Pierwsza para, mazur! ~~Pierwsza para tańczyła, a~~ Dalej następowała komenda: Pani wybiera pana, a pan wybiera panią! Z jednej pary powstawały dwie pary, z dwóch cztery, z czterech osiem i tu już wodzirej mógł dać upust swej fantazji, zarządzając przeróżne tradycyjne, ~~zawsze jednak dla wszystkich tańczących~~ a jednak zawsze ~~nowe~~ miłe figury. Do ulubionych należała t.zw. figura „marymoncha", vel „krakowska",

w której panowie, zostawiając na chwilę ~~panie~~ tancerki na ~~[illegible]~~ obwodzie koła tanecznego, tworzyli koło. Z ośmiu kołujących tak panów co drugi, ~~obsuwał się ku [illegible] posadzce~~ mocno trzymany za ręce przez sąsiadów, obsuwał się ku posadzce i spotykał stopami z przeciwległym tancerzem. W ten sposób tworzył się ~~[illegible]~~ poziomy krzyż wirujący ~~[illegible]~~ najpierw z nieparzystych, a potem z parzystych uczestników koła. Dla każdej ~~par~~ pierwotnie zanumerowanej pary, zwykle rozmnożonej, jak to już mówiłem, przez wybieranie do ~~[illegible]~~ dwóch, czterech czy nawet ośmiu, trzeba było jakąś inną figurę wymyślić, toteż funkcja wodzireja nie była synekurą. Gdy padła komenda: zwodzonego! ~~kobiety~~ damy mogły dawać upust swej przewrotności, wabiąc to tego to owego i ~~po sekundzie~~ rzucając go czasem już po sekundzie, aby złowić drugiego i trzeciego. W „odbijanym” natomiast wyrażała się ~~[illegible]~~ walka mężczyzn o kobietę, każdy się starał nie dopuścić do oddania tancerki, tylko zakończyć z nią taniec tradycyjnym ~~zakręceniem~~ hołupcem i zakręceniem w kółko.

Podobnież tańczyło się kontredansa, w którym po „odrobieniu” klasycznych pięciu figur i szóstej galopady następowały przeróżne: „ronds”, „chaînes”, „corbeilles” itp., jakieś: „kółka” „krzyżyki”, „węże”, wijące się niekiedy przez wszystkie korytarze i pokoje domu. Nie oszczędzano i walca, którego też ozdabiano figurami. Kolacja stanowiła ~~[illegible]~~ odpoczynek dla nóg, raźno natomiast pracowały szczęki, a co się przy tym nagadano, naśmiano, nadowcipkowano! Przy głównym stole, gdzie siedzieli starsi, było poważniej, ale co za gwar, co za wesołość panowały przy bocznych stołach – oficynach! Bodaj to młodość, iucunda iuventus; nie potrzeba nam było tej żywiołowej radości podniecać wódką, jak się to teraz, niestety, często praktykuje wśród młodzieży. Wódkę piło się zazwyczaj przy osobnym stoliku z przekąskami, jeden, dwa, wreszcie trzy kieliszki, ale w czasie kolacji podawano tylko piwo i ~~jakieś~~ lekkie wino. Toteż rzadko kiedy dochodziło do ~~jakiegoś~~ „zalania się”, czy do jakiejś pijackiej awantury.

Po kolacji tańce z nową energią trwały do rana i kończyły się „białym mazurem”, który trząsł jeszcze posadami domu, kiedy słońce już wysoko było na niebie. Jeszcze jakiś barszcz w filiżankach, ~~jakiś~~ czasem do tego jakiś bigos, i ledwo żywe bractwo rozjeżdżało się do domów albo szło spać do gościnnych pokojów ~~[illegible]~~ dworu, do ~~jakichś oficyn~~ ad hoc przygotowanych oficyn, czy wreszcie do stodoły.

Ale i najdłuższe wakacje kończą się wreszcie, i nie ma
rady, trzeba jechać do Warszawy na ów konkursowy egzamin. ~~Politechnika~~
Świeżo założona politechnika mieściła się tymczasowo w gmachu
dawnej fabryki tytoniu „Union" przy ul. Marszałkowskiej, ~~a domu~~ na
rogu ul. Hożej w jednopiętrowym domu, dziś jeszcze istniejącym, mieściły się
laboratoria chemiczne. Egzaminy zarówno pisemne jak i ustne poszły
mi dość łatwo ~~i [illegible] uzyskałem prawo~~ i zapisałem się na wydział
mechaniczny, z którego po kilku tygodniach przeniosłem się na chemicz-
ny, dokąd mnie ciągnęły moje, ze szkoły jeszcze wyniesione, upodobania.
Chemii nieorganicznej dawał prof. Bewad, organicznej – Wagner, po-
dobno sława w swoim zakresie, oczywiście poznać się na tym nie
mogłem, podziwiałem za to jego potężną tuszę, tubalny głos i powtarza-
łem sobie z kolegami krążące o nim anegdoty. Krystalografię ~~dawał~~ wykładał
sam dyrektor – Lagorio, wytworny dżentelmen, botanikę – Palladin
o typowym wyglądzie rosyjskiego profesora-liberała. Polaków profesorów
było zaledwie kilku. • Fizyk Wiktor Biernacki, podobno bardzo zdolny
i rokujący wielkie/nadzieje, które jednak nie bardzo się ziściły. Wykła-
dał nudnie a mnie wprost usypiał/monotonnym głosem.
Wspomnę tu o Wiktorze Biernackim, fizyku, podobno bardzo zdolnym
i rokującym wielkie nadzieje, których jednak jakoś ziścić nie zdołał.
Technologii chemicznej dawał stary Józef Jerzy Boguski, architektury
– Tołwiński, geometrii wykreślnej – Glass, kreślenia – Okolski.ˣ Więcej Polaków
było wśród asystentów i laborantów: tu poznałem Tadeusza Miłobędzkiego,
który mnie wtajemniczał w arkana ~~chemii~~ analizy chemicznej, ˣ i
Kazimierza Stawińskiego, również chemika. Obaj w niepodległej Polsce
objęli katedry uniwersyteckie.

Z kolegów ~~zbliżyłem~~ przyjaźniłem się z Antonim Makowieckim, ~~którego losy~~
~~mnie [illegible]~~ podolakiem, który zrobił później znaczną karierę w
cukrownictwie, z Ludwikiem Kozińskim, Stefanem Mońcha i Edwardem
Ziemkowskim, autorami popularnych podręczników szkolnych fizyki i
chemii i Janem Grabowskim, mniej zaszczyconym w swoim zawodzie, ale
słynnym jako autor doskonałych powieści dla dzieci.

Z liczby kolegów, z którymi się zbliżyłem, muszę przede wszystkim
wymienić Antoniego Makowieckiego, podolaka, ~~który~~ który jakiś czas
mieszkał ze mną w Warszawie, a którego ja znów odwiedziłem bądź w
jego rodzinnej Kochanówce na Podolu, bądź już jako dyrektora cukrowni
w Wierzchosławicach na Pomorzu. Zrobił on wielką karierę w cukrownictwie
i ostatnio był dyrektorem największej cukrowni w Polsce (czy też na świecie
nawet) w Chełmży na Pomorzu. Dalej nasuwają mi się nazwiska
Ludwika Kozińskiego, Stefana Mońchy i Franciszka Ziemkowskiego,

zwykle skojarzone, jako autorów popularnych podręczników szkolnych fizyki i chemii. Z Kozińskim łączą mnie jeszcze późniejsze wspomnienia wspólnych wycieczek ze granicy. Wreszcie ~~wspomnę~~ tu się zaprzyjaźniłem z Janem Grabowskim, ~~mniej rozbudzonym znawcą na polu chemii~~ ~~nia~~ który zdobył ostrogi nie na polu chemii lecz jako autor doskonałych powieści dla dzieci. Oprócz tego przyjaźniłem się jeszcze z Leopoldem Makowskim,

~~Z innych wydziałów Najwięcej zbliża wspólna praca w laboratoriach, mniej już wspólne wykłady, co się … mniej już wspólne i kuchnia … nawet i to nie Tęczy, ta~~

późniejszymi cukrownikami, Henrykiem Zagrodzkim, Zdzisławem Bsckim, który po ukończeniu chemii wstąpił na prawo i zrobił karierę urzędniczą w ~~Państwie~~ Polsce niepodległej (x) [(x) z Henrykiem Tenenbaumem, marnym chemikiem, ale ~~dobrym ekonomistą~~, bardzo w późniejszych czasach cenionym ekonomistą,], wreszcie z najsłynniejszym z nich, Antonim Ponikowskim, późniejszym ministrem oświecenia i premierem w Rządzie Polskim. Ten ostatni był przewodniczącym mojej grupy w „Zjednoczeniu", stowarzyszeniu studentów Politechniki, założonym na wzór istniejących przy Uniwersytecie: „Bratniej Pomocy" i „Spójni". Pierwsza miała charakter bardziej „narodowy" – druga bardziej „postępowy"; nasze „Zjednoczenie" łączyło wszystkich Polaków bez względu na ich poglądy polityczne. Jednakowoż, czy to ~~ze~~ z uwagi na sympatie ideowe, czy z innych jakichś powodów, więcej kontaktu mieliśmy ze „Spójnią" i prowadziliśmy z nią wspólną kuchnię, gdzie za bardzo tanie pieniądze można było dostać wcale niezły obiad. [z chlebem i musztardą ad libitum.]

Oprócz „Zjednoczenia" mieliśmy jeszcze towarzystwo śpiewacze „Pieśń", konkurujące z uniwersytecką „Lirą". Prowadził te chóry Zygmunt Noskowski, ale ćwiczył nas głównie Elertowicz a później Konopasek. Noskowski był od „wielkiego dzwonu" i on to dyrygował naszymi ~~występa~~ ~~mi publicznymi~~ koncertami publicznymi, na których występowaliśmy w uznajętych frakach, jako iż studentom nie wolno było produkować się w mundurach na polskich imprezach publicznych. I w „Zjednoczeniu" i w „Pieśni" ~~Ko~~ Antoni Ponikowski brał czynny udział, już wtedy cieszył się wielkim poważaniem wśród młodzieży i darem organizacyjnym.

Nauka w Politechnice nie absorbowała nas całkowicie, inne nasze zainteresowania znajdowały ujście w wykładach t.zw. „latającego uniwersytetu" z którego powstało później naprzód „Towarzystwo Kursów Naukowych" a ~~po~~ wreszcie „Wolna Wszechnica Polska". Wykładali tu po mieszkaniach prywatnych, coraz to gdzie indziej, najwybitniejsi uczeni warszawscy, którzy mogliby być ozdobą każdego uniwersytetu. Szczególnym powodzeniem cieszyły się wykłady ~~Adama filozofii i~~ filozofii Adama Mahrburga. Wielu słyszałem profesorów, ale ~~nie wielu~~ rzadko który ~~do~~ mógłby dorównać Mahrburgowi pod względem doskonałej budowy wykładu, jasności i wytworności stylu.

Jego to wykłady a następnie artykuły w „Poradniku dla Samouków" skłoniły mnie do ~~zajmowania się~~ studiowania filozofii i psychologii. W „Poradniku dla Samouków", tym nieocenionym wydawnictwie, które ~~obok „Uniwersytetu Latającego" było także~~ wraz z „Uniwersytetem Latającym" były doskonałą namiastką ~~uniwersytetu~~ prawdziwego uniwersytetu, zetknąłem się po raz pierwszy z nazwiskiem jego redaktora, p. Stanisława Michalskiego, którego wielkie zasługi poznać dopiero później, a jeszcze później zbliżyć się z nim i zaprzyjaźnić.

Oprócz Politechniki i samokształcenia się ~~[illegible]~~ znaczny wpływ wywierał na nas teatr, gdzie królowała polszczyzna, wygnana z innych dziedzin życia społecznego. Trudno sobie dziś wyobrazić, jak ~~wielką~~ doniosłą rolę odgrywał w Polsce w owych czasach teatr, gdzie grywano często „Mazepę", ~~nie dramat~~ „tragedię w 5 aktach p. J. S." (bo nazwisko Słowackiego było wykreślone przez cenzurę rosyjską), gdzie salwą oklasków przyjmowano ~~zjawienie się na scenie~~ w „Hrabinie" Moniuszki zjawienie się na scenie aktora w mundurze ~~[illegible]~~ polskim, gdzie można było zobaczyć żupany i kontusze w „Zemście" Fredry... I aktorzy, zdaje się, rozumieli swoje posłannictwo, ~~a teatr w~~ toteż publiczność darzyła ich ~~sympatią~~ ~~i uznaniem [illegible] dzisiejsi aktorzy nas [illegible] [illegible]~~ ~~uznaniem~~ zasłużonym uznaniem i sympatią i zapisała w życzliwej pamięci takie nazwiska jak Bolesława Leszczyńskiego, ~~wspaniałej postaci obdarzonego pięknym~~ obdarzonego wielkiego tragika, ~~wspaniałej postaci obdarzonego pięknym~~ szlachetną męską urodą i wspaniałym głosem, doskonałego „Otella", „Króla Leara", „Wojewody" i „Cześnika", Wincentego Rapackiego (ojca), wybornego „Kajetana Milczka", Mieczysława Frenkla, który objął berło śmiechu po Alojzym Żółkowskim, że wspomnę tu tylko najsławniejszych. Obok teatru „Rozmaitości", którego zespół ~~przenosił się na lato~~ do „Teatru Letniego" w Ogrodzie Saskim, ~~dużą rolę w życiu stolicy odgrywała~~ wielkim powodzeniem cieszyła się opera, gdzie oprócz sił miejscowych sprowadzano ~~występujących~~ głośnych śpiewaków zagranicznych. Pamiętam, że kiedyś w „Aidzie" występowali tu jednocześnie Caruso, już opromieniony sławą najlepszego tenora, i Kruszelnicka, której to był w Warszawie debiut. Od razu porwała publiczność i umiała ją później czarować jako „Halka" i „Hrabina" — najlepsza jaką kiedykolwiek w życiu widziałem i słyszałem. Opera stała zatem ~~[illegible] za moich czasów studenckich postała~~ wysoko i chętnie na nią uczęszczałem na „galerię", ~~[illegible]~~ trzeciego piętra, a często i na „paradyz" czwartego piętra, gdzie z bocznych miejsc nic się sceny nie widziało. Z innych śpiewaków wspomnieć muszę Aleksandra Bandrowskiego, niezapomnianego „Tannhäusera" i „Lohengrina", który rozmiłowaną w włoskim „bel canto" Warszawę nawracał na surową wagnerowską wiarę.

Dużą rolę w kształtowaniu naszych umysłów odgrywała prasa, szczególnie różne tygodniki społeczne, w których mimo trudności cenzuralnych zdolni i śmiali publicyści umieli ~~między wierszami~~ pisać między wierszami i wpływać na opinię. Założony przez Jana Popławskiego, narodowy organ „Głos", doskonale redagowany wówczas przez Zygmunta Wasilewskiego, ~~*~~ z końcem r. 1899 przeszedł na własność Jana Władysława Dawida i zmienił barwę z biało-czerwonej na czysto czerwoną... Wychodził jeszcze „Przegląd Tygodniowy" Adama Wiślickiego, pozytywistyczno-liberalny, ale górowała nad nim „Prawda" Aleksandra Świętochowskiego, której redaktor w swych świetnych felietonach jako „Poseł Prawdy" walczył ze wszelakim wstecznictwem czyli z tym, co za wstecznictwo uważał. Później nieco powstało „Ogniwo" o zapaszku masońskim; Ludwik Krzywicki, Stanisław Posner i Stanisław Stempowski nadawali mu swoisty kierunek. W Petersburgu wychodził „Kraj" pod redakcją Erazma Piltza. Był to ~~or~~ organ ugodowców, ale dzięki lżejszym warunkom cenzuralnym, mógł on pisać śmielej i wyraźniej od bardziej skrępowanych pism warszawskich, toteż czytywano go zawsze z uwagą mimo jego kierunku politycznego. Pionierką antysemityzmu w formie dość hałaśliwej i prymitywnej była „Rola" Jana Jeleńskiego, zdaje się, że ani Polacy ani Żydzi nie ~~brali jej~~ traktowali jej zbyt poważnie. Z pism obrazkowych wychodziła jeszcze „Biesiada Literacka" Władysława Maleszewskiego ~~i „Tygodnik Illustrowany~~ o poziomie bardzo popularnym i „Tygodnik Illustrowany", redagowany przez Józefa Wolffa, a wydawany przez firmę „Gebethner i Wolff", która, rozporządzając znacznymi funduszami, mogła sobie pozwolić na dobór pierwszorzędnych sił literackich. Przez pewien czas ~~[illegible]~~ próbował z nim rywalizować „Wędrowiec", ale długo się nie utrzymał. Doskonale redagowana ~~[illegible]~~ przez Adama Mahrburga a potem przez Mariana Massoniusa, „Książka" dawała recenzje z nowych książek i pozwalała orientować się w ruchu wydawniczym we wszystkich jego dziedzinach. Wreszcie na ostatnim z kolei miejscu, choć dla jego wartości pierwsze by mu się należało, wspomnę tu o „Wszechświecie", poświęconym naukom przyrodniczym. Redagował go Bronisław Znatowicz, wybitny chemik, który, nie mając do rozporządzenia ani katedry uniwersyteckiej ani odpowiednio urządzonego laboratorium, a zajmując skromne stanowisko kierownika „Inspekcji Gazowej" magistratu m. Warszawy, ~~[illegible]~~ zdołał i pracować naukowo, i krzewić zapał do nauki wśród młodzieży, i ~~[illegible]~~ zajmować się „Wszechświatem"

Odwróć!

Dbał przy tym o poprawną polszczyznę w artykułach przyrodniczych, wierny tradycjom Śniadeckich, z którymi był skoligacony. Toteż do jego pod tym względem wymagań musieli się dostosowywać i uczeni starszej generacji i młodzi debiutanci, jak zoolog Jan Tur, fizjolog Jan Sosnowski, geolog Jan Lewiński, krystalograf Zygmunt Weyberg i inni, dla których terminowanie we „Wszechświecie" było doskonałą szkołą językową. Za pośrednictwem Kazimierza Stołyhwy zbliżyłem się z tą całą paczką, a z p. Bronisławem Znatowiczem łączyły mię oprócz tego stosunki rodzinne, gdyż brat jego Edmund, chemik-cukrownik, był ożeniony z moją ciotką z domu Wyleżyńska.

Poza operą rozkoszowaliśmy się doskonałymi koncertami symfonicznymi we świeżo wybudowanej „Filharmonii". Dziś gdy to piszę (w 1943 r.), obydwa te przybytki muz, ~~Teraz~~ zburzone ręką barbarzyńcy, stoją w gruzach.

~~Mieszkaliśmy razem z kolegami w trzypokojowym mieszkaniu, przez które przewinęło się~~.

Mieszkałem razem z kolegami: z Kazimierzem Stołyhwą, kolegą gimnazjalnym z Żytomierza, ~~i Adamem Czartkowskim~~ późniejszym profesorem antropologii i Adamem Czartkowskim, wówczas studiującym przyrodę, którą miał ~~później~~ następnie zdradzić dla humanistyki. Prócz tego mieszkali z nami przejściowo wspomniani już wyżej: Antoni Makowiecki i Andrzej Koziński, a ~~różnych później~~ kolegów na tym — co się przewinęło przez nasze mieszkanie — lub innym polu ustalonych — trudno dokładnie wyliczyć. Pamiętam, że bywał u nas Kazimierz Błeszyński, przyrodnik i literat, Konrad Krzyżanowski, przedwcześnie zmarły malarz, doskonały portrecista, Franciszek Doleżal, późniejszy wiceminister przemysłu i handlu, od dyskusji wrzało jak w ulu a czasem od śmiechu i wrzawy dom się trząsł w posadach. Pasjonowała nas wtedy młoda ~~poez~~ literatura i sztuka, w modzie był Przybyszewski, „Chimerę" wydawał Miriam, a któż ~~[illegible]~~ jakiś, im bardziej był „laurowy i ciemny", tym więcej miał ~~powodzenia~~ uznania. Mimowoli i ja ~~ulegałem tej atmosferze~~ przesiąkałem tą atmosferą „sztuki dla sztuki", w której ~~w jednym~~ ~~wspólnym kultem~~ jednym wspólnym kultem obejmowano Villiers de l'Isle Adam'a, Strindberga, Ropsa, Hokusaja i Przybyszewskiego. To rozestetyzowanie młodzieży ~~było mało widziane~~ ~~życzliwie widziane~~ ~~przez~~ dogadzało rządowi rosyjskiemu, gdyż odrywało ją od innych mniej niewinnych zainteresowań politycznych. Na swoje dobro muszę tu zaznaczyć, że mój instynkt, nawet nie narodowy lecz ~~artystyczny~~ poetycki, pozwolił mi z całej tej mgławicy, zwanej „Młodą Polską", wyróżnić i ocenić wybitny talent Kasprowicza, który wówczas ~~wydał~~ był wydał potężne hymny p.t. „Ginącemu Światu". Dużo się od tego czasu zmieniło i na świecie i w moich upodobaniach literackich, ale Kasprowiczowi pozostałem wierny. Natomiast do Wyspiańskiego zawsze odnosiłem się z rezerwą: podziwiałem piękne fragmenty, ale ~~dalek~~ ~~byłem~~ wiele rzeczy mnie raziło a szczególnie jego niedbały język, pełen różnych niegramatyczności, wspólnych dla Meleagra, Bolesława Śmiałego czy Chłopickiego. Z Tetmajera najwyżej ceniłem i cenię „Na skalnym Podhalu", a z innych poetów tej bujnej epoki — Lucjana Rydla i to nie jako pisarza dramatów, lecz jako liryka pur sang, dziś mało czytanego, ~~ale którego (ale czy dzisiaj w ogóle czyta się wiersze?)~~ — ale czy dzisiaj w ogóle czyta się wiersze? Inter arma silent musae, jakże by słowiczy śpiew Rydla nie miał zamilknąć przy huku ~~[illegible]~~ bomb „kruszących" i „zapalających". Nie tracimy jednak nadziei, że ludzie wreszcie oprzytomnieją, a wówczas słowiki i skowronki będą miały głos.

Poza literaturą zacząłem się już wtedy interesować polszczyzną od strony językowej. W gimnazjum żytomierskim polskiego nas nie uczono, pierwszych wiadomości systematycznych z tej dziedziny zaczerpnąłem z gramatyki szkolnej Małeckiego, następnie zapoznałem się z Gramatyką A.A. Kryńskiego a potem z samym jej autorem. Mały człowieczek z bródką był wielkim uczonym, który się marnował na posadzie nauczyciela (języka francuskiego!) w jednym z gimnazjów warszawskich. Później powołano Kryńskiego na katedrę języka polskiego we Lwowie a wreszcie do wskrzeszonego uniwersytetu warszawskiego. Dostałem od czcigodnego autora jego rozprawę „O bezzasadnym rozróżnianiu końcówek „-ym" i „-em" w deklinacji przymiotników i zaimków" i zapoznałem się z zasadami jego pisowni, której pozostałem wierny aż do ostatecznego uchwalenia i zatwierdzenia zasad pisowni w r. 1936. Nigdy nie mogłem zrozumieć przywiązania niektórych osób do tego rozróżniania: „dobrym ojcem" a „dobrem dzieckiem", nie mającego uzasadnienia ani w historii języka ani w żywej mowie, a przecież są nawet na pozór oświeceni ludzie, którzy ten nonsens językowy podnoszą do godności jakiejś nietykalnej świętości narodowej, ~~której tykać nie wolno~~. A jeśli się trafiają nawet pisarze, którzy z uporem maniaków trzymają się tego „rozróżniania", dziś jeszcze, pomimo wprowadzenia nowej pisowni, to już nie wiem, nad czym bardziej ubolewać należy: nad ich nieuctwem językowym, czy nad ich warcholstwem.

Ale nie wybiegajmy naprzód! Opisujemy tu koniec XIX w, „fin de siècle", jak się tę epokę określało, a rok 1936 daleko jeszcze przed nami.

Te moje zainteresowania językowe nie zatrzymały się bynajmniej na pisowni, ale popchnęły mnie dalej. Do towarzystwa psychologii, filozofii i literatury przybyło ~~jeszcze~~ językoznawstwo. A tu do tego jeszcze chemia czysta i techniczna oraz botanika, słowem narodowy polski bigos! Stawałem się typowym dyletantem i coraz bardziej problematyczną wydawała mi się moja przyszłość, jako inżyniera-chemika specjalisty. Ale skończyć politechnikę postanowiłem, a później zobaczymy, co z tego będzie!

Z początkiem roku 1899 zaczęły dochodzić do Warszawy odgłosy wrzenia studenckiego w Rosji. Domagano się tam różnych ~~rzeczy~~ ~~praw dla wyższych uczelni, autonomii reformy systemu nauczania ba, nawet wyboru profesorów przez studentów. W tych „postępowych" czy „liberalnych" postulatach były rzeczy słuszne i niesłuszne~~ „liberalnych" czy „postępowych" ~~reform~~ reform, autonomii dla wyższych uczelni, zmiany systemu nauczania, ba, nawet wyboru profesorów przez studentów. Były w tym, jak to zwykle bywa, rzeczy słuszne i niesłuszne, na ogół jednak ruch był sympatyczny i chodziło o to, czy mamy go tu poprzeć, ewentualnie przyłączyć się do zamierzonego strajku. Sądziliśmy, że się uda przy tej okazji ~~wys~~ wysunąć żądanie wprowadzenia języka polskiego do ~~uniwersytetu~~ wyższych uczelni warszawskich. Opinia studencka w Warszawie była podzielona. Jedni mniemali, że nie należy się solidaryzować z ruchami młodzieży rosyjskiej, przeciwnie – zaakcentować swoją odrębność, nie biorąc w nich udziału. Było to i moje zapatrywanie, któremu dałem wyraz na ~~[illegible]~~ jednym wiecu, mówiąc, że „nic nas nie obchodzą* jakieś zaburzenia na Korei", co mi przez pewien czas zyskało przezwisko „Koreańczyka". Inni znów twierdzili, że, idąc razem z młodzieżą rosyjską, wywalczymy wspólnie pożądane reformy i wspólnie z nich korzystać będziemy a może i przeforsujemy jakieś ulgi językowe dla siebie. Wiece, nieraz bardzo burzliwe odbywały się w najniższej kreślarni, przewodniczył na nich, z racji tubalnego głosu, kolega Błażej Trojanowski. Ostatecznie ~~większość~~ okazało się, że większość jest za poparciem studentów rosyjskich i zdecydowano przystąpić do strajku ogólno-uniwersyteckiego. Hasło strajkowania, czyli manifestowania powstrzymaniem się od pracy, było zawsze w Polsce popularne, toteż z entuzjazmem godnym lepszej sprawy przestaliśmy chodzić na wykłady i do laboratoriów. Władze zareagowały na to, zamykając uczelnie i nakazując studentom wyjazd z Warszawy a nawet z Królestwa. Ja wybrałem sobie Żytomierz na miejsce „wygnania". Ale jakże tu jechać, kiedy miałem właśnie bilet na jubileuszowe przedstawienie „Halki" z Kruszelnicką w roli tytułowej!

Wytłumaczyłem jakoś ~~...~~ „rewirowemu”, który przyszedł mnie wypraszać natychmiast z Warszawy, że mam ~~...~~ niezmiernie ważne sprawy do załatwienia i uzyskałem zwłokę do następnego rana. Pojechałem nazajutrz w asyście policji na dworzec „Terespolski” (dzisiejszy „Wschodni”) i tłukłem się nieodpowiednim pociągiem o kilkanaście godzin dłużej, ale za to postawiłem na swoim i mogłem jeszcze raz oklaskiwać Kruszelnicką!

W Żytomierzu spędziłem u babki kilka tygodni przymusowych wakacji z meldowaniem się co pewien czas na policji, aż wreszcie, gdy wznowiono wykłady, powróciłem do Warszawy.

W lecie 1900 r. wyruszyliśmy z ojcem na parotygodniową wycieczkę za granicę, tym razem za „prawdziwą granicę” czy do „prawdziwej zagranicy”, a nie do innego zaboru. Przejechaliśmy Berlin, Monachium, Zurych, Rapperswyl, Bazyleję, Neuchâtel, Paryż, gdzieśmy się najdłużej zatrzymali, i w powrotnej drodze do kraju — Wiedeń. Zbyt znany to szlak turystyczny, abym miał go tu opisywać. Wspomnę tylko, że największe na mnie wrażenie zrobiła Szwajcaria, jej ziemia i ludzie, jej klimat w dosłownym i przenośnym znaczeniu tego wyrazu. Już po przejechaniu w poprzek jeziora Bodeńskiego z Lindau do Romanshorn uderza dziwna zmiana atmosfery: zdawałoby się, to samo jezioro, te same Alpy dokoła, podobni (na pozór...) ludzie, mówiący podobnym językiem.... a jednak oddycha się tu swobodniej, w powietrzu krążą jakieś sympatyczne fluidy, duszę ogarnia spokój a myśli dostrajają się do wspaniałej natury. Zamiast wrzaskliwej komendy — miły uśmiech i uprzedzająca grzeczność, zamiast sztywnych kanciastych ruchów i trzaskania obcasami — uprzejmy ukłon bez cienia uniżoności, zamiast suchej formalistyki — poufałość nie pozbawiona wdzięku. To pierwsze wrażenie, które odniósł ze Szwajcarii, pogłębiło się tylko przy bliższym jej poznaniu i zawsze ze smutkiem myślałem sobie, w innym niż Bohdan Zaleski sensie: u nas inaczej, inaczej, inaczej....

Nie mogę się tu powstrzymać od przytoczenia ~~ta~~ anegdoty, doskonale charakteryzującej trzy ~~sąsiednie~~ sąsiadujące ze sobą nacje. ~~Pasażer~~ W wagonie drugiej klasy konduktor widzi, że jakiś pasażer oparł zakurzone stopy na przeciwległej ławce. Jeśli ~~to~~ rzecz dzieje się w Niemczech, ~~konduktor~~ dziko wrzeszcząc łaje pasażera i każe mu zapłacić 10 marek kary, we Francji konduktor przechodzi ~~nie zwracając na to uwagi~~ obojętnie dalej, a w Szwajcarii wyciąga z kieszeni starą gazetę i podściela pod zakurzone buty.

Po pierwszym chaosie różnorodnych wrażeń: Notre Dame i Montmartre, grób Napoleona i Komedia Francuska, Luwr i métro, Łuk Tryumfalny i Wieża Eiffla, Paryż pozostawił mi wspomnienie ogromu i ładu, czy też ładu w ogromie. Porównywując później Paryż z innymi miastami, doszedłem do innego jeszcze określenia: Berlin jest dużym, potwornie dużym, „kolosalnym” miastem, Londyn ~~a niezmiernie rozległym zbiorowiskiem~~ olbrzymim skupieniem małych miast, a tylko Paryż jest naprawdę <u>wielkim</u> miastem. Jest miastem wspaniałym o starej kulturze a tętniącym pełnią młodego życia. Jest stolicą świata. Równy mu jest tylko Rzym, Roma Aeterna, a nawet go przewyższa, gdyż jest stolicą świata religijną.

Dziadek Charles Edmond,

Edmund Chojecki, już wtedy nie żył, odwiedziliśmy więc tylko jego córkę, panią Bureau, ową Marynię, o której dziadek ~~Edmund~~ w listach do rodziny niераz wspominał. Była to już siwowłosa ~~starsza~~ dystyngowana starsza pani, zupełnie już sfrancuziała. Uderzyło mnie pewne rodzinne ~~jej~~ podobieństwo jej do babki Jadwigi Chojeckiej, matki ojca, z którą pani Bureau od czasu do czasu korespondowała. Była to jedyna więź, cienka niteczka, łącząca ją z Polską.

Poprzestaliśmy na tej jednej wizycie, tym bardziej że i czasu mieliśmy wiele nie mieli a Paryż przedstawiał wiele ciekawszych atrakcji. Dużo też czasu się traciło na pokonywanie ogromnych przestrzeni tego miasta. Naszej Warszawie wystarczały jeszcze wtedy tramwaje konne, którymi się jeździło wolno i spokojnie: człap-człap, człap-człap i bez gorączki wszędzie się na czas przybywało. Tutaj obok równie idyllicznych omnibusów konnych — najprzyjemniej się nimi jeździło na „impériale” czyli ~~platformie~~ na dachu — były tramwaje o przeróżnej trakcji: parowe, pneumatyczne i elektryczne, oraz pierwsze linie kolei podziemnej, popularnie zwanej „métro” (skrót z „chemin de fer métropolitain). Aby nie tracić czasu w Paryżu, trzeba było doskonale się orientować w tych wszystkich środkach komunikacyjnych, a tej umiejętności trudno w kilka dni nabyć.

Po Paryżu Wiedeń nie mógł mi już bardzo zaimponować, choć niewątpliwie ujmował pięknym rozplanowaniem, wspaniałością kościołów i pałaców, i jakąś pogodą mieszkańców. W porównaniu z dorobkiewiczem, Berlinem, wyglądał jak prawdziwy arystokrata. W Wiedniu poczułem wreszcie bliskość kraju, ~~gdy~~ kiedy w sklepie przemówiono do nas po polsku. Tym ambasadorem polskości w stolicy rakuskiej był oczywiście galicyjski Żydek.

Studia moje techniczne toczyły się ~~[illegible]~~ dalej bez szczególnych przygód, ale i bez entuzjazmu. Jako specjalność obrałem cukrownictwo i słuchałem wykładów chemii węglowodanów Isajewa, przerabiając odpowiednie ćwiczenia w jego laboratorium. ~~Nie był to już przygodny~~ Ale pracę dyplomową, nie wiem już czemu, robiłem u prof. Sołoniny. Tak dalece mi to wszystko wywietrzało z pamięci, że nie potrafię dokładnie powiedzieć, na czym ta praca polegała. Wiem, że chodziło o jakieś manipulacje z trój-metyl-aminem; ~~[illegible]~~ w pewnym stadium pracy miałem do czynienia z bromkiem cyjanu i omal się nie zatrułem. Laboratoria nie mieściły się już w przygodnym lokalu na rogu Hożej, ale w nowym wspaniałym gmachu, zbudowanym przez architekta Rogóyskiego przy ul. Polnej. Główny zaś gmach i gmach fizyki były dziełem arch. Schillera. Wszystko to dziś poniszczone częściowo lub doszczętnie przez barbarzyńców z bliskiego Zachodu.

Tak czy owak dobrnąłem jakoś do końca, ale przed uzyskaniem dyplomu musiałem odbyć praktykę ~~cukrowniczą~~ w cukrowni. Dwie kampanie cukrownicze: w Uzinie pod Białącerkwią i w znajomych Sitkowcach zdecydowały o moim losie. Nie będę technikiem! Póki trwa uciążliwa praca przy przeróbce buraków, dwanaście godzin na dobę od północy do południa lub odwrotnie, nie ma się czasu myśleć o niczym, ale po skończonej kampanii, dozorując niby remontu, a w gruncie rzeczy wałęsając się po zabudowaniach fabrycznych, ~~[illegible]~~ — ma się go aż za dużo. Aby wytrzymać w tych warunkach,

Dostr. 31 31a / 38

Tymczasem zaczynało się coś psuć w państwie rosyjskim. Wojna japońska, rozpoczęta pod buńczucznym hasłem: zarzucimy czapkami wroga, skończyła się porażką, a wybuch i przebieg t.zw. rewolucji rosyjskiej (1904–1905) potwierdził mniemanie o kruchości fundamentów państwa carów. „Kolos na glinianych nogach", słyszało się coraz częściej. Polska na rewolucji rosyjskiej zyskała niemało: ukaz tolerancyjny pozwolił 200 tysiącom unitów przejść na katolicyzm *), gminy wiejskie zaczęły przywracać urzędowanie w języku polskim, a ~~strajk szkolny doprowadził~~ na skutek strajku szkolnego pozwolono na zakładanie szkół prywatnych z językiem polskim, z tym zastrzeżeniem, że język rosyjski, historia i geografia Rosji muszą być wykładane po rosyjsku. Wreszcie 30.X.1905 car ogłosił manifest, nadający konstytucję i wolność obywatelską. Ale nie uprzedzajmy wypadków!

miałem do wyboru albo wczesny ożenek, albo wódkę i karty, albo wszystko to razem. Wybrałem jeszcze inną ewentualność: postanowiłem pojechać do Krakowa na uniwersytet. Pociągało mię językoznawstwo i filozofia, nęciła mnie atmosfera krakowska, a że miałem po dziadku Edwardzie Janowskim parę tysięcy rubli mogłem sobie na to pozwolić. Zwróciłem się listownie do prof. Jana Łosia w Krakowie z prośbą o wskazówki co do przyszłych studiów, a ten bardzo uprzejmie mi odpisał i poradził, abym po przyjeździe do Krakowa zgłosił się do jego siostrzeńca, Józefa Ujejskiego, który się mną zajmie. Przyjechawszy tedy na wiosnę 1905 r. do Krakowa poznajomiłem się z Ujejskim, późniejszym profesorem i rektorem Uniwersytetu Warszawskiego i z nim razem ~~ułożyliśmy plan~~ dokonaliśmy wyboru wykładów na semestr letni roku szkolnego 1904/5. Mam właśnie przed sobą „index lectionum" z którego widzę, że zapisany byłem w tym semestrze na następujące wykłady: X. Pawlicki: Logika i dialektyka, Heinrich: Filozofia empiriokrytycyzmu i Konwersatorium psychologiczne, Rozwadowski: Porównawcza fonetyka języków indoeuropejskich, Mańkowski: Głosownia i deklinacja sanskrycka i objaśnianie tekstów sanskryckich, Łoś: Fonetyka języka polskiego, Fonetyka języka starosłowiańskiego i Seminarium słowiańskie, Zdziechowski: Idee przewodnie literatury wieku XIX i Kopera: Krótki zarys historii sztuki wieków średnich. Oto jaką masę wiedzy chciał zdobyć w kilka miesięcy zachłanny młodzieniec!

Z biegiem czasu zrozumiałem, że trzeba ograniczać swoje zapędy chcąc się czegoś nauczyć, że przecież zamierzam co najmniej cztery lata poświęcić studiom uniwersyteckim i że wszystkiego przecież w ~~[illegible]~~ jeden rok nie ogarnę.

Słuchanie wykładów w języku polskim było dla mnie objawieniem. Uświadomiłem sobie, jaką przeszkodę w nauce stanowi obcy, choćby nawet dobrze znany, język. A cóż dopiero język obcy ~~na stopniu nauczania~~ w szkołach średnich i niższych!

~~Profesorowie krakowscy w owym czasie stanowili grupę~~ Zespół profesorów krakowskich stał wtedy na wysokim poziomie, Kraków bowiem i Lwów, jedyne ~~ze polskie~~ dwa polskie uniwersytety, ściągały najwybitniejsze siły naukowe z trzech zaborów. ~~Obok galicjanina X. Pawlickiego i poznańczyka K. Morawskiego~~ Obok galicjanina, księdza Stefana Pawlickiego, filozofa oraz poznańczyka, Kazimierza Morawskiego, ~~profesora~~ historyka literatury łacińskiej, wykładali tu ~~Marian Zdziechowski mińszczanin, Marian Zdziechowski, historyk literatury i filozof, warszawiak Władysław Natanson i wołyniak~~ między innymi ~~mińszczanie~~ przybysze z Białej Rusi: Marian Zdziechowski, filozof i historyk literatury i Napoleon Cybulski, medyk; królewiacy: Jan Łoś, językoznawca i Władysław Natanson, fizyk a wreszcie ~~oraz~~ wołyniak Maurycy Rudzki, astronom i geofizyk ~~geograf~~. ~~Nie wiem~~ Większość, ale chyba nieznaczną, stanowili galicjanie. Zawsze oprócz treści wykładu zwracałem uwagę na jego formę. Pod tym względem spotkał mnie pewien zawód. Wyobrażałem sobie, że każdy wykład musi mieć doskonałą budowę i piękny styl dobrze opracowanego <u>odczytu</u>, nie zdając sobie sprawy ~~między~~

~~między~~ z różnicy zachodzącej między tymi dwoma rodzajami wymowy, a zresztą byłem zepsuty przez Mahrburga. Na dość jednostajnym tle ~~wykładów~~ ~~prelekcji uniwersyteckich wyróżniały się pełne swady~~ prelekcji ~~uniwersyteckich~~ wyróżniały się wykłady fizyki doświadczalnej Augusta Witkowskiego, pełne swady i wdzięku; doskonale zbudowane wykłady fizyki teoretycznej Władysława Natansona; wytworne causeries o literaturze polskiej Stanisława Tarnowskiego, i wreszcie porywające zapałem, jakimś wewnętrznym ogniem rozświecone i ogrzane, wykłady filozoficzno-literackie Mariana Zdziechowskiego. Odbywały się one po południu i „cały Kraków" na nie uczęszczał.

Z bliższych mi profesorów, Łoś wykładał poprawnie i sumiennie, Rozwadowski sprawiał wrażenie znudzonego i sceptycznie nastrojonego co do potrzeby i skuteczności swoich wykładów. Wysoki, wytworny dżentelmen w wysokim sztywnym kołnierzyku, podtrzymującym ~~mądrą~~ wielką mądrą głowę o doskonale wygolonej czaszce, siadał najczęściej ~~bokiem~~ na fotelu, mówił dość cicho, jakby obojętny na to, czy go kto słyszy i rozumie, czasem wstawał pisać na tablicy i znów siadał zapadając chwilami w zamyślenie. Wiedzieliśmy jednak wszyscy, że mamy przed sobą wielkiego uczonego i czekaliśmy łapczywie na okruchy wiedzy spadające z jego ust. Ksiądz profesor Pawlicki mile gawędził o Arystotelesie i Kancie, ciekawszy był na seminariach, gdzie można z nim było podyskutować i zawsze się czegoś dowiedzieć de omni re scibili. (+) ~~a nawet~~

Straszewski, niesłusznie przez niektórych lekceważony, był dobrym pedagogiem, szczególnie dla początkujących, a jego seminaria były bardzo pożyteczne. Pamiętam, że kiedyś wygłosił cykl ~~wykładów~~ odczytów ~~publicznych pt.~~, zebrał je potem i miał je wydać w książce pod tytułem: „W poszukiwaniu za prawdą" jak ~~głosił~~ zapowiadał wydrukowany prospekt. Z pewną tremą zwróciłem mu wówczas uwagę na germanizm w tytule, który w poprawnej polszczyźnie powinien by brzmieć: „W poszukiwaniu prawdy". Straszewski nie tylko się nie obraził, ale bardzo mi podziękował, tytuł poprawił i odtąd bardzośmy się zbliżyli. Wreszcie młody ~~jeszcze Heinrich~~ w owych czasach jeszcze Heinrich, fizyk, psycholog i filozof w jednej osobie, reprezentował nowe prądy w filozofii i cieszył się popularnością wśród młodzieży postępowej, która go przeciwstawiała tamtym dwom konserwatystom. Wykładał ~~on~~ psychologię doświadczalną, a poza tym zaznajamiał nas z Machem, Avenariusem i Corneliusem, którzy pozytywizm doprowadzali do tego punktu, gdzie graniczył on z solipsyzmem i nonsensem.

(x) Był on smakoszem, lubił dobre obiadki w domach arystokratycznych i można go było spotkać w cukierni Maurizia na A-B, gdzie kupował jakieś specjalne sucharki.

Rzecz godna zastanowienia, że ten ultra-radykalny kierunek filozoficzny nigdzie poza Niemcami nie znalazł dla siebie odpowiedniej gleby, chyba tylko w Rosji, gdzie, jeśli się nie mylę, propagatorem „empirio-krytycyzmu" Avenariusa i tłumaczem jego dzieł był Łunaczarskij, późniejszy komisarz oświaty w rządzie sowieckim.

Heinrich miał już poza sobą dwie prace niemieckie z pracowni zuryskiej i polską p.t. „Teorie i wyniki badań psychologicznych". Przy mnie już wyszła jego „Psychologia uwagi". Jako fizyk i eksperymentator, w czuciach dostrzegał tylko ich stronę obwodową, tak więc wszelkie wahania uwagi starał się wytłumaczyć zmianami w samych narządach zmysłowych: soczewka w oku a błona bębenkowa w uchu miały ~~odgrywać~~ grać rolę decydującą. ~~Tymczasem~~ Nie doceniał on roli czynników centralnych, bez których, zdaniem moim, nie może być mowy o uwadze. Zacząłem pracować pod kierunkiem Heinricha nad psychologią eksperymentalną i miałem stwierdzić doświadczalnie pewną jego tezę, dotyczącą uwagi wzrokowej. Cóż kiedy moje doświadczenia ani rusz nie chciały się naginać do teorii. Porzuciłem więc tę pracę, którą przejął po mnie pewien kolega i ~~zdaje się~~ był szczęśliwszy ode mnie, gdyż znalazł, zdaje się, wszystko, o co profesorowi chodziło...

Z innych profesorów wspomnę tu jeszcze Kazimierza Nitscha, doskonałego znawcę dialektów polskich, ~~lektora~~ Tadeusza Grabowskiego, lektora języków słowiańskich, Bohdana Łepkiego, lektora języka ukraińskiego i Pawła Rongiera, lektora języka francuskiego, ~~Zbliżyłem się szczególnie~~ na których wykłady chodziłem. Zbliżyłem się szczególnie z Rongierem. Przystojny brunet z pięknym wąsem i wesołymi oczami, zawsze pogodny i uprzejmy, Rongier cieszył się ogólną sympatią w uniwersytecie i poza nim. Zżył się z Polską, tu córkę wydał za mąż i wnuków się dochował. Starał się jednak zawsze co rok wyjechać ~~wyjść~~ do Francji, na kurację do Vichy i w odwiedziny do rodzinnej Owernii, ~~w wymowie nie „grasejować" ale~~ której zachował akcent, nie starając się ~~sztucznie upodobnić do~~ udawać paryżanina. Nie „grasejował" zatem lecz wymawiał „r" przedniojęzykowo, nie tak jak nasi nadwiślańscy paryżanie, który od charkotania zaczynają naukę francuskiego (a czasem i kończą.) Spotykaliśmy się z Rongierem później w życiu w różnych okolicznościach ~~i do~~ i zachowałem dla niego przyjaźń do końca jego długiego żywota.

Oprócz polskiego języka wykładowego Uniwersytet Jagielloński ~~Kraków~~ przedstawiał jeszcze jedną atrakcję w przeciwstawieniu do Politechniki Warszawskiej. Były nią koleżanki. Kobiet z maturami, uprawniającymi do wstępu na uniwersytet w charakterze słuchaczek zwyczajnych, było niewiele, przyjmowano je ~~wszakże~~ natomiast jako słuchaczki nadzwyczajne bądź jako hospitantki. Pociechy ~~z takiej nauki~~ z tych panienek nauka nie miała, ale za to mieli koledzy. No i matka mogła się pochwalić, że jej córeczka chodzi na uniwersytet. ~~Dwie~~ Trzy tylko głośniejsze niestety przeszły za moich czasów przez uniwersytet Krakowski:

~~Kazimiera Iłłakowiczówna, w której nie jeszcze nie~~ w której trudno się było ~~jeszcze nie~~ domyślić ~~zapowiadała się na~~ wielką poetkę ~~i Cezaria Baudouin de Courtenay, późniejsza 1° voto Vasmerowa, 2° voto Ehrenkreutzowa 3° voto Jędrzejewiczowa. Kiedym ją poznał i traktowała pobyt na uniwersytecie jako wesołe passe-temps~~

Kazimiera Iłłakowiczówna, Cezaria Baudouin de Courtenay, 1° voto Vasmerowa, 2° voto Ehrenkreutzowa i 3° voto Jędrzejewiczowa, oraz Janina Bakunówna późniejsza Prystorowa. Iłłakowiczówna, która traktowała pobyt na uniwersytecie jako wesołe passe-temps, może już przeczuwała, że będzie wielką poetką, ale dwom pozostałym z pewnością się ani śniło, że będą małżonkami premierów i będą trząść tą biedną Polską. Panna Cezaria, ciche skromne dziewczę, dziedzicznie obciążone językoznawstwem, chodziła ~~razem ze mną~~ na wykłady Rozwadowskiego, gdzie ją poznałem, a z panią Janiną i jej siostrą Sabiną ~~poznałem~~ zbliżyłem się przez wspólnych znajomych i zaprzyjaźniłem. Później nasze drogi się rozeszły. „Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą, a ja doliną". Nie zazdrościłem jej tej „góry", ale dopiero, gdy z niej zeszła na powrót w doliny, ześmy się znów spotkali. Na razie polityka nas jeszcze nie dzieliła. Panny Bakunówny były bardzo miłe i proste, typowe wilnianki, mówiące tym uroczym akcentem litewskim i ~~wnosząc~~ wtrącające do swej mowy różne prowincjonalizmy, od których ~~mi~~ mię zalatywało „Panem Tadeuszem". Poza tym przyjaźniłem się jeszcze z Wandą Upocha, piękną brunetką o przepastnych oczach, oraz Anielą Strzelecką (siostrą Henryka) i Zofią Tenenbaumówną, które znałem dawniej.

Z kolegów wspomnę tu Kazimierza Bereżyńskiego, bardzo dobrze się zapowiadającego krytyka, niestety przedwcześnie zmarłego, Mikołaja Rudnickiego, obecnie profesora Uniwersytetu Poznańskiego, i medyków: Władysława Ostaszewskiego, późniejszego pułkownika i znanego ~~dentystę warszaw~~ w Warszawie dentystę i Kazimierza Macudzińskiego, doskonałego kompana i towarzysza wycieczek.

Ważnym dla mnie wydarzeniem podczas moich studiów krakowskich był Zjazd Rejowski w 1906 r. Sekcja Ortograficzna tego Zjazdu miała się zająć ujednostajnieniem pisowni, dotychczasowa bowiem pisownia Akademii Umiejętności przyjęta była powszechnie tylko w Galicji, natomiast w Królestwie i w Poznańskim panował pod tym względem chaos. Prof. A.A. Kryński, który przybył na Zjazd, a którego znałem uprzednio z Warszawy, ~~zapoz~~ poznajomił mię z prof. Janem Baudouin de Courtenay, przewodniczącym Sekcji, i zostałem przyjęty na jej członka, co sobie za wielki zaszczyt uważałem i uważam. Uchwaliliśmy wówczas zasady pisowni t.zw. „Kryńskiego" z małymi odchyleniami. Niestety Akademia stanęła okoniem i pisowni „Zjazdu Rejowskiego" nie przyjęła, wskutek czego ostateczne ~~ujednostaj-~~ nienie pisowni odwlokło się aż do 1936 r. Z prof. Baudouinem ~~zetknąłem się~~ ~~bliżej poznać~~ poznałem się bliżej w r. 1919 na Uniwersytecie Lubelskim,

Kraków w owym czasie był przepełniony młodzieżą z Królestwa, która po proklamowaniu strajku szkolnego najechała obydwa uniwersytety galicyjskie i szereg zagranicznych. Ta wędrówka narodów była w pewnym stopniu pożyteczna, jak wszelkie ~~wymieszanie~~ wzajemne poznawanie się ludzi – ale, jak każda rzecz, miała i swoją złą stronę. Na wyjazd za granicę mogła sobie była pozwolić młodzież zamożniejsza, natomiast biedniejsi, bądź bojkotowali uczelnie warszawskie i tracili drogocenny czas, bądź kontynuowali tam studia narażając się na haniebną nazwę i opinię „łamistrajków". Młodzież z Królestwa wnosiła rewolucyjny zapał i zamęt do sennego Krakowa i nawet swym wyglądem dość „cygańskim" różniła się od spokojnych i zrównoważonych kolegów z Galicji, którzy traktowali pobyt na uniwersytecie w sposób normalny, jako wstęp do kariery urzędniczej, prawniczej czy ~~nau~~ pedagogicznej. Te różne swobody obywatelskie, o które w zaborze rosyjskim walczono, tu już były chlebem ~~powsze-~~ powszednim: były wybierane rady miejskie, był Sejm Krajowy we Lwowie, parlament „we Wiedniu" i agitacja wyborcza do tych wszystkich instytucji mogła się legalnie odbywać. A i wiece studenckie, będące w Warszawie czymś karygodnym lub zaledwie tolerowanym, tutaj odbywały się całkiem normalnie pod opieką jednego z profesorów, jako kuratora. To wszystko uderzało nam do głowy i braliśmy za dobrą monetę różne hasła, które koledzy z zaboru austriackiego traktowali ze znaczną dozą obojętności, czy sceptycyzmu...

Oczywiście w walkach politycznych, przy licytacji programów partyjnych górę zwykle bywa lewica, jako mniej odpowiedzialna a bardziej bezwzględna; hasła „postępowe" więcej mają uroku dla młodzieży niż bardziej zrównoważone lecz „zacofane". W tym czasie Galicja żyła pod znakiem walki o powszechne ~~prawo~~ „pięcioprzymiotnikowe" prawo wyborcze do parlamentu. Rzecz, zdaje się, była już przesądzona, ale socjaliści z Ignacym Daszyńskim na czele starali się wywołać wrażenie, że wprowadzenie tego prawa będzie ich wyłączną zasługą. Słyszałem nieraz dobrych mówców w kraju i za granicą, ale żaden Daszyńskiemu nie dorównywał. Doskonale się umiał dostosowywać do okoliczności i otoczenia, toteż innym stylem ~~przemawiał~~ wygłaszał odczyt, innym przemawiał w Sejmie, innym wreszcie na wiecach ludowych. Odbywały się za moich czasów także wiece w ujeżdżalni na Karmelickiej. Daszyński tu czarował tłumy urokiem swej osoby, męską ~~urodą, typowo szlachecką~~ urodą i dźwiękami potężnego a melodyjnego głosu, którym po wirtuozowsku władał. Ale jeszcze większe wirtuozostwo było w umiejętności grania na duszach ludzkich. Daszyński to podniecał, to śmieszył, to gryzł ironią, to roztkliwiał, to wstrząsał, to znów uspokajał, a tłum reagował jak wyćwiczona orkiestra pod batutą jakiegoś Nikischa czy Toscaniniego. Niestety orkiestra składała się przeważnie z fujar, bębnów i cymbałów. Śmiało tak mówię, bo i sam byłem wówczas, zaczarowanym przez czarnoksiężnika-Daszyńskiego, cymbałem i wraz z „towarzyszami" maszerowałem po wiecach manifestować pod pomnikiem Mickiewicza, gdzie aplikowano nam nową porcję inkantacji. Choć sympatyczne mi były u socjalistów ich tendencje demokratyczne, zabarwione patriotyzmem, to odstręczał mię od nich wrogi ich stosunek do Kościoła i wielka liczba Żydów

na stanowiskach kierowniczych. Obok Daszyńskiego, typowego szlachcica z wyglądu
i z temperamentu, na wiecach krakowskich występowali głównie Żydzi m.i. Gum-
plowicz, Drobner i Kapellner. Ten ostatni później się przechrzcił, zmienił nazwisko na
„Kapliński" i został prezydentem m. Krakowa. Z Polaków przemawiał jeszcze
tylko Misiołek, jedyny autentyczny robotnik ~~drukarz~~ wśród tych t.zw. inteli-
gentów. Z socjalistami stosunki moje stopniowo się oziębiały aż wreszcie zerwa-
łem z nimi ostatecznie w r. 1910, gdy wobec grożącej wojny rosyjsko-austriackiej
dążyli do wywołania powstania w Królestwie na rzecz Austrii, zamykając oczy
na to, iż w sprawie polskiej nie Austria będzie decydować lecz Niemcy, których
zwycięstwo byłoby prawdziwym finis Poloniae.

Mieszkałem w pensjonacie „Ukraina" przy Karmelickiej, gdzie za mojej
pamięci przesunęło się wiele osób, z których o kilku przynajmniej ~~wspomnieć tu~~
należy tu wspomnieć. W oczach mi stoi postać pięknej starszej damy, p. Wandy
Zaleskiej z Kijowa. Pełna szlachetnego zapału, duszą wiecznie młoda, prosta i
miła w obejściu, doskonale się czuła w towarzystwie młodzieży a my ~~[illegible]~~ nawza-
jem w niej. Z jej córką, wówczas Nelą, późniejszą doktorową Rogalską, i synem
Ksawerym bardzośmy się zaprzyjaźnili. Spędziłem z tą rodziną jedne wakacje
w Żegiestowie, skąd robiliśmy śliczne wycieczki na Spisz i w Pieniny. Zbliży-
łem się również z sympatycznymi paniami: Heleną Morozewiczową i jej córką Zofią.
Mama chodziła na wykłady historii a córeczka na studium rolnicze ~~i wyszła~~
które ukończyła z podwójnym skutkiem, gdyż ~~[illegible]~~ wyszła przy tym za mąż
za kolegę Aleksandra Zawadzkiego. Kontynuowałem znajomość z Zawadzkimi
przez długie lata, aż wreszcie bomba niemiecka w 1939 r. zabiła miłą p. Zofię.
Panna Aniela Zagórska, zwana przez ~~nas~~ „Anielusia" albo „niebo niebieskie", bo się lubowała
w tym kolorze, wnosiła dużo ożywienia do obiadów pensjonatowych. Zawsze
się ~~czymś~~ kimś lub czymś entuzjazmowała ~~Bardzo~~ i bardzo jej było z tym
do twarzy ~~chociaż czasem lokowała swe zachwyty w nie niewłaściwych przedmiotach~~
~~(np. Piłsudski czy Conrad)~~. Zaprzyjaźniłem się też bardzo z Henrykiem Bolcewiczem,
który był właśnie w trakcie ~~zamiany~~ zamieniania sutanny na garnitur świecki. Był proboszczem
z Żyrmuń na Litwie, na tle jakiegoś zatargu z księżmi wileńskimi został po-
zbawiony parafii i wysłany przez biskupa na studia za granicę. Po krótkim pobycie,
zdaje się, w Louvanium i Insbruku przybył wreszcie do Krakowa, ale tu zamiast
pogłębiać swą wiedzę teologiczną uległ atmosferze „postępowej", która go doprowa-
dziła do zerwania z Kościołem. W tym jego odejściu nie widać było żadnych
poziomych pobudek, ale tragiczną walkę wewnętrzną; być może ~~[illegible]~~
w innych warunkach Bolcewicz pozostałby księdzem, lepszym od wielu innych,
niestety ~~zaopiekowała się nim masoneria i do tego nie~~ otoczenie i okoliczności do tego nie dopuściły. ~~dopuściła~~. Mimo różnic
ideowych, które nas dzieliły zachowałem do końca szacunek i przyjaźń dla
tego szlachetnego, zacnego, miękkiego i wrażliwego człowieka. Wreszcie wspomnieć
tu muszę Antoniego Rybarskiego, kielczanina, historyka i heraldyka, okrągłego
na duszy i ciele, pełnego dowcipu, humoru i pogody ducha. Przybył on ~~do~~
~~Krakowa~~ w rok po mnie, do Krakowa i zadzierzgnięta tam znajomość pogłębiła
się we wzajemną (jak sobie tuszę) sympatię, która przetrwała do dnia dzisiejszego.

Była daleką powinowatą i wielką wielbicielką Conrada (Korzeniowskiego) i przetłumaczyła w następstwie prawie
wszystkie jego utwory. Zmarła nagle 1.XII.43 r.

Na innym znów gruncie zawarłem znajomość z Feliksem Jasieńskim
t.zw. „Mangha" od japońskiego wyrazu, którym zatytułował swoją grubą
a dowcipną książkę de omnibus rebus et quibusdam aliis. Amator i
znawca sztuk pięknych, zarówno malarstwa jak muzyki, sam pięknie grający na
fortepianie, Jasieński miał bogate ~~piękne~~ zbiory ~~drzeworytów~~ japońskich drzeworytów
i gard do szabel oraz obrazów malarzy polskich. Niektóre, ~~jak to mówią~~
nabywał, jak to mówią: psim swędem za tani pieniądz od znajomych
artystów, czy wprost od nich „wycyganiał", za inne musiał płacić żywą
gotówką jak np. za „Szał" Podkowińskiego. Tak czy owak, doszedł do pokaźnego
„muzeum", które się mieściło w jego prywatnym mieszkaniu na rogu Rynku
i Św. Jana, a które później podarował Krakowskiemu Muzeum Narodowemu.
W tym mieszkaniu na Rynku spotkałem raz Przybyszewskiego. Z twarzą
spoconą, zmierzwionym włosem i chrapliwym głosem, nie zrobił na mnie
przyjemnego wrażenia, zdaje się był już trochę pijany. Ale grał mazurki Chopina
bardzo ładnie i swoiście je interpretował. Grał również i sam Jasieński: pamiętam
jego improwizację na temat melodii rosyjskiej: „nie szej ty mnie, matuszka,
krasnyj sarafan". Zadzierzysty, nie liczący się ze słowami mówionymi czy
nawet drukowanymi, nie ukrywający swojej, najczęściej ostrej, opinii o ludziach
i rzeczach, Jasieński narobił sobie wielu wrogów i w pewnym momencie w
światku literacko-artystycznym tyle się potworzyło „spraw honorowych", ~~tyle~~
taka plątanina protokołów, sądów i wyroków, że nie było niemal człowieka
w ten czy inny sposób nie zaangażowanego i ja, zgoła poza tym światkiem
stojący, zostałem przez Jasieńskiego wciągnięty na sekundanta w sprawie, X
jeśli się nie mylę, z Adamem Łada-Cybulskim. Na szczęście do pojedynku
nie doszło.

Z profesorem Wincentym Lutosławskim poznałem się na jakimś
jego odczycie. Był on poprzednio docentem Uniwersytetu Jagiellońskiego, ale
z powodu bardzo oryginalnych poglądów i bardziej jeszcze oryginalnego sposobu
zachowywania się został po prostu „wygryziony" przez profesorów krakowskich,
do których się nie mógł stosować ~~dopasować~~. Propagował on wtedy towianizm i
„poczwórną abstynencję" (rozpusta, alkohol, tytoń i karty). Zwolennicy jego
nosili nazwę Elsów, ~~podobno od~~ utworzoną podobno od pierwszych liter
greckiego zdania: Eleútheroi laôn sotéres (Wolni Ludów Zbawcami), a stowarzyszenie ich zwało się Eleusis. Wszechstronnie wykształcony, dobry ~~w dyskusji, która Dały~~ mówca, a więc jeszcze
dialektyk, władający płynnie kilkoma językami, wielbiciel naszej poezji romantycznej, a w szczególności Króla Ducha i innych utworów Słowackiego z tejże epoki,
pociągał bardzo młodzież, której dziwactwa jego nie raziły. W dyskusji, która się
po ~~jego~~ wykładzie profesora ~~rozwinęła~~ rozwinęła, starłem się z nim dość ostro. ~~z profesorem~~. Mimo to zbliżyliśmy się później; wiele rzeczy nas różniło ale jeszcze więcej łączyło, toteż
ilekroćśmy się spotykali, czy to w Krakowie, czy gdzie indziej, zawsze dyskutowaliśmy
ze sobą w atmosferze sympatii, starając się wyjaśnić sobie wzajemnie swoje
stanowiska. Z elsów powychodzili na ogół porządni i pożyteczni obywatele, a sam
Lutosławski w następstwie a mis beaucoup d'eau dans son vin, jeśli się tak o abstynencie
wyrazić można, i w niepodległej Polsce objął znów katedrę filozofii ~~w Wilnie~~ tym razem
w Wilnie.

Dużą rolę w życiu Krakowa odgrywał teatr. Trudne było zadanie dyrektora, bo co tydzień, w sobotę szła premiera. Mimo to dzięki doskonałym aktorom i wybornej reżyserii przedstawienia były zawsze na wysokim poziomie. Moda była wówczas na sztuki „głębokie", ~~przy czym „głębię" utożsamiano~~ t. zn. najczęściej ciężkie a ponadto zgoła nudne. Dominowała Skandynawia: Ibsen, Björnson, Strindberg, do tej samej paczki zaliczam i Przybyszewskiego mimo polskiego pochodzenia. Ale były i talenty prawdziwie polskie; wielkim powodzeniem cieszyła się Zapolska, i to podwójnym: raz pod własnym nazwiskiem jako autorka „Moralności pani Dulskiej", a po/wtóre jako Józef Maskoff, pod tym bowiem pseudonimem pisała powieści i dramaty niecenzuralne ~~dla~~ w zaborze rosyjskim; najgłośniejszy był dramat „Tamten". W Krakowie też stawiał pierwsze kroki Jan August Kisielewski, szybko zgasły meteor, autor doskonałych dramatów: „Karykatury" i „W sieci". Ja osobiście w Krakowie pogodziłem się nieco z Wyspiańskim. Do zrozumienia jego sztuk tak wybitnie krakowskich potrzebny był klimat tego miasta. Wszędzie indziej ~~tak~~ „Bolesław Śmiały", „Wesele" czy „Wyzwolenie" brzmią trochę obco — tu natomiast ~~znajdują~~ budzą znane echa. I tu już mniej ~~albo zgoła nie rażą~~ ~~różne „krakowianizmy" językowe, [illegible]~~ rażą różne „krakowianizmy" językowe, a w takim „Weselu" są nawet konieczne. Nigdzie też tak „Wesela" nie grali jak w Krakowie. Czyż można sobie wyobrazić lepszą obsadę ~~[illegible]~~ od tej, ~~którą ja~~ którą widziałem: Pan Młody - Jerzy Leszczyński, Panna Młoda — Ordon-Sosnowska, Gospodarz — Solski, Rachela — Sulima!

Jedną z większych zalet Krakowa były dla mnie piękne jego okolice. Podczas gdy w Warszawie trzeba było długo iść brzydkimi przedmieściami *), zanim się człowiek wreszcie wydostał na beznadziejnie smutną równinę — to w Krakowie wystarczyło przejść ulicę Wolską, aby w kilka minut znaleźć się na Błoniach, trochę dłuższy spacer prowadził na Kopiec Kościuszki, a jeszcze dalszy do uroczych Panieńskich Skał. Pod Krakowem schodziły się z północy wzgórza Jury Krakowskiej z rozpoczynającymi się od południa falistościami Podkarpacia. Z Kopca Kościuszki w pogodny dzień widać było zarysy Tatr, a kto chciał ~~bliżej~~ się do nich przybliżyć dostawał się w kilka godzin koleją do samego Zakopanego, ~~[illegible]~~ nie tak, jak za pierwszej mojej tam bytności, kiedy to się jechało furką z Chabówki. No ale Tatry wymagały już kilku dni, a tymczasem w ciągu jednego dnia można było zrobić śliczną wycieczkę czy to do Kalwarii Zebrzydowskiej i Lanckorony, czy to do Tenczynka, gdzie ~~były~~ sterczą na pagórku malownicze ruiny zamku, do Skały Kmity, do Mnikowa, do Mogiły z kopcem Wandy i Klasztorem Cystersów, do Bielan, czy do Czernej. Podaję tu marszrutę jednej takiej dłuższej wycieczki w nadziei, że się który z czytelników na nią skusi. Pewien jestem, że nie pożałuje, a może przy tej okazji wspomni mnie życzliwie. ~~Otóż jedzie się koło~~ Wystarczy na nią pół dnia, można się więc wybrać po wczesnym obiedzie. Jedzie się koleją w kierunku Trzebini do stacji Rudawa. Ładny wiejski kościół. Dalej idzie się pieszo doliną

*) Przypominam, że w Warszawie nie było wtedy tramwajów elektrycznych, a konne obsługiwały tylko śródmieście.

~~Rudawy~~ w górę rzeki Rudawy, która tu płynie wśród malowniczych wapiennych skał, dalej coraz w górę do wsi Dębnik, gdzie przekracza się dział wód między Rudawą a inną jakąś rzeczułką i schodzi się coraz niżej przez piękne lasy ~~zdaje mi~~ liściaste, chyba grabowe czy bukowe, w dolinę Czernej do klasztoru, skąd schodzi się doliną jeszcze niżej do Krzeszowic z piękną rezydencją Potockich. ~~Tam~~ A oto inna wycieczka, którą też mogę polecić. Powtarzaliśmy ją kilkakrotnie. Po kolacji, zabrawszy ze sobą trochę zapasów ~~idzie się~~ szliśmy w nocy prawym brzegiem Wisły do Tyńca. Tu w ruinach klasztoru, to gawędząc, to drzemiąc, czekaliśmy na wschód słońca, który w tym otoczeniu ~~szczególnie~~ nader efektownie wygląda, po czym przeprawialiśmy się łodzią na lewy brzeg do Bielan, a stamtąd bądź przez Panieńskie Skały bądź szosą wzdłuż Wisły wracaliśmy do Krakowa. Kameduli wybierali sobie na pustelnie zwykle jakąś piękną ~~miejscowość~~ okolicę: nawet pod Warszawą potrafili znaleźć ładną miejscowość. Ale gdzie tam Bielanom warszawskim do krakowskich! Wysokie wzgórze pokryte lasem, w którym przerąbano umyślnie dukt, aby z tarasu klasztornego odsłonić widok na Kraków, przy klasztorze pięknie utrzymane ogródki, snujące się postacie biało ubranych brodatych zakonników, ~~A w nocy~~ to wszystko ~~dodawało uroku klasztorowi~~ składało się na urzekającą całość. Dodajmy do tego dzwony, wzywające w nocy na modlitwę, wśród ciszy rozrzewanej od śpiewu słowików – amore sacro e profano – czegoż trzeba więcej do wywołania poetycznego nastroju w duszy nawet najbardziej poziomego „zjadacza chleba". [Wstawka o Czyżynie i Zakopanym]

Tak się o tych wycieczkach rozpisałem, że mógłby kto pomyśleć, iż wobec tych sielskich rozkoszy studia uniwersyteckie były zaniedbywane. Po trosze i tak, ~~zdaw~~ oprócz tego przekonałem się, że za dużo na raz chciałem być wchłonąć nauki, postanowiłem więc ograniczyć do minimum nauki gramatyki porównawczej indoeuropejskiej a skoncentrować się raczej na języku polskim psychologii i filozofii. Toteż pracowałem nadal u Heinricha, sposobiąc się do pracy doktorskiej p.t. „Zarys psychologii uwagi". Heinrich, jako wówczas profesor nadzwyczajny, nie mógł jeszcze ani ~~/~~ przyjmować prac ani słuchać egzaminów doktorskich t.zw. „ścisłych" a w żargonie studenckim zwanych „rygorozami"; pracę przeto przedstawiłem Pawlickiemu i Straszewskiemu, którzy ją przyjęli i u nich też złożyłem owe rygoroza. Nie wiem, jak to jest teraz, ale wtedy student musiał na ten egzamin paradować we fraku i w białych rękawiczkach. Egzamin trwał dokładnie dwie godziny: ~~każdy z profesorów męczył delikwenta~~ ~~przez godzinę, a drugi~~ naprzód jeden profesor męczył delikwenta przez godzinę, ~~a~~ drugi zaś przy tym asystował, po czym następowała zamiana ról. Tak było w teorii: w rzeczywistości zaś Straszewski spał najwyraźniej podczas gdy Pawlicki egzaminował, a potem Pawlicki aż się kiwał ~~podczas mojej rozmowy ze Straszewskim~~ asystując przy moim egzaminie u Straszewskiego. Tak czy owak, wynik był celujący. Następny egzamin, już tylko godzinny, złożyłem z języka polskiego u Łosia (język) i Tretiaka (literatura) również z wynikiem celującym. Wreszcie ukoro-

---

Wspomnę tu wreszcie o wycieczce do Ojcowa i Pieskowej Skały, ~~oddzielonych~~ jeszcze wówczas oddzielonych od Krakowa kordonem granicznym, wymagana była zatem przepustka. Zrobiliśmy tę wycieczkę we dwóch z kol. Adamem Wegnerem, późniejszym profesorem Un. Poznańskiego

Za swoich studenckich czasów krakowskich byłem w Zakopanem dwukrotnie: raz w otoczeniu ~~całkiem pepeesowskim pod przewodem Prystora, który dobrze się w Tatrach orientował pepeesowskim~~ autentycznych pepeesów i sympatyków, pod przewodem Prystora, który się dobrze w Tatrach orientował, zrobiliśmy klasyczną wycieczkę do Morskiego przez Zawrat i szosą do Zakopanego z powrotem. Pierwszy raz wtedy obiło ~~się~~ mi się o uszy nazwisko Piłsudskiego, ~~o którym się mówiło~~ który na wyższym stopniu wtajemniczenia nosił miano tow. Wiktora, a wśród najbliższych zwany był po prostu „Ziuk” (Józef → Józiuk → Ziuk). Nie pamiętam już, czy przy tej okazji, ale w tym ~~s~~ samym towarzystwie poznałem wówczas tow. Michała, recte Sulkiewicza z pochodzenia Tatara litewskiego i Józefa Kwiatka z pochodzenia Żyda, którego przyjaciele przezywali „Blümchen” (po niemiecku: kwiatek). Wszyscy oni, tropieni w Królestwie za różne mniejsze lub większe ~~sprawki~~, a czasem za zgoła grube sprawy, przyjeżdżali do Galicji na wypoczynek, na układanie planów nowych zamachów i na porozumiewanie się z galicyjską partią socjalistyczną. Otaczał ich pewien nimb ~~bohaterstwa~~ romantycznego bohaterstwa i tajemniczości, i byli mi oni znacznie sympatyczniejsi od prawowiernych wyznawców Marxa spod znaku „Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy”. Ale mimo pozorów postępowości i demokratyzmu były to umysły zapóźnione w rozwoju o jakie dwa wieki, a metody, dobre w walce z rządem carskim, okazały się szkodliwe w zastosowaniu do własnego narodu. Trudno bo temu, kto całe życie maskował się, udawał, konspirował, a działał nie licząc się z nikim, przerobić się raptem na prawdziwego demokratę, umiejącego podporządkować się większości wyrażonej wynikiem głosowania w sejmie...

Za drugim razem pojechałem sam do Zakopanego i we dwóch z przewodnikiem poszliśmy w góry. W górach, jak to w górach: chwilami lało jak z cebra i trzeba było w schroniskach czekać na przejaśnienie się nieba. Mój przewodnik, oczywiście ze sławnego rodu Gąsieniców, pocieszał się flaszką i ~~[illegible]~~, gdyśmy wreszcie ruszyli z Morskiego na Rysy, literalnie chwiał się na swych biało-wyporteczonych nogach ~~i~~ byłem więc w ciągłej obawie, że się raptem zwali w przepaść. Toteż wyszedłszy na Rysy ~~pożegnałem się z~~ z ulgą pożegnałem się z nim i sam już powędrowałem w dół ku jeziorom Popradzkiemu, a potem jeszcze niżej ku Szczyrbskiemu, skąd roztacza się piękna półkolista panorama Tatr, widzianych od południa. Na noc dotarłem do Koszyc, ~~które Węgrzy zwą Kassa a Niemcy Kaschau~~ jeszcze wtedy pod węgierskim panowaniem, skąd wróciłem najkrótszą drogą do Krakowa zmęczony setnie ale zadowolony ~~z [illegible] po Tatr~~ z przewędrowania Tatr w poprzek.

~~[illegible]~~ Wycieczkę na Śląsk Cieszyński odbyłem znów – w towarzystwie narodowców. O ile w Galicji język polski cieszył się pełnią praw, o tyle na Śląsku o każdą szkołę, o każde gimnazjum trzeba było walczyć z Niemcami i z Czechami. Właśnie w Cieszynie gimnazjum polskie, otwarte za pieniądze zebrane z całej Polski, ~~zbierane~~, obchodziło jakąś rocznicę, na którą my, studenci krakowscy, ~~[illegible]~~ zostaliśmy zaproszeni. Ale gdyśmy się zebrali w Domu Polskim na rynku, Niemcy cieszyńscy zaczęli nas obrzucać kamieniami i musieliśmy, niestety, salwować się ucieczką bocznym wyjściem, a stamtąd wozami na przygotowane noclegi na wsi. Tak to: jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem! Z Cieszyna miłego i schludnego miasta poszliśmy w Beskidy na Czantorię, a stamtąd do wsi Wisła, gdzie rzeka Wisła zaledwie rozpoczyna swój bieg i daje się przejść bez zamoczenia kolan.

Podczas jednych wakacji wybrałem się już nie na wycieczkę, ale w dalszą podróż, bo do Włoch przez Wiedeń i Triest. Już w tym ostatnim mieście, choć do Austrii wówczas należącym, a na terytorium słoweńskim zbudowanym (po słow. Trst), powiało ~~[illegible]~~ mię włoskie słońce, włoski język i włoski gwar, ale dopiero w Wenecji doznałem olśnienia, czy objawienia, piękna. ~~[illegible] każdego~~ | zaklinam każdego, ~~Kto~~ kto by się do Wenecji wybierał, niech nie jedzie koleją przez Mestre ~~ale z Triestu statkiem~~, a potem dostaje się do Wenecji kuchennymi schodami, ale niech z Triestu zajeżdża statkiem przed sam front pałacu Dożów, ~~[illegible]~~ a wtedy dozna takiego samego jak ja na całe życie niezapomnianego wrażenia. Poznanie Wenecji jest doskonałym odczynnikiem na ~~różnice~~ dusze ludzkie, albo mówiąc żargonem naukowym: testem psychologii dyferencjalnej. Jedni będą narzekać, że woda w kanałach cuchnie, że komary gryzą, że nie ma dorożek, samochodów ani tramwajów, inni zaczną wyciągać źle przetrawione wiadomości z historii i z historii sztuki, inni wreszcie, tak jak Mickiewicz na widok Czatyrdahu, powiedzą ~~tylko~~: Aa! Zatkało ich! Do tych ostatnich należałem i ja: pierwsze zetknięcie się z tym cudem nieopisanej i niewymownej piękności, tylko dlatego nazwanym Wenecją, że trzeba przecież było jakoś go nazwać, odebrało mi po prostu mowę i później dopiero zacząłem sobie ~~[illegible]~~ porządkować wrażenia. Ale niech nikt nie żąda, abym tutaj mu ~~tu~~ Wenecję opisywał! Kto Wenecję widział, dla tego to będzie zbyteczne, a kto jej nie zna, będzie słuchał jak ślepy o kolorach. ~~O Wenecji można by tylko śpiewać! A najlepszym jej określeniem jest Amicisowskie „incantevole”.~~ Cóż z tego, że mu będę mówił o kopułach Św. Marka, jak o spadochronach spadłych z nieba, czy też jak o balonach wznoszących się do lotu pod ciśnieniem modlitw; o paradoksalnej strukturze pałacu Dożów, gdzie ~~masywne górne piętra spoczywają opierają się o coraz~~ na lekkich kolumnach wznoszą się coraz to masywniejsze piętra; o rozkoszy

pływania gondolą po wąskich kanałach i
czekania na nowy cud przy każdym zakręcie; o czarnookich, czarnowłosych i czarnoszalowych dziewczętach, wesoło stukających wysokimi obcasami po kamiennych płytach; o lodach u Florian~~tego~~ na piazza San Marco.... po co czytelnikowi ~~robić~~ tylko robić oskomę! ~~O Wenecji~~ Zresztą o Wenecji powinno się tylko śpiewać! A najlepszym jej określeniem jest Amicis'owskie: „incantevole", którego polskie zbanalizowane: „czarująca" czy „urocza" zupełnie nie może oddać. Z Wenecji ~~wróciłem~~ ~~Werony~~ zrobiłem małą wycieczkę po północnych Włoszech ale ani średniowieczna Werona, ani ~~Firenze~~ Florencja, „la bella", ani Bolo~~gna~~nia, „la dotta", ani również uczona Padwa nie zatarły wspomnienia pierwszej mojej kochanki – Wenecji.

nowaniem mojego doktoratu była promocja. Rektorem był podówczas
Józef Łazarski, farmakolog, dziekanem wydziału filozoficznego – Henryk Hoyer,
profesor anatomii porównawczej, a na promotora uprosiłem Rozwadowskiego,
jako jednego z bliższych mi profesorów. 14 kwietnia 1910 r. w pięknej auli
~~Collegium Nov~~. Collegii Novi odbyła się więc ta moja promocja z zacho-
waniem całego pięknego rytuału tradycyjnego. Rector magnificus w todze
purpurowej z peleryną gronostajową, dziekan i promotor w togach czarnych z
pelerynkami w/~~odpowiednich~~ do wydziałów barwach, pedle z berłami i ja
~~również~~ tym razem już nie we fraku ~~ale~~ ale również w todze i w birecie.
~~Po odczytaniu formuły przysięgi przez rektora na skrzyżowane berła~~
~~położyłem wyciągnięte prawe palce prawej dłoni i przysięgłem: Spondeo~~
~~ac polliceor! Rektor i jego asystenci podali mi uścisnęli mi dłoń –~~
~~byłem i oto zostałem doktorem filozofii!~~
~~Rektor~~ (Promotor) odczytał ~~formułę~~ rotę, w której między innymi przysięgałem,
iż nie będę nadużywał swego tytułu do celów brudnego zysku (..sordidi
lucri causa...), na skrzyżowane berła położyłem wyciągnięte palce
prawej dłoni i wyrzekłem uroczyste słowa: Spondeo ac polliceor! Rektor
i jego asystenci uścisnęli mi dłoń – i oto zostałem doktorem filozofii!

Rozdział III
Intermezzo zagraniczne

Doskonale zdawałem sobie sprawę, że mimo uzyskania ~~tego~~ stopnia doktora filozofii, którego nomen et honores, iura et privilegia miały mi odtąd przysługiwać, z psychologii umiem prawie tyle, co nic, i postanowiłem uzupełnić swoją wiedzę w tej dziedzinie tam, gdzie była ona głębiej uprawiana niż w Krakowie. Przede wszystkim pociągała mnie Genewa, gdzie wykładał jeszcze Teodor Flournoy, autor znakomitych dzieł z zakresu metapsychiki (czy też jak niektórzy wolą: parapsychologii): „Des Indes à la planète Mars" i „Esprits et Médiums", a gdzie jednocześnie wschodziło nowe słońce: Edward Claparède, powaga w sprawach psychologii eksperymentalnej i pedagogiki, którego dzieła: „L'association des idées", „Classification et Plan des Méthodes psychologiques" i „Psychologie de l'enfant et Pédagogie expérimentale", mogły służyć za wzór solidnej roboty naukowej. Następnie chciałem być w Paryżu i posłuchać wykładów Henryka Bergsona, którego dziełami zaczytywałem się w Krakowie i Piotra Janeta, twórcy niezmiernie oryginalnych teorii psychologicznych.

Zacząłem od Genewy, gdzie znalazłem bardzo dogodne warunki pracy. Oprócz wymienionych już profesorów słuchałem jeszcze wykładów filozofii i chodziłem na seminaria Adriena Naville'a, autora klasycznej pracy p.t. „Nouvelle classification des sciences", w której dzieli całość wiedzy na: ~~1° nauki o prawach, czyli o tym, jak się dzieje (fizyka, chemia itd.)~~ ~~2° nauki historyczne, czyli o tym, co się dzieje~~
1° nauki o prawach (fizyka, chemia, biologia itd.), czyli o tym, jak się dzieje, 2° nauki historyczne, czyli o tym, co się dzieje i 3° nauki normatywne (logika, etyka, estetyka) czyli o tym, jak się dziać powinno. ~~Podobn~~ ~~Zbliżoną teor~~ Zbliżony pogląd głosił niemiecki filozof Rickert, ale, rzecz prosta, nie potrafił go przedstawić w tak pięknej i skończonej formie jak Naville. Pracę w laboratorium psychologicznym ułatwił mi dr. Wacław Radecki, którego znałem jeszcze z Warszawy, a który był wtedy asystentem prof. Claparède'a. P. Radecki przeprowadził był właśnie ciekawe badania nad „refleksem psychogalwanicznym", które chętnie przy jego pomocy przerobiłem. Sam zaś w pracowni Claparède'a wykonałem dwie prace, które ogłosiłem następnie drukiem w „Archives de Psychologie": „Contribution à l'étude de la suggestibilité" i „Comparaison de quelques processus psychiques dans l'hypnose et dans la veille".

Uniwersytet Genewski był w owym czasie wieżą Babel, opanowaną przez przeróżne nacje, a rodowici Szwajcarzy byli w niej zdecydowaną mniejszością. ~~Polaków~~ Wśród tych „etranżerów" Polacy stanowili pokaźną grupę. Przeważnie chodzili na medycynę, gdzie m.i. wykładał doskonały anatom, prof. Zygmunt Laskowski, z polskiej rodziny emigranckiej lub na przyrodę, gdzie główną atrakcją był słynny botanik Chodat, ale i na innych wydziałach Polaków nie brakło. ~~Mieli oni Dzielili się na dwie~~

~~odłamy~~ Dzielili się, jak zwykle, na ~~dwa~~ kilka odłamów: ~~narodowy i socjalistyczny~~, z których każdy miał swoje stowarzyszenie V, oprócz tego była i bezpartyjna „Bratnia Pomoc", łącząca wszystkich studentów Polaków. ~~Nie chcąc~~ Wyjeżdżając z Krakowa byłem już mocno zniechęcony do socjalistów ~~[illegible]~~ ich demagogicznymi metodami i ~~[illegible]~~ niezdolnością ujmowania całości sprawy polskiej, ale nie czułem się jeszcze skłonny do przystąpienia bez zastrzeżeń do ~~[illegible]~~ „endeków". Zapisałem się więc tylko do Bratniej Pomocy, w której niebawem obrano mię na prezesa. W tym charakterze brałem udział w organizowaniu różnych imprez dochodowych dla towarzystwa. Wystawiliśmy z wielkim powodzeniem „Dla szczęścia" Przybyszewskiego w obsadzie następującej: Helena — ~~[illegible]~~ Jadwiga Strzelecka x), Mlicki — Lucjan Szuster, Olga — Maria Łogińska, Żdżarski — Artur Chojecki. Innym znów razem urządziliśmy wielki bal, poprzedzony koncertem na którym m.i. popisywał się grą na wiolonczeli dr. Wacław Radecki. Z tej okazji, jako prezes Bratniej Pomocy i senior studenterii polskiej, pojechałem do Riond-Bosson pod Morges, aby zaprosić pp. Paderewskich na tę uroczystość. Paderewscy nie tylko przybyli, nie tylko wysłuchali (wyobrażam sobie z jaką przyjemnością) naszego koncertu, ~~[illegible]~~ nie tylko ofiarowali na Bratnią Pomoc 300 franków, ale i zaprosili mię do siebie na obiad. W oznaczonym zatem dniu wybrałem się znów do Riond Bosson; ~~[illegible]~~ obiad był, oczywiście, doskonały, ale cóż to dla mnie znaczyło wobec radości, że ~~mogłem~~ mogę ~~z bliska~~ poznać trochę bliżej wielkiego człowieka i szlachetnego Polaka. Ktoś z cudzoziemców (czy nie Saint-Saëns! ~~Clemenceau~~?) nazwał Paderewskiego „geniuszem, który ~~przypadkiem~~ także gra na fortepianie". Co do tego nigdy nie miałem wątpliwości, ale dopiero teraz mogłem ocenić jego ~~[illegible]~~ serdeczną gościnność, niewymuszony humor, ~~prostotę~~ wytworną prostotę obejścia i dar rozmowy. Zostałem oczarowany i to bez muzyki, gdyż z powodu jakiegoś bólu w ręce fortepian miał wakacje. Poznałem wtedy p. Marię Mickiewiczównę, wnuczkę poety i ~~[illegible]~~ pannę Alma-Tadema, córkę malarza, który niegdyś portretował Mistrza, ~~Paderewskiego~~ a wielką przyjaciółkę Polski i Polaków; ~~który~~ zupełnie oczarowała nas według najlepiej znanej sobie próbki — Paderewskiego... Pani Paderewska zaprowadziła nas do swoich ~~[illegible]~~ wzorowych kurników i tu zaimponowałem jej ~~swoją~~ znajomością ras kurzych, nabytą w dzieciństwie u O. Mariusza w Kunie.

Działo się to na przedwiośniu 1911 r., a dopiero 26 maja tegoż roku dane mi było po raz pierwszy usłyszeć Paderewskiego we Fryburgu, gdzie, przed wyjazdem do Ameryki na dłuższą tournée ~~koncertową~~, nasz wielki rodak ~~grał~~ dał koncert na dochód studentów-Polaków miejscowego uniwersytetu. Grał Beethovena, Brahmsa, Schumanna, Liszta, no i oczywiście Chopina: dwa nokturny, balladę G-moll, trzy etiudy i poloneza A-dur. ~~Bardzo~~

V było więc narodowe „Koło", radykalne o pepeesowskim zabarwieniu „Polonia" i endecka „Spójnia" ~~[illegible]~~ z samych prawie Żydów złożona;

x siostra Anieli Strzeleckiej, z którą przyjaźniliśmy się w Krakowie.

~~Nie mam odpowiedniego osłuchania muzykalnego~~, choć bardzo
muzykę lubię, nie mam odpowiedniego osłuchania muzykalnego, abym
mógł oceniać wirtuozostwo wykonania, muszę tylko stwierdzić, że
żaden pianista nie zrobił na mnie takiego wrażenia jak Paderewski.
Niewątpliwie trzeba z mego zachwytu coś odliczyć na konto ~~[illegible]~~
nimbu sławy, ~~która~~ go otaczała, ale nawet z tym uwzględnieniem
nie sądzę, aby ktoś mógł go przewyższyć. Być może są, ~~[illegible]~~, pianiści
mający lepszą technikę, głębszy ton, silniejsze uderzenie, delikatniejsze „pianis-
simo" ~~[illegible]~~, ... czy ja wiem zresztą, ile odrębnych pierwiastków mogą w grze
wirtuoza wyanalizować znawcy – wszystko to być może, ale w grze Pade-
rewskiego były one stopione w przedziwnie harmonijną całość i przepojone
wielką inteligencją i głębokim uczuciem. Także, tak grać Chopina ~~nikt~~
jak on, nikt dotąd nie potrafił. Rzadko kiedy ~~[illegible]~~ można usłyszeć z
estrady poloneza A-dur – pianiści wolą grać inne, bo im dają więcej pola
do wirtuozowskich sztuczek. Niechże by posłuchali, jak go gra Paderewski
~~i jak arcydzieło~~ i jak szopenowskie arcydzieło, zbanalizowane przez
tylu „schopenhauerów" [sz], naprawdę brzmieć powinno!

Widziałem się następnie ~~[illegible]~~ z Paderewskim w Vevey, gdzie z racji jakiegoś
święta muzycznego odegrano na koncercie jego symfonię, ~~[illegible]~~ a właściwie
jeśli mnie pamięć nie myli, pierwszą jej część. Utwór bardzo mi się podobał,
ale uważałem, że tempo powinno było być trochę żywsze i podzieliłem się
swym spostrzeżeniem z Paderewskim, ~~który przysłuchiwał się wykonaniu o~~
~~[illegible]~~ – „Ma pan rację, o całe 6 minut było za długo" odpowiedział ~~[illegible]~~ mi
kompozytor, który z zegarkiem w ręce przysłuchiwał się wykonaniu swego
dziecka. Pozwoliłem sobie na to/pochwalenie się trafnością swej obserwacji,
ale zaznaczam, że nie roszczę sobie pretensji do laurów muzykologa.

Z kolegów genewskich bliżej żyłem ze Strzeleckim i Szustrem, który się
później pobrali, z Leonem Klimeckim, z którym ~~[illegible]~~ w Polsce niepodległej
spotkałem się znów na terenie Min. Spr. Zagr. i jeszcze z kilkoma innymi,
ale, jako prezes Bratniej Pomocy, miałem rozległe znajomości wśród
kolonii studenckiej. Wspomnę tu jeszcze o braciach Mühlsteinach, z
którymi poznałem się w Genewie a później spotkałem się jeszcze w Paryżu.
Pochodzili ~~[illegible]~~ z zamożnej ortodoksyjnej rodziny żydowskiej, ale utrzymy-
wali stosunki wyłącznie z Polakami. Starszy, Stanisław, zmienił nazwisko
na Mielewski i ożenił się z p. Heleną Starzyńską, stryjeczną siostrą późniejszego
prezydenta Warszawy, młodszy, Anatol, zatrzymał nazwisko przodków i
zrobił ładną karierę w dyplomacji polskiej: był radcą legacyjnym
w Brukseli, gdzie się ożenił z Belgijką, a potem w Paryżu, gdzie secundo voto pojął za małżonkę
jedną z Rothschildówien. Jak twierdzi rodzina miał to być un mariage
d'amour. Otóż z powodu Stanisława, naówczas jeszcze Mühlsteina,

zostałem ~~po raz drugi~~ wplątany w t.zw. „sprawę honorową"//. Z powodu
jakiejś błahej sprzeczki z niejakim dr. Gustawem Szulcem, wiecznym studen-
tem i narwanym jegomościem, ~~doszło do po~~ Mühlstein został zmuszony
do pojedynku i poprosił mię na sekundanta, drugim miał być kol. Edward
Lubecki. Nie mogłem mu odmówić. Wieleśmy mieli kłopotu z wynalezieniem
~~w Genewie pary pistoletów pojedynkowych~~ w spokojnej, cnotliwej i cywilizo-
wanej Genewie pary pistoletów pojedynkowych i przed świtem udaliśmy się
samochodem ~~za granicę kantonu Genewskiego do ...~~ o kilka kilometrów
za miasto, gdzie się kończyła bogobojna Szwajcaria, ~~a zaczynała już~~
nie tolerująca duellantów i pakująca ich bez pardonu do kozy, a zaczy-
nała się/patrząca na to przez palce, Francja. Jechał z nami jakiś student
medyk, zdaje się Brazylijczyk, uzbrojony w cały arsenał narzędzi chirurgicznych.
~~Było mglisto i zimno~~ Poranek był zimny i mglisty – działo się to
o wczesnej wiośnie – byłem nie wyspany, ale podniecony niezwykłą przygodą,
trzeba było się śpieszyć, zanim się miasto zbudzi i zacznie się ruch na
drogach, odmierzyliśmy więc na pobliskim polu dwadzieścia pięć jak
największych kroków, nabiliśmy pistolety dając jak najmniej prochu,
~~zakonwadorowociona~~ obaj/przeciwnicy lojalnie strzelili ~~obaj~~ w powietrze i
honorowi stało się zadość. Był to drugi wypadek, gdym się otarł o
pojedynek. Za trzecim razem miało być gorzej.
Z kolegów Szwajcarów zbliżyłem się tylko ~~z jedynym~~ z ~~p.~~ Alfredem
Turrianem, medykiem. Ożenił się on/z Polką: kol koleżanką Wandą Wojeńską,
i przeniósł się do Berna, gdzie zyskał sobie wielkie uznanie jako dentysta.
Z pp. Turrianami spotykałem się później i korzystałem z ich serdecznej
gościnności w Bernie.
W Genewie po raz pierwszy zetknąłem się z Edwardem Abramowskim,
który po dłuższym pobycie za granicą zamierzał powrócić ~~już~~ do kraju. Wybitny
ten socjolog i psycholog porywał zapałem do nauki ~~i rozległością zainteresowań~~.
i rozległością widnokręgu ~~uwagę~~ myślowego. Nic w nim nie było z
pedanta, z „suchego uczonego" – był jego chodzącym przeciwieństwem. Gorący
patriota i reformator społeczny, w „związkach przyjaźni" widział odrodzenie ludz-
kości. ~~Nam~~ W moim pamiętniku nakreślił niegdyś te słowa: Memento! Corpus
cordis opus et mens agitat molem. I to się na nim sprawdzało! ~~Wątłe~~
~~ciało, zniszczone chorobami ale~~ Spalające się serce utrzymywało przy życiu
wątłe ciało, zniszczone chorobami, a duch nim kierował. Abramowski zain-
teresował się moimi pracami psychologicznymi i ~~udzielił mi~~ poradził mi,
abym ograniczył swoje, zbyt szeroko zakreślone, plany. ~~Skorzystałem z~~
~~jego doświadczenia~~ Zaufałem jego większemu w tych sprawach doświadczeniu
i zastosowałem się do jego wskazówek, co mi tylko na dobre wyszło. Z Abra-
mowskim miałem się później spotkać w Warszawie i zbliżyć, ale o tym
będzie mowa w dalszym ciągu tych wspomnień.

W Genewie czułem się ~~bardzo dobrze~~ wyśmienicie: ~~i ludzie i przyroda bardzo mi odpowiadali, a ustrój polityczny Szwajcarii ca~~ i przyroda, i ludzie, i ustrój polityczny, wszystko mi tu odpowiadało. Nawet język niemiecki tak szorstki, chrapliwy i brutalny w ustach rodowitego Niemca, łagodniał w dialektach szwajcarskich i upodabniał się do mowy ludzkiej. A znów w kantonach językowo francuskich, francuszczyzna rozbrzmiewała miłymi archaizmami w rodzaju: „septante", „nonante", zamiast literackich: „soixante-dix", „quatre-vingt-dix". Leman się mienił wszystkimi odcieniami błękitu: od jasnej opalizującej niebieskości do głębokiego niemal czarnego szafiru, a ~~wypływający z niego Rodan~~ przepływający przezeń Rodan lał się szeroką ~~rzeką ciemnobłękitnej lawy, w którą wpadała gwałtowna, burzliwa, szumiąca~~ ciemno błękitnej, przejrzystej lawy rzeką, w którą pod ostrym kątem wpadała z gór ~~spadająca~~ spływająca, burzliwa, szumiąca, szara i mętna Arwa i tak płynęły ze sobą te rzeki, na długiej przestrzeni wód swoich nie mieszając. Coś niby Wisła z Bugiem. W tej to Arwie kąpał się Słowacki i pisał do matki: „od sześciu dni kąpiąc się, czuję już bardzo znaczną odmianę w sobie. Mówią mi ludzie, że jak się w tej rzece pokąpię, to moje spliny ode mnie uciekną i będę wesoły". Może dlatego, że mi „spliny" nie dokuczały, do Arwy ~~na~~ do kąpieli nie chodziłem, wolałem kąpać się w jeziorze i pływać po nim ~~łódką~~ w dzień lub w nocy ~~z latarką~~ łódką z latarnią wenecką umieszczoną na jej dziobie. Jako punkt wyjścia do ~~dalszych~~ bliższych i dalszych wycieczek ~~[illegible]~~ dzięki swemu położeniu i doskonałym środkom komunikacyjnym Genewa ~~doskonale~~ wybornie się nadawała, toteż ~~jak tylko mogłem wyp~~ korzystałem z tego w całej pełni. Wystarczyło wejść piechotą albo wjechać kolejką zębatą na Salève, już na terytorium francuskim się wznoszący, aby mieć przecudny widok na Mont Blanc i napawać się w zimie słońcem, podczas gdy Genewa tonęła we mgle. Pamiętam, że, kiedym po raz pierwszy ujrzał te cuda, tom ukląkł na trawie i zacząłem się modlić taką czystą bezinteresowną modlitwą, w której o nic Boga nie prosiłem, a tylko podziwiałem Go w Jego stworzeniu. Doświadczyłem wówczas, że:

Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie.

Nie chcę tu współzawodniczyć z Baedeckerem, nie będę więc opisywał wszystkich uroków Szwajcarii, ani „Tour du Lac" po Lemanie, ani takiejże okrężnej nawigacji po jeziorze Czterech Kantonów, ani zbierania narcyzów na łące w Les Avants, ani wycieczek do Chamonix, Zermatt czy Interlaken. ~~ani do schr. noclega Wspomnę tylko o noclegu w schronisku klasztorze Św. Bernarda~~

Wspomnę tu tylko o pobycie na przełęczy Św. Bernarda, gdzie zakonnicy, kultywując tradycyjną gościnność, udzielają podróżnym bezpłatnego noclegu i posiłku. Naturalnie wypada odwdzięczyć się im za to odpowiednim datkiem na klasztor. Interesowały mnie, oczywiście, słynne psy ratownicze i stwierdziłem, że te miłe i mądre sobaki ~~są krótką mają~~ są krótkosierstne a nie włochate, jak większość psów, znanych u nas pod nazwą Saint-Bernardów. Podobno taka odmiana jest bardziej odporna na ostry klimat górski, bo nie nabija sobie śniegu w kudły. Czytałem gdzieś, że obecnie, wobec podróży, przeważnie koleją odbywanych, ~~klasztor na przełęczy du Grand Saint Bernard~~ ratowanie zasypanych śniegiem podróżnych jest już niepotrzebne i że klasztor wraz z zakonnikami i psami ma być przeniesiony gdzieś w Himalaje i tam ma kontynuować swą szlachetną działalność.

Na różne słynne szczyty nie próbowałem się wspinać, bo są to wyprawy niezmiernie uciążliwe i niebezpieczne dla niewprawnego alpinisty a powtóre bardzo kosztowne. Chadzałem natomiast szosami i ścieżkami górskimi i duży szmat Szwajcarii własnymi krokami przemierzyłem. Dzięki doskonałej organizacji turystyki można wszędzie po drodze znajdować dobre a niedrogie noclegi w hotelach, oberżach, czy schroniskach, a szybką i sprawną pocztą przesyłać walizki czy plecaki. O ileż lepiej poznaje się wtedy kraj, o ileż bliżej obcuje się z przyrodą, niż dojeżdżając wszędzie pociągiem! Polecam każdemu taką np. wycieczkę: ze Spiez nad jeziorem Tuńskim, koleją elektryczną do Frütigen, ~~skąd~~ dalej pieszo w górę doliną rzeki Kander do Kandersteg, skąd trzeba się piąć do przełęczy Gemmi, a potem schodzi się w dół do Louèche-les-bains (Leukerbad) i do Louèche (Leuk) w dolinie Rodanu, skąd już idzie kolej prosto do Genewy. Prześliczna jest także wycieczka doliną Rodanu w górę do lodowca z którego ta rzeka wypływa, a potem, przekroczywszy pasmo Alp Berneńskich przez przełęcz Grimsel w dół doliną Aaru, obok wodospadu Handegg, „gdzie Aar wody błyskilnymi spada", przez Meiringen do Interlaken. Ale miałem nie konkurować z Baedekerem, a tu widzę, żem uległ pokusie. Wybacz mi, znudzony czytelniku, więcej nie będę!

MICHAŁ KULCZYCKI
ADWOKAT

WARSZAWA, DN. .... 19...... R.

UWAGA:
WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/...........

Z miast poznałem wszystkie ważniejsze: najbanalniejszy jest Zurych; Bazylea, ten „pępek Europy", gdzie się krzyżują główne szlaki komunikacyjne, ratuje Ren i malarstwo Boecklina, bardzo mi się natomiast podobał Bern[x)] ze swym staroświeckim wyglądem śródmieścia, ze swymi podcieniami i fontannami a także urocza Lucerna, przeglądająca się w jeziorze Czterech Kantonów, które na kształt krzyża herbowego zdobi pierś Helwecji. Ale najciekawszym z rozmaitych względów i najbardziej malowniczym, a niestety często prześlepianym przez turystów miastem jest dla mnie stanowczo Fryburg. Geografa i polityka zainteresuje fakt, że przez środek miasta przechodzi tu granica językowa francusko-niemiecka, Polaka — uniwersytet katolicki, w którym kształciło się tyle naszej młodzieży i wykładali nasi uczeni, oraz witraże Mehoffera w katedrze, muzyka — największe i najwspanialsze na świecie organy w tejże katedrze, inżyniera — cud techniki: dwa wiszące mosty, śmiało przerzucone nad dolinami rzek, każdego wreszcie, wrażliwego na piękno, człowieka — malownicze położenie miasta nad Saryną.

~~Obecnie~~ Dzisiaj, gdy w odrodzonej Polsce mamy (przejściowo przez obecną katastrofę wojenną unieruchomione)[xx)] własne wyższe uczelnie, gremialny exodus młodzieży za granicę po wiedzę nie jest ani konieczny ani pożądany. Ale sądzę, że każdemu, kogo stać na to, młodzieńcowi pobyt w Szwajcarii tylko dobrze zrobić może. // Niech by się przyjrzał prawdziwej demokracji, wolności bez anarchii, pracowitości, prostocie obyczajów, uprzejmości, uczciwości, porządkowi, poszanowaniu prawa bez skrępowania zbytecznymi formalnościami, tolerancji dla odmiennych przekonań, brakowi nienawiści rasowych czy wyznaniowych. Zapewne i w innych sąsiednich krajach Europy Zachodniej znalazłby młody Polak niejedną cnotę godną naśladowania, ale takiego ich harmonijnego zespołu, takiego niezrównanego koktajlu kultury europejskiej nie dostanie nigdzie. Obyż ta wolna Helwecja, jedna, choć z dwudziestu pięciu kantonów złożona, co w ciężkich bólach i walkach do swojej obecnej postaci urosła, — stała się zaczątkiem i wzorem przyszłych Stanów Zjednoczonych Europy, do których marzenie przenosi „duszę moją utęsknioną" z obecnego pobojowiska!

x) Odróżniam Bern szwajcarski à Berno (Brno) morawskie, zgodnie z powszechnym zwyczajem i „Słownikiem Ortoepicznym Szobera", wbrew prawidłom pisowni Nitscha i „Słownikowi Ortograficznemu" Arcta.

xx) Pisałem w r. 1943.

MICHAŁ KULCZYCKI
ADWOKAT

WARSZAWA, DN. .... 19......... R.

UWAGA:

WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/............

Zanim się ze Szwajcarią pożegnam, ~~muszę~~ wspomnę na tym miejscu o ~~dłuższej wycieczce~~ wycieczce do Włoch, którą z Genewy zrobiłem. Byłem już dawniej w Wenecji, ~~Pawd~~ Padwie, Weronie, Bolonii i Florencji, teraz więc pojechałem przez Genuę, i Pizę do Rzymu, stamtąd do Neapolu i z powrotem via Mediolan do Genewy.

W Rzymie ruiny antyczne nie zrobiły na mnie wielkiego wrażenia. Szczątki świątyń na Forum Romanum, odgrzebane, oskrobane z „pleśni wieków", może dla archeologów i historyków ~~przedstawi~~ są interesujące, jako przedmioty muzealne. Brak im tylko ogromnych szaf oszklonych, żeby się ~~te~~ kolumny nie kurzyły! ~~Z dawnych opisów i rycin~~ O ileż piękniejsze było Forum dawniej, owo „campo vaccino", które znamy z opisów i rycin, zarośnięte trawą, ~~na której~~ gdzie pasły się białe długorogie V stada. Toteż od Forum weselsze wzgórze Palatynu mniej „muzealne" a ~~dające więcej pola pozwalające~~ więcej pozwalające bujać wyobraźni. Ale przeszłość ~~republik~~ republikańska czy cesarska Rzymu jest tylko przeszłością — aktualnością jest ~~tylko~~ chrześcijaństwo, którego Rzym jest stolicą, i to głównie w Wiecznym Mieście podziwiałem. Koloseum, ogromny cyrk, w którym odbywały się barbarzyńskie igrzyska, jest w ruinach, a niedaleko ~~wzno~~ odeń ~~wznosi się~~ stoi kościół Św. Jana Laterańskiego, katedra biskupa Rzymu, „omnium ecclesiarum caput et mater". Na kolumnie Trajana stoi posąg Św. Piotra, a na kolumnie Marka Aureliusza — posąg Św. Pawła. Na fundamentach świątyni Minerwy wznosi się kościół Matki Boskiej: S. Maria sopra Minerva. Panteon, który miał służyć wszystkim bogom, teraz służy Jedynemu Bogu. Słowem wszędzie ~~na starożytności klasycznej, spoglądając na ją jako biorąc ją za podstawę~~ z gleby starożytności klasycznej wyrosło owo, ~~wielkie drzewo~~ ewangeliczne, z ziarna gorczycznego poczęte, wielkie drzewo chrześcijaństwa „a ptaki niebieskie spoczywały na gałęziach jego". Z pomników cesarzy zachował się jedyny

Kochanek ludów ów Marek Aureli |petit|

i to dzięki temu, że uważano go za pomnik Konstantego Wielkiego, pierwszego chrześcijańskiego cesarza. Tak to chrześcijanie uratowali od zagłady pomnik swego prześladowcy, filozofa-stoika, który we własne bóstwa nie wierzył // a w chrześcijanach widział tylko upartych fanatyków.

V całkiem ukraińskie

MICHAŁ KULCZYCKI
ADWOKAT

UWAGA:
WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/..........

WARSZAWA, DN. .... 19.......... R.

Wzór E. M. 127 [F1] 2.000—4.41

445

~~Stoi on sobie spokojnie~~

~~Marek Aure~~li:

~~Pięknie, składnie, pogodnie na całe~~

Dziś chrześcijanie mu to wszystko wybaczyli i spiżowy cesarz na spiżowym rumaku

Rękę poważnie wzniósł, jak gdyby w koło
Miał błogosławić tłum swego poddaństwa. | petit

A dzieje się to na placu przed Kapitolem, ~~którego schodów już~~ po których schodach już nie chodzi cum tacita virgine pontifex; tak to poezja Horacego przetrwała wyznaczony sobie przez poetę kres....

Bazylika Św. Piotra imponuje ogromem, pięknością, wspaniałością, przepychem, ale ~~nie usposabia do skupionej modlitwy, jak np~~ i rozprasza zarazem ~~uwagę~~ myśl, porywając uwagę coraz to w innym kierunku. Toteż modlić się tutaj jest trudniej niż w kościele gotyckim, ~~który po którego strzelistych łukach kolumnach i łukach dusza jak powój wspina się ku niebu~~ gdzie wokół strzelistych kolumn dusza jak powój się oplata, ~~i przez barwne witraże~~ różowymi i fiołkowymi dzwoneczkami dzwoni, i przez barwne witraże ku niebu zagląda, albo w polskim kościółku wiejskim, gdzie przez otwarte okna słychać szum lip i ćwierkot wróbli. Jest to pałac Pana Boga, gdzie ma on Swoją salę tronową, ~~i~~ gdzie udziela audiencji i gdzie rozbrzmiewać powinno Gloria in excelsis i Te Deum laudamus! Ale pałac ten jest otwarty dla wszystkich: ~~dla dla wszystkich i dla~~ dla wszystkich ras i wszystkich narodów. „Albowiem nie ma różnicy między Żydem i Grekiem, bo ten sam Pan wszystkich hojny dla wszystkich, którzy go wzywają". (List Św. Pawła do Rzymian X, 12)

Symbolem tego są konfesjonały dla różnych nacji, w jednej z naw bazyliki poustawiane, jest między nimi i „pro lingua polonica". Stwierdzenie tego faktu, ~~że~~ że ~~w Św. Piotra~~ w bazylice Piotrowej jesteśmy u siebie, u domu, większe mi sprawiło zadowolenie ~~na mnie zrobiło wrażenie~~ niż herby polskie w uniwersytecie padewskim, czy też pomniki Stefana Batorego i Jana Sobieskiego w tejże Padwie sumptem Stanisława Augusta postawione.

V Jednym z uroków Rzymu były dla mnie co krok niemal spotykane fontanny, których szum tak ożywia i odmładza dostojne Miasto. Nie znałem ~~jesz~~ wówczas jeszcze przesądu, nakazującego napić się wody z Fontanna di Trevi i rzucić do niej solda, mimo to ~~kilka raz~~ jeszcze kilka razy potem byłem w Rzymie [dalej na osobnej kartce]

V Przyjechawszy z Rzymu do Neapolu, już na samym dworcu ma się wrażenie, że stała się tam jakaś wielka awantura. Tymczasem jest to stan normalny i zwykły gwar neapolitańczyków. Tu się dopiero czuje południe i w klimacie i w temperamencie ludności. Z Neapolu zrobiłem oczywiście klasyczne wycieczki ~~do Pompei i na Capri~~ do Pozzuoli, aby obejrzeć na wpół wygasły wulkan „solfatare", do Pompei, na Capri i na Wezuwiusz. O tej ostatniej ~~p~~ kilka słów powiem.

Do stron. 50

Podobno papież Leon XIII, żegnając się z pielgrzymem po audiencji prywatnej, pytał go zwykle, jak długo bawi w Rzymie. Jeżeli pielgrzym odpowiedział, że kilka dni, czy dwa tygodnie, to papież na pożegnanie mówił mu: addio, jeżeli zaś pielgrzym przebywał w Rzymie dłużej, np. miesiąc, to papież mówił mu: ~~a rivederci~~ a rivederci (do widzenia), dając tym do zrozumienia, że kto dłużej w Rzymie bawił, to tak ~~[illegible]~~ w nim zagustował, że zechce doń powrócić. Co się mnie tyczy, to się rozmiłowałem w Rzymie od pierwszego wejrzenia, za każdą nową bytnością odkrywałem w nim nowe cuda, a teraz bolejąc nad ~~tragicznym~~ losem nieszczęsnych Włoch, zagnanych wbrew woli do wojny przez megalomana „duce", ~~nie tracę~~ marzę, że może ~~[illegible]~~ uda mi się ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ jeszcze odwiedzić kiedy Wieczne Miasto i wołam doń: Roma, a rivederci!

W Neapolu spotkałem się z p. Rudolfem Zaleskim, z którego matką i rodzeństwem przyjaźniłem się w Krakowie; postanowiliśmy razem wybrać się na Wezuwiusz. Nie chcieliśmy korzystać z Kolejki Cook'a i pojechaliśmy zwykłą koleją, jeśli się nie mylę, do Torre Annunciata, a stamtąd dorożką do ~~Boscotrease~~ Boscotrecase. ~~Wybuch wu~~ Wybuch wulkanu w 1906 r. zniszczył ~~zalał~~ to miasteczko ~~lawą~~ zalewając lawą domy do wysokości pierwszego piętra. Stąd można było jechać dalej w górę już tylko konno. Dano nam jakieś straszne wywłoki i przewodnika, który chcąc je pobudzić do szybszego chodu szarpał je za ogon krzycząc przeraźliwym głosem ~~tonem~~, w którym oburzenie mieszało się jakby ze zdziwieniem: Aa! aa! Nad samym kraterem wznosi się ścięty/stożek popiołu, po którym trzeba brnąć w górę pieszo, co jest bardzo męczące, bo popiół pod stopami wciąż się obsuwa. Musiałem więc pod koniec tej uciążliwej wędrówki skorzystać z pomocy jednego z czekających na taką okazję Herkulesów, który mię porwał na barana i wyciągnął na sam szczyt. Widok rozlega się stąd zaiste niezwykły. Obramowany krawędzią popiołu, rozpościera się ogromny, (przeszło półkilometrowej średnicy), przepaścisty, zda się, bezdenny lej, ziejący gryzącymi dymami, wydobywającymi się ze szczelin kamienistych zboczy. Zaiste wejście do dantejskiego piekła!

petit

Otom się, widzę, znajdował na skłonie
Owej bolesnej, piekielnej doliny,
Co nieskończonych echa jęków chłonie.

Loch był bezdenny, mglawy, czarno-siny,
Źrenice moje, wysłane na zwiady,
Niczego dobyć nie mogły z głębiny.

(Piekło, IV, 7-12 – tłum. E. Porębowicza)

Po cudach Rzymu i Neapolu Mediolan wydał mi się banalny i szary, toteż bez żalu powróciłem do Genewy, podziwiając tylko ~~z~~ po drodze z okien wagonu przepiękne Lago Maggiore. ~~Z pobytu~~ Z dwukrotnego pobytu we Włoszech wyniosłem rozsmakowanie się w malarstwie włoskim, przed którym niech się schowają wszyscy Francuzi, Flamandzi, Holendrzy i Niemcy, i w winach włoskich, które stanowczo poza granicami własnej ojczyzny są za mało znane i cenione. Na ogół nawet wykształcony w winopijstwie Polak mało co o nich słyszał. Zapewne pił nieraz wermut, może i deserową sycylijską ~~słodką~~ Marsalę, może i toskańskie Chianti, ale na tym jego wiedza się zwykle kończy. A tymczasem każda prowincja, każda okolica, każde niemal miasto, ~~ma swoje~~ mają swoje wspaniałe wina, tak przeróżne, tak barwne, tak wonne, że do każdego smaku, do każdego usposobienia, do każdego nastroju, można dobrać odpowiedni napitek. W północnych Włoszech

mamy dobre barolo i barbera i słynny musujący szampan włoski: asti spumante; w Toskanii słynie ~~chianti~~ rubinowe, cierpkawe chianti, sprzedawane w pękatych, długoszyich, oplatanych „fiascach" (flaszkach); zamiast korka warstwa oliwy zabezpiecza trunek od zetknięcia się z powietrzem. Zapewne, że wykwintne i drogie wina bordoskie i burgundzkie lepszą się cieszą na całym świecie sławą niż chianti, ale też i więcej są fałszowane niż to proste, szczere i czyste ~~w ciemn~~ toskańskie wino w którym nie ma zdrady. Dalej na południe ~~mamy~~ mamy słynne montepulciano, o którym tradycja przechowała następującą opowieść.

Pewien kardynał z północnego jakiegoś kraju, na conclave do Rzymu podążający, — ~~ta~~ rzecz się działa w owych czasach, gdy nie było jeszcze wagonów sypialnych ani w ogóle kolei żelaznych, a podróżowało się końmi — wysyłał zawsze przed sobą swego kapelana, który badał okoliczności ~~noclegu i~~ popasu i noclegu, ~~a~~ gdzie znalazł dobre wino, tam na drzwiach osterii pisał kredą: est i tam kardynał się zatrzymywał. Gdy wreszcie kapelan przybył do Montepulciano i miejscowego wina skosztował, to tak się nim zachwycił, że napisał trzykrotnie: est, est, est!. Widocznie gust miał dobry, bo kardynałowi również to wino tak dalece do smaku przypadło, że ~~zatrzymał się w Montepulciano~~, z podróży do Rzymu zrezygnował, zamieszkał na stałe w Montepulciano i tam żywota dokonał, ~~zapisując~~ zapisawszy w testamencie miastu pewną sumę w tym celu, aby ~~co roku~~ w każdą rocznicę jego śmierci otwierano beczkę ulubionego przezeń wina na poczęstunek dla mieszkańców zacnego miasta. Zdaje się, że ta szlachetna fundacja przetrwała różne przewroty polityczne i dziś jeszcze jest skrupulatnie wykonywana.

Gdyby św. p. kardynał nie był się zatrzymał w Montepulciano, to w dalszej drodze do Rzymu trafiłby był w Orvieto na również dobre wino, a i w samym Rzymie nie mógłby na wino narzekać. W najbliższej bowiem okolicy Wiecznego Miasta produkują doskonałe wina, z których ~~najlepiej lubi~~ najczęściej pijałem Frascati. Wreszcie w Neapolu znajdujemy klasyczne Falerno i Lacrima Cristi. To ostatnie, mocne i aromatyczne, ~~wino rośnie na zboczach~~ tłoczy się z winogron, rosnących na zboczach Wezuwiusza na glebie użyźnionej popiołem wulkanicznym.

~~Mając taką obf. obfitość i rozmaitość win~~

Dziwne to, że mając taką obfitość i rozmaitość doskonałych win, Włosi piją również i piwo, nawet w znacznej ilości. A najlepszym we Włoszech piwem jest florenckie „birra Paszkowski”, fabrykowana przez naszego rodaka. Przed zmartwychwstaniem Polski pan Paszkowski był jej nieoficjalnym przedstawicielem // we Włoszech, a potem, ~~został~~, zdaje się, (został mianowany przez nasz rząd konsulem honorowym. Skoro więc Włochom piwo smakuje, niechże piją polskie ~~a nie niemieckie~~ i niech wiedzą, że to napój polski a nie niemiecki. ~~Jakoż bo~~ Jakiż bo ~~napisał~~ to „Napis ~~„napisał~~ na Kufeu” ~~Syrokomla?~~ odczytał Syrokomla?

Niemcy nam chcieli ukraść Kopernika,
Z przywłaszczonego odarto ich blasku,
Chcieli nam dowieść, że piwo wynika
Z ich wynalazku.

Ale u Ditmara pismach zostawiona
Pamiątka szczera, Kronikarska, żywa:
Bolesław Wielki przyjmował Ottona
Kufelkiem piwa!

petit

O ~~polskim~~ słowiańskim pochodzeniu piwa ~~świadczy~~ dowodnie świadczy przede wszystkim jego nazwa: piwo od pić, jak paliwo od palić, ~~tworzywo~~ warzywo od ~~tworzyć~~ warzyć itd., podczas gdy niemieckie Bier (skąd poszła i ~~b~~ włoska birra) ma etymologię niepewną. A i dodawanie chmielu dla smaku też od Słowian pochodzi. — Ale piwo, choćby najlepsze, i wykwintniejszy od niego miód, ~~są~~ to są wszystko tylko zastępniki, namiastki, jedynego boskiego napoju — wina! Zawsze żałowałem, że w Polsce ~~klimat nie pozwala~~ wino nie może być codziennym napojem ludności, tak jak w tym szczęśliwych krajach śródziemnomorskich, które stworzyły cywilizację. Bo nieprawda, że to ~~cywilizację to „nordycy”~~ zasługa „nordyków”. Jeszcze wszelacy nordycy, subnordycy i laponsidzi gnieździli się na sosnach i szyszkami się żywili, jak już ~~dokoła~~ Morza Śródziemnego kwitła cywilizacja, wznosiły się Partenony i Kapitole, Apollo i Pallada uczyli mądrości i piękna, (Cetera - rolnicka,) Muzy śpiewały na Helikonie a Dionizos krzewił uprawę winorośli. Istotą tej cywilizacji jest umiar, nawet w piciu. Wino piło się ~~zwykle rozcieńczone wodą, jak~~ po uprzednim rozcieńczeniu wodą w specjalnych naczyniach, „kraterach”, jak to już czytamy u Homera:

~~Οἱ μὲν οἶνον ἔμισγον ἐνὶ κρατῆρσι μεθ' ὕδωρ~~

.... W dworze rojem się krzątali
Keryksi, czeladź: jedni mieszali na poły
W kraterach wino z wodą, owi tarli stoły
Smokliwymi gąbkami, ci nieśli zastawy
I rozdzielali mięsne biesiadnym potrawy.
(Odyssea - tłum.: L. Siemieńskiego)

petit

I dziś tak samo: Włoch, Francuz czy Hiszpan pije przy jedzeniu wino z wodą, a tylko lepszymi gatunkami delektuje się pijąc je umiarkowanie ~~[illegible]~~ bez domieszki wody. Toteż nigdy we Włoszech nie widziałem pijaków, we Francji ~~[illegible]~~ — czasem, ale ~~z pewnością~~ nie było temu winno z pewnością wino, lecz te jakieś różne podejrzane alkohole, którymi pod nazwą aperitiwów Francuzi teraz się raczą, jakieś ~~[illegible]~~ odurzające absynty, anyżówki, czy wprowadzone przez Amerykanów koktajle. Wino, pite przez ludzi do niego nawykłych i umiejących je cenić, nie odurza, nie ogłupia nie przytępia, ale lekko podnieca, ~~rozwiązuje języki,~~ szybciej porusza krew, myślom każe biec chyżej i rozwiązuje języki. ~~Rozkoszują się nim wszystkie zmysły~~ Rozkoszuje się winem i wzrok, i powonienie, i smak, a gdy się zmysły już nim nasycą, przychodzi refleksja, delektacja umysłowa, między jednym kieliszkiem ~~a drugim — mówi~~ wina a drugim — mówi się o nim. Jakże tu porównać te sympozjony wytrawnych miłośników wina z orgiami pijaństwa u innych narodów! // Piwo rozdyma żołądek i czyni ciało człowieka ociężałym, a umysł jego ~~pozbawia lotności~~ mało lotnym. A znów ~~[illegible]~~ araki, rumy, giny i inne wysokoprocentowe ~~[illegible]~~ wódki zbyt szybko ~~[illegible] pozbawiają przytomności odbierają człowiekowi pozbawiają człowieka~~ odbierają człowiekowi panowanie nad sobą i, co tu ukrywać, robią go świnią. Dobrze jeszcze, jeśli ta świnia od razu wali się spać do barłogu, gorzej bywa, gdy obudzą się w niej instynkty wojownicze. Choć czasem i samo piwo do bójek sposobi, jak świadczy Kochanowski:

petit

Kufle lecą, jako grad; a drugi już jęczy,
Wziął konwią, aż mu na łbie zostały obręczy,
Potym do arkabuzów; a więc to biesiada?
Jeśliście tak weseli, jakaż u was zwada?

petit

Chrześcijaństwo, urodzone w Palestynie a wychowane w Rzymie, ta płonka nadprzyrodzona zaszczepiona na kulturze śródziemnomorskiej, uświęca używanie wina. Pierwszy cud Chrystusa, to przemienienie wody w wino w Kanie Galilejskiej; później podczas Ostatniej Wieczerzy przemienił On wino, rozcieńczone wodą, we własną Krew. Sam Pan Jezus ~~i Apostołowie~~ bywa na ~~bywają zapraszani na uczty, gdzie piją wino~~ ~~bywają zapraszani na~~ ucztach, czym gorszą się obłudnie faryzeusze, zowiąc Go „obżercą i winopilcą” (Łuk. VII, 34). Toteż ~~Św. Jan Chrzciciel o Św. Janie Ch~~ w osobie Św. Jana Chrzciciela, Poprzednika nie tylko Chrystusa ale i późniejszych ascetów chrześcijańskich, podkreśla się jako osobliwość, że nie jadał chleba ani nie pijał wina. Taką samą osobliwością na tle powszechnego zwyczaju będzie

Św. Jakób Młodszy, cioteczny brat Pana Jezusa, o którym Św. Hieronim pisze, że nigdy wina nie pijał. Natomiast o powszechnym używaniu wina przez pierwszych chrześcijan wnioskujemy z I-go listu Św. Pawła do Tymoteusza (V, 23), w którym Apostoł troskliwie zaleca swemu uczniowi: „Wody jeszcze nie pij, ale używaj nieco wina ze względu na żołądek i częste choroby twoje".

Od tego normalnego ludzkiego trybu życia, uświęconego najwyższymi przykładami, jakże odbija obłudny purytanizm abstynentów, tak wyszydzony i wychłostany przez Dickensa w osobie Mr. Stigginsa! Krańcowi abstynenci, ~~wstrzymujący wszelkie napoje fermentowane~~ zabraniający wszelkich napojów fermentowanych, jako „alkoholu", więcej się przyczynili do rozwoju pijaństwa, niż ludzie umiarkowanie używający wszelkich darów Bożych, czego najlepszym przykładem jest prohibicja amerykańska.

Niech mi wolno będzie tę, nie powiem obronę, bo ~~tej~~ jej ono nie potrzebuje, ale pochwałę wina zakończyć własnym wierszem:

Chleb i Wino

Wiatr chyli kłosy, pije z nich rosy,
Twardnieją ziarna pszenicy;
Słońce dogrzewa, sokiem nalewa
Złote jagody winnicy.

Niebawem żarna pokruszą ziarna,
Zmielą na mąkę dla ludzi;
Gdy tłocznia ściśnie, krew z jagód tryśnie,
Wino się w soku obudzi.

Przez Ciebie, Boże, dojrzewa zboże,
Aby nie brakło nam chleba;
Za Twą przyczyną rodzi się wino,
Iście królewski dar Nieba! //

Ojcze nasz w Niebie, prosimy Ciebie,
Daj nam dziś chleba i wina,
Za wolą Twoją niech żyją, piją,
Nim śmierci przyjdzie godzina.

Wina i chleba dzisiaj nam trzeba,
Lecz i na wieki niech słyną,
Bo Krwi i Ciała nadziemska chwała
Chleb opromienia i Wino!

petit

Pod koniec pobytu w Genewie, nie widząc możności utrzymywania się dłużej na stanowisku bezpartyjnym, zapisałem się do „Koła" narodowego. Słusznie powiada Św. Jan w Apokalipsie (III, 15-16): „bodajbyś był zimny albo gorący. Ale iżeś letni, a ani zimny ani gorący, pocznę cię wyrzucać z ust moich". Na swoje usprawiedliwienie dodam, że dotychczasowe moje stanowisko nie było objawem „letniości", tylko raczej przypatrywaniem się i badaniem przed powzięciem decyzji. Zaznaczę wreszcie w tej apologii pro domo mea, że mimo przystąpienia do „Koła", na stanowisku prezesa „Bratniej Pomocy" zachowywałem ścisłą bezstronność, czym się nawet nieco naraziłem bardziej zapalonym członkom „Koła".

Lato spędziłem częściowo w Genewie, częściowo na wycieczkach po Szwajcarii i Sabaudii, a w jesieni 1911 r. pojechałem do Paryża.

Nie obiecywałem sobie wiele po Sorbonnie i Paryżu w ogóle dla wydoskonalenia się w psychologii eksperymentalnej. Natomiast bardzo mię pociągały wykłady Bergsona i Piotra Janeta w Collège de France. Bergson był wówczas u szczytu sławy i... mody. Toteż na jego wykładach było tłoczno i, chcąc z nich korzystać, trzeba było walczyć o miejsce z różnymi „précieuses ridicules", które traktowały to jak widowisko, niby występ słynnego śpiewaka czy tancerki. Toteż, aby zdobyć miejsce siedzące, należało je zająć na poprzedzającym Bergsona wykładzie. „Korzystał" z tego, jeśli tak wolno powiedzieć, ekonomista, profesor Leroy-Beaulieu, który nigdy przedtem takiej frekwencji się nie cieszył. Tłumy uchodziły, sadowiły się i gwarzyły nie, zwracając uwagi na wykład. Bogate panie zajmowały miejsca przez lokajów, którzy w ten sposób kształcili się w ekonomii społecznej, a same zjawiały się dopiero w ostatnim momencie przed samym przyjściem „mistrza". Mimo tej popularności, której Bergson zdawał się nie zauważać, a która musiała go razić, nie zmieniał się on bynajmniej do wsłuchanego i wpatrzonego weń tłumu i wykłady jego stały na bardzo wysokim poziomie. Twarz miał suchą szczupłą, jakby pastora, o szlachetnym semickim typie. Mówił pięknym stylem, zatrzymując się czasem i jakby zamyślając, co dawało słuchaczom wrażenie, że asystują przy rodzeniu się myśli. Te występy publiczne musiały zapewne męczyć wielkiego filozofa, bo w kilka lat później opuścił katedrę w Collège de France, którą zajął po nim prof. Edward Leroy, autor książek z pogranicza teologii i filozofii.

//

Wykłady Janet'a były również licznie uczęszczane, ale ~~przez samych~~ tylko przez ludzi, których pociągał sam temat. ~~[illegible]~~ Janet, autor klasycznych dzieł z psychologii ~~L'automatisme psychologique~~ i psychiatrii: „L'automatisme psychologique", „Les Névroses", „La médecine psychologique" itp. był, ~~[illegible]~~ rzec można, prekursorem i współczesnej psychologii behaviorystycznej, i współczesnej psychoterapii. Pierwszą spłycili i sprostaczyli Amerykanie i Rosjanie, drugą znów w rękach Niemców i Żydów przekształciła się w Talmud psychoanalityczny. Janetowi na te bezdroża nie pozwalała wejść jego kultura filozoficzna i ta ~~jasność~~ francuska jasność umysłu, clarté française, tak wybitnie cechująca uczonych francuskich. W przeciwstawieniu do Bergsona Janet wykładał szybko, bez namysłu, ale doskonałym językiem, jakby czytał wydrukowaną już książkę.

Oprócz tych wykładów w Collège de France, na które chodziłem systematycznie, bywałem jeszcze mniej regularnie na wykładach w Sorbonie psychologa Jerzego Dumasa, autora znanej książki o psychologii uczuć: „La tristesse et la joie" a później współautora i redaktora wielkich zbiorowych podręczników, czy raczej encyklopedii, psychologicznych, i ~~[illegible]~~ ~~wykłady psychiatrii z demonstracjami chorych w [illegible] w szpitalu Salpêtrière~~ dorywczo u prof. Déjérine'a w szpitalu Salpêtrière na jego wykładach psychiatrii ~~z demons~~ z pokazem chorych. Wreszcie ~~pracownię psychologiczną~~ ~~i miły stosunek z~~ ~~[illegible]~~ dostępną dla ~~mnie~~ siebie pracownię psychologiczną ~~profesorem~~ znalazłem dopiero w zakładzie dla obłąkanych w Villejuif pod Paryżem, niewygodą stanowił długi dojazd tramwajem, ~~[illegible]~~ plusem natomiast był miły stosunek z prof. Henrykiem Piéronem, wydawcą Année Psychologique. Mimo to w Genewie warunki do pracy były znacznie lepsze a kontakt z profesorem, przedewszystkim Claparèdem znacznie ściślejszy, toteż postanowiłem długo w Paryżu nie popasać, a wracając do kraju jeszcze o Genewę zawadzić. Pobyt ~~we Francji~~ w Paryżu spożytkowałem raczej ~~[illegible]~~ na doskonalenie się we francuszczyźnie i na poznawanie tego wspaniałego miasta i jego okolic. Oczywiście chadzałem po teatrach i kabaretach, szczególnie typu „cabaret artistique" takich, jak: La Lune Rousse, Les Noctambules, La Boîte à Fursy, gdzie bez dekoracji, przy akompaniamencie pianina, piosenkarze wykonywali różne satyryczne lub sentymentalne piosenki. Wykpiwano przy tym, czasem bardzo złośliwie, różne znakomitości ze świata politycznego, literackiego i aktorskiego, nie wyłączając i prezydenta Rzeczypospolitej. Doskonały był stary Dominik Bonnaud, albo Wincenty Hyspa, przypominający z wyglądu Ochorowicza, z siwą brodą, który z najpoważniejszą miną wypluwał ~~[illegible]~~ dowcipne czasem niezbyt przyzwoite piosenki, ~~którym~~ a jego południowy akcent dodawał im jeszcze swoistego wdzięku. Chodziłem również ~~[illegible]~~ i na odczyty; w Paryżu

poznałem się z chemikiem Janem Bieleckim, który parał się okultyzmem i szczególnie przejmował się Sédirem (pseudonim) i jego ~~komentarzami~~ komentowaniem ewangelii. Mnie znów bardziej interesował Papus (Dr. Gerard Encausse) teoretyk i popularyzator okultyzmu, starający się nadać mu postać naukową, przystępną dla laików. Niektóre jego książki były mi już dawniej znane, obecnie skorzystałem z pobytu w Paryżu, aby go poznać osobiście. Ów wielki mag: „Wielki Mistrz Zakonu Martynistów" sprawiał wrażenie dobrodusznego człowieka z odcieniem tego, co Francuzi nazywają: <u>fumiste</u>, polskie wyrazy: „blagier" czy „kawalarz", nie oddają w zupełności treści tego pojęcia. Pamiętam, że na swym odczycie, mówiąc o zdolności ludzi pierwotnych do oswajania zwierząt, umiejętności, którąśmy zatracili i poprzestajemy na tych kilku gatunkach zwierząt domowych, które przodkowie nam przekazali — dodał, że nie umiemy również, wzorem przodków, wytwarzać nowych gatunków czy ras ze pomocą krzyżowania. Tak więc, jego zdaniem, pies jamnik (taks) był niewątpliwie wynikiem skrzyżowania królika z krokodylem. Innego ~~typu~~ rodzaju okultystą był znów Józefin Péladan, który nosił długą czarną asyryjską brodę i również asyryjski tytuł „Sar'a". Dla tego okultyzm był raczej tematem literackim, którym okraszał swoje powieści.

Paryż tak mnie wszechstronnie pochłaniał, że nie miałem ani czasu ani ochoty na życie kolonijskie, któremu w Genewie dużo energii poświęcałem. Zapisałem się i tu do „Koła" narodowego, ale w działalności jego nie brałem udziału. Kolonia polska w Paryżu była zawsze bardzo liczna i wielowarstwowa. Najstarszą jej warstwę stanowiły rodziny emigranckie z Władysławem Mickiewiczem jako patriarchą, dalej byli tu literaci, malarze, rzeźbiarze, studenci, robotnicy itd.; gdyby kto chciał, to by mógł stale przebywać w towarzystwie rodaków. Byli tacy, co tak robili i po kilkoletnim pobycie w Paryżu nie nauczyli się nawet mówić po francusku, z wyjątkiem kilku najpotrzebniejszych słów i zwrotów. Mówią o takim Polaku, że w kłótni z pewnym Francuzem miał mu zagrozić: „Nu werą ki ki : tin że u że tin!", co miało brzmieć niby: „Nous verrons qui qui: tu je ou je tu!" a miało znaczyć: „Zobaczymy kto kogo: ty mnie, czy ja ciebie!" Nie chcąc się ~~upod~~ upodobnić do takich rodaków, wolałem mniej przebywać w ich towarzystwie a osłuchiwać się dobrej francuszczyzny w rozmowie z Francuzami.

Władysława Mickiewicza poznałem w Bibliotece Polskiej na Quai d'Orléans, gdzie urzędował, mając do pomocy p. Tadeusza Strzemboszę, który ~~w ubiorze~~ wzorował się w ubiorze na archaicznych emigranckich surdutkach patriarchy.

Mickiewicz był jakby nieoficjalnym konsulem Polski, która, wykreślona z mapy Europy, nie mogła mieć swego urzędowego przedstawicielstwa. Wyraz „nationalité" oznacza po francusku właściwie: obywatelstwo, przynależność państwową, toteż w legitymacjach wydawanych Polakom, ~~stale~~ wypełniano rubrykę „nationalité" wyrazami: Russe, Allemand czy Autrichien i trzeba było się w urzędzie ostro wykłócić, aby przy nazwie narodowości zaborczej uzyskać umieszczenie w nawiasie dopisku: „Polonais". Chcąc korzystać z Bibliothèque Nationale trzeba było mieć polecenie od swego przedstawicielstwa w Paryżu: Polakom takie polecenia wydawał Wł. Mickiewicz. Pamiętam, ~~że~~ że, gdym się u niego ~~zgłosił~~ po to zgłosił, zapytał mnie, z jakich Chojeckich pochodzę, a gdym mu powiedział, że jestem stryjecznym wnukiem Edmunda, dostrzegłem jakby wyraz ~~niechęci~~ niezadowolenia na jego twarzy. A może zresztą tak mi się wydało.... Wiem, że dawne niechęci z czasów „potępieńczych swarów" emigranckich długo przetrwały i że np. o Słowackim lepiej było nie wspominać na rue ~~Guénégaud~~ Guénégaud.

Co się mnie tyczy, to później, w latach 1925-1926, bywałem tam na poniedziałkach i mimo kompromitującego pokrewieństwa byłem życzliwie przyjmowany.

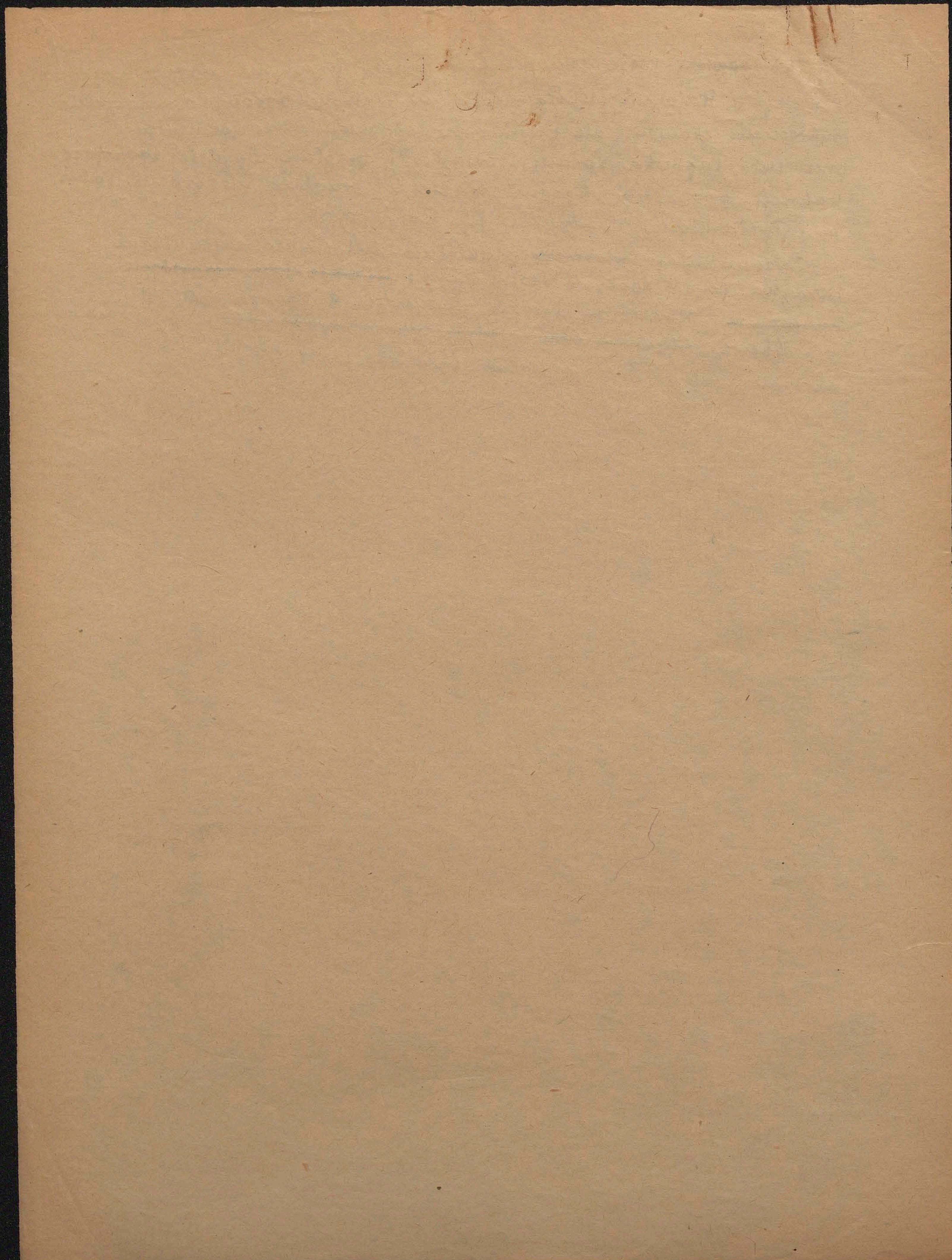
Z Paryża przez Genewę, gdzie jakiś czas zabawiłem, wróciłem do Krakowa i próbowałem, czy nie uda mi się tam osiedlić. Mógłbym dość łatwo habilitować się na docenta, ale utrzymać się z tego nie sposób, a na zdobycie jakiegoś chlebodajnego zajęcia widoków nie było. ~~Trzeba więc było~~ Postanowiłem więc ~~[illegible]~~ na jesień pojechać do Warszawy i tam postarać się o lekcje w szkołach prywatnych, a przedtem spędzić wakacje w Nosowieckiej przystani u ~~[illegible]~~ wuja Iwanowskiego.

~~Powrót~~ Przy powrocie do zaboru rosyjskiego miałem charakterystyczną przygodę, o której chcę tu wspomnieć. Wyjechałem był do Krakowa w 1905 r. za legalnym paszportem, kosztującym 25 rubli, co w owym czasie było kupą grosza. Toteż za każdą jazdą na wakacje nie wyrabiałem nowego paszportu, a jeździłem za cudzym, austriackim, od kogoś ze znajomych Krakowian łaskawie pożyczonym, ~~[illegible] ze paszportem~~ ~~aus~~ bo to zaledwie parę koron kosztowało, a znów za moim rosyjskim ktoś inny do zaboru rosyjskiego wrócił. Ale teraz, wracając już na dobre, z kufrem pełnym książek, z dyplomem doktora filozofii na pergaminie w oddzielnej ~~[illegible]~~ rurze metalowej, nie chciałem ryzykować jazdy ze cudzym paszportem. Zameldowałem więc żandarmowi na granicy w Wołoczyskach, że ~~jadę bez~~ paszport zgubiłem i chcę wrócić na ojczyzny łono bez paszportu, co zostało przyjęte do wiadomości, zaprotokołowane; ~~a~~ winowajca, t. zw. ja, zostałem ~~[illegible]~~ oddany w ręce policji miejscowej, a na razie, bo już noc zapadała, wsadzony dla bezpieczeństwa do kozy. Na szczęście chwilowo była pusta i bez uciążliwego towarzystwa mogłem noc na pryczy spędzić.

Nazajutrz odstawiono mnie do miejscowego „prystawa", ~~któremu~~ przed którym znów całkiem szczerze wyłożyłem ~~[illegible]~~ wszystkie okoliczności mego nielegalnego powrotu. Ów prystaw, niejaki p. Borucki, z pochodzenia Polak, zachował się nader przyzwoicie, za co mu na tym miejscu serdecznie dziękuję. Wytłumaczył mi, że w myśl obowiązujących go ~~mnie~~ przepisów musiałby mnie odesłać „etapem" do miejsca mego zamieszkania, a więc do Warszawy albo do wuja do Nosowic — taka podróż mogłaby potrwać ze dwa miesiące w najokropniejszych warunkach, ale, jeżeli mam kogoś w Wołoczyskach, kto by mógł za mnie poręczyć, to puści mię wolno. Sam mi ~~wskazać nie umiał osoby~~ doradził udać się do proboszcza albo do doktora. Dowiedziawszy się, że doktor nazywa się Hłasko, postanowiłem pójść do niego, ile że znam pewnego Hłaskę w Żytomierzu, który mógł być jego krewnym. Maszeruję więc w asyście policjanta do doktora i tłumaczę mu po francusku, o co chodzi. Okazało się, że mój Hłasko z Żytomierza był doktora bratem i doktor bez długich ceregieli zaręczył za mnie, jako jestem lojalnym obywatelem i dobrym jego znajomym. ~~Odprowadzony~~ z takim „świadectwem lekarskim" do prystawa, zostałem natychmiast wypuszczony na wolność i już w charakterze znajomego zaproszony na obiad. ~~Mogłem już jechać~~

Tylko ~~papiery~~ moje dokumenty zostały przesłane drogą urzędową do policji w Hajsynie, która miała mi wytoczyć sprawę o nielegalne przekroczenie granicy, ale tutaj znów odpowiednio zaaplikowana przez wuja łapówka sprawę umorzyła i mogłem spędzić ~~spokojnie~~ wakacje spokojnie, bo już więzienie przestało mi grozić. Takie to były idylliczne stosunki w tej Rosji carskiej!

Opisane tutaj ~~intermezzo~~ dwuletnie „intermezzo zagraniczne" zamyka pewną epokę w moim życiu: ~~kładzie kres igraszkom studenckim~~ kończą się igraszki studenckie a zaczyna praca zarobkowa. ~~Okresowi temu poświęcam nowy rozdział~~ Temu nowemu okresowi życia słusznie należy poświęcić nowy rozdział.



Rozdział IV

Przedwojnie i Wojna.

Po ostatnich wakacjach studenckich przydługiego już studentowania pojechałem w końcu lata 1912 do Warszawy „cudze dzieci uczyć", bez wielkiego ~~[illegible]~~ zapału do tego zajęcia. ~~[illegible]~~ Podczas przeszło siedmioletniej mojej nieobecności Warszawa zmieniła się nie do poznania. ~~Rozrosła się,~~ Rozszerzyła się, rozrosła, zabudowała, ale największą zmianę w jej wyglądzie wywołała elektryczność. Zamiast smętnego gazu jarzyły się żarówki elektryczne i gorzały wielkie lampy łukowe, a zamiast powolnych wagoników konnych po liniach tramwajowych mknęły nowe „prosto z igły" wagony elektryczne. W domach, niekiedy aż sześciopiętrowych, działały windy, a telefony, niegdyś tak rzadkie i marne, znalazłbyś teraz niemal w każdym przyzwoitszym mieszkaniu.

Wynająłem sobie, jak dziś pamiętam, „pokój przy familii" na V piętrze wielkiego nowoczesnego domu przy ul. Wspólnej Nr 3a, a okno moje wychodziło na targ, ograniczony ~~ul. Hoż~~ z drugiej strony ul. Hożą a z trzeciej placem Trzech Krzyży. ~~Do~~ Do wyżyn mojego piątego piętra zaledwie ~~dochodził~~ ~~tylko~~ przytłumiony gwar przekupek, ~~[illegible]~~ zapachów nie czułem, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ radowały się za to oczy widokiem ~~[illegible]~~ szkarłatnych pomidorów, zielonych ogórków i ciemno-purpurowej kapusty, sprzedawanych na tej warszawskiej Piazza delle Erbe. Po roku przeprowadziłem się na sublokatora do Kazimierza Słotyłwy, podówczas żonatego z moją cioteczną siostrą Druszyńską, i zamieszkałem z nimi na ul. Dworskiej 11 m. 34. Po wyprowadzeniu się Słotyłwy z tego mieszkania objąłem je jako główny lokator i dotychczas w nim siedzę, a więc przeszło 30 lat ~~[illegible]~~ na jednym miejscu, czym mało który ~~[illegible]~~ warszawiak może się ~~pochwalić~~ poszczycić.

Zamierzałem dawać lekcje w szkołach prywatnych, a nie wziąłem tego pod uwagę, że ~~[illegible]~~ jarmark nauczycielski odbywa się na wiosnę. Toteż po otwarciu roku szkolnego byłem przez pewien czas bez roboty i dopiero później dostałem lekcje polskiego w szkole Rontalera w zastępstwie chorego Mirosława Kryńskiego. Profesora Adama Antoniego Kryńskiego znałem już od dość dawna, syn jego Mirosław zdolny, inteligentny i sympatyczny młodzieniec doskonale się zapowiadał i szedł śladami ojca, niestety zbyt młodo umarł, aby dać pełną miarę swego talentu. ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ Po tym debiucie sprawy poszły dość gładko i na brak lekcji narzekać nie mogłem. Oprócz polskiego dawałem jeszcze łaciny i ~~t. zw.~~ tak zwanej propedeutyki filozoficznej, to znaczy początków psychologii i logiki, w szkołach: Kreczmara, imienia Mikołaja Reya, Szumowskiej-Gacreńskiej, Konopczyńskiego i Hewelkówny. Z kolegów nauczycieli, których bardzo wielu w tym czasie poznałem, ~~[illegible]~~ z kilku zaledwie ~~[illegible]~~ zawarłem bliższą znajomość; wspomnę tu

MICHAŁ KULCZYCKI
ADWOKAT

UWAGA:
WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/..........

WARSZAWA, DN. .... 19......... R.

sympatycznego klasyka, Michała Kreczmara; matematyka, Zygmunta
Szczawińskiego, ~~[illegible]~~ dawnego mego kolegę z politechniki, doskonałego
organizatora wycieczek szkolnych, które z humorem prowadził; historyka
Adama Szpadkowskiego, starszego już wiekiem ale młodego duchem, oraz ~~i wytwornego~~
~~dżentelmena~~ łacinnika, Karola Dąbrowskiego, z którym ~~[illegible]~~
chodziliśmy w Krakowie na wykład ~~[illegible]~~ Rozwadowskiego. Wzorując się na tym
profesorze, Dąbrowski stylizował się na wytwornego dżentelmena i był nim w
rzeczywistości. Estetą, miłośnik muzyki, inteligentny, zrównoważony, uczynny przy
tym kolega, Dąbrowski miał dużo zalet i jego towarzystwo ~~[illegible]~~ sprawiało mi zawsze
przyjemność. ~~[illegible]~~ Na ogół obcowanie z tak zwanym „ciałem pedagogicznym"
było dla mnie mało pociągające. Większość nauczycieli byli to ludzie ~~[illegible]~~,
~~[illegible]~~, zalatani z jednej szkoły do drugiej, zamęczeni pracą, obarczeni rodzi-
nami, które trzeba było jakoś żywić i ubierać. ~~[illegible]~~. Trudno było wymagać od nich, aby
~~[illegible]~~ mieli jakieś inne zainteresowania ~~[illegible]~~ oprócz zawodowych,
dobrze jeszcze, jeśli umieli utrzymywać się na wymaganym od nauczyciela
poziomie. Niektórzy byli nieznośnie zarozumiali ~~[illegible]~~ i apodyktyczni: co się tym tłumaczy,
~~się to~~, że, przebywając tyle godzin dziennie w klasach szkolnych, gdzie ~~wśród~~
nauczyciel jest jedyny „mądry" i z góry traktuje czterdziestu „osłów", ~~[illegible]~~
~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~ten swój stosunek do otoczenia na wszystkich~~
~~[illegible]~~ ten swój stosunek do otoczenia przenoszą następnie na wszystkich
bliźnich w ogóle. Żeby być naprawdę dobrym nauczycielem, trzeba mieć do
tego powołanie jak do stanu duchownego; jest to oczywiście dość rzadkie
i większość nauczycieli to albo automaty albo dyletanci. Do tej drugiej
kategorii należałem i ja. Temu amatorstwu pedagogicznemu sprzyjała
wiosna szkolnictwa polskiego, w której ani programy ani podręczniki nie
były jeszcze ustalone i gdzie nauczyciel mógł pofolgować swemu duchowi
inicjatywy.

Ze stanowiska ucznia nauczyciele dzielą się znów inaczej: ~~na takich~~ albo się ich boją,
~~których się boją~~, albo nie boją. Mnie się oczywiście nie bali, co mi się dotkliwie
dawało we znaki szczególnie w niższych klasach. ~~Najzupełniej~~ Doskonale
rozumiem, że ~~trudno~~ w trzynastoletniego im „rezusie" trudno wzbudzić zapał ~~[illegible]~~ do gramatyki łaciń-
skiej, że nadmiar jego energii, skrępowanej przymusowym siedzeniem na ławce,
musi znaleźć ujście w prawdziwie małpich figlach, ale mimo to trzeba
przecież nauczyć go choć minimum tej łaciny: stąd konflikt między sprzecznymi
interesami ~~[illegible]~~. ucznia a nauczyciela, który musi co najmniej
dwie trzecie swej uwagi poświęcać pilnowaniu porządku w klasie a zaledwie
jedną trzecią — ~~[illegible]~~ nauczanemu przedmiotowi. W starszych klasach
było ~~znacznie przyjemniej~~ ~~inaczej: dorastające chłopaki~~ znacznie przyjemniej,
szczególnie na lekcjach ~~[illegible]~~ psychologii i logiki. W szkołach żeńskich
również nie miałem kłopotu z utrzymywaniem porządku i lekcje literatury były
tam zupełnie miłe. ~~Dość dużo~~

Dość dużo tej młodzieży przeszło przez moje ręce, dziś jeszcze kłaniają mi się
czasem na ulicy moi dawni uczniowie, ale zaledwie kilku zostawiło głębsze
ślady w mej pamięci, albo ~~[illegible]~~

MICHAŁ KULCZYCKI
ADWOKAT

WARSZAWA, DN. .... 19.......... R.

UWAGA:
WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/...........

wybiło się ponad zwykły poziom; do tych zaliczam: p. Jana Żabińskiego, późniejszego dyrektora Warszawskiego Ogrodu Zoologicznego, p. Marię Wiśniewską, zamężną Żelichowską, której dla jej wybitnych zdolności Uniwersytet Warszawski, mimo braku matury, udzielił doktoratu filozofii za pracę z dziedziny geologii i p. Lecha Serafinowicza, który później zasłynął jako poeta Lechoń.

Najbardziej przyjazne stosunki utrzymywałem ze szkołą p. Szumowskiej-Gacewskiej, zarówno z personelem nauczycielskim jak i z uczennicami. Od czasu do czasu za przewodem Kolegi Sieciawińskiego chadzaliśmy na wycieczki krajoznawcze, pełne wesołości i śpiewu. Największą i najciekawszą z nich zrobiliśmy z końcem roku szkolnego 1913/14 w Góry Świętokrzyskie: koleją do Kielc, któreśmy zwiedzili wraz z najbliższą okolicą, następnie wozami do podnóża gór; pieszo szczytem pasma górskiego od Św. ~~Krzyża~~ Katarzyny do Św. ~~Katarzyny~~ Krzyża, dalej przez Nową Słupię, Opatów, do Sandomierza, skąd, po przenocowaniu, statkiem do Puław i ~~z powrotem~~ z powrotem koleją do Warszawy. Po nużącej monotonii równiny mazowieckiej falistość Małopolski była prawdziwym odpoczynkiem dla moich oczu i duszy, a ~~już~~ Góry Świętokrzyskie z ich „Puszczą Jodłową", którą tak pięknie opisał później Żeromski, ~~nawet po Tatrach i Alpach~~ zrobiły na mnie czarujące wrażenie. A znów okolice Opatowa i Sandomierza z ich bezleśną, żyzną, loessową równiną, porytą wąwozami, i wyglądem, i bogactwem gleby, przypominały mi tak dobrze znane Podole. Wszędzie zaś po drodze, czy to w Kielcach, czy w Sandomierzu, czy w Puławach spotykaliśmy imponujące zabytki, które, mówiąc nam o wspaniałej przeszłości Polski, jednocześnie szeptały: Fortuna variabilis, Deus mirabilis, albo znów słowami Kochanowskiego:

<u>Nie porzucaj nadzieje,</u>
<u>Jakoć się kolwiek dzieje,</u>
<u>Bo nie już słońce ostatnie[x] zachodzi,</u>
<u>A po złej chwili piękny dzień przychodzi.</u>

Dodajmy do tego moje 34 lata, gromadkę dorastających panienek, z których kilka było bardzo miłych, pogodne lato, zapachy jodeł i traw: wszystko to złożyło się na przecudną symfonię wrażeń, którą dziś po 30 latach z rozrzewnieniem sobie przypominam. ⊕ (na osobnej kartce) X

Wyznaję otwarcie, że w pracę pedagogiczną nie wkładałem całej duszy — ba, nawet jej ćwierci. Jak zawsze interesowała mię literatura, sztuki piękne, próbowałem sam pisać wiersze, niektóre z tego okresu weszły później do pierwszego tomiku, wydanego aż w 1938 r. Obok tego starałem się nie tracić kontaktu z nauką i zapisałem się na członka Towarzystwa Psychologicznego. ⊗ ~~Miało ono swój lokal~~ w jednopiętrowej oficynce domu Nr 44 przy ul. Pięknej (obecnie Piusa XI), gdzie zarazem była redakcja „Przeglądu Filozoficznego" i mieszkanie jego redaktora Władysława Weryhy, z którym zbliżyłem się i którego bardzo polubiłem. Ceniłem jego wytrawny sąd o ludziach, jego spokojny dowcip i dobroć niezwykłą lecz niezgniłą. Weryho, oprócz pracy doktorskiej: „Karl Marx als Philosoph" (Karol Marx jako filozof), i przyczynków do etnografii białoruskiej, drukowanych w „Wiśle" nic, zdaje się, więcej nie ogłosił, nie miał on ambicji literackich i naukowych, ale był doskonałym organizatorem i umiał skupiać wokoło siebie ludzi pracujących nad filozofią i psychologią. Dzięki Weryże i Tow. Psychologicznemu poznałem wielu uczonych i naukowców warszawskich, o których tu pokrótce wspomnę.

x) ostatni raz

⊗ ~~[illegible]~~ Powstało ono w 1906 r. ~~[illegible]~~ I Zjazd Polskich Neurologów, Psychiatrów i Psychologów, który się odbył w Warszawie w 1909 r., postanowił założyć przy nim Pracownię Psychologiczną, co doszło do skutku w 1910 r. dzięki pomocy finansowej p. Józefy Tuchanowskiej i p. Wiktora Skrowaczewskiego. W 1913 r. Pracownia przekształciła się w samodzielny Instytut Psychologiczny, nie zrywając wszelkiej łączności duchowej i przestrzennej z Tow. Psychologicznym. Mieściły się te instytucje

MICHAŁ KULCZYCKI

ADWOKAT

UWAGA:

WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65. TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/..........

WARSZAWA, DN. .... 19........ R.

Wzór E. M. 127 (F2) 5000. 4.39.

Na pierwszym miejscu, „z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy", wymienić wypada Juliana Ochorowicza, Nestora psychologów polskich. Od pierwszej swej książki ~~pt.~~ p.t. „Jak należy badać duszę, czyli o metodzie badań psychologicznych" z r. 1869, aż do „Pierwszych Zasad Psychologii", wydanych w r. 1916, Ochorowicz nie przestawał uprawiać psychologii, interesując się szczególnie mniej zbadanymi jej objawami. Telepatii poświęcił dzieło francuskie p.t. „De la suggestion mentale" (1887 r.), w „Dictionnaire de Physiologie", wydawanym przez Karola Richeta, umieścił dłuższy artykuł o hipnotyzmie, pociągała go zagadka zjawisk mediumicznych, które badał eksperymentalnie przy pomocy takich mediów jak Eusapia Palladino i Stanisława Tomczykówna i którym poświęcił pracę ogłoszoną w „Bibliotece Dzieł Wyborowych". Lekarze zarzucali mu, że, nie mając po temu uprawnień (Ochorowicz był przyrodnikiem i miał dyplom doktora, ale nie medycyny tylko filozofii), leczy chorych sugestią, hipnotyzmem, „magnetyzmem" i metaloterapią, raziło ich jego pionierstwo i lekceważenie wszelkiej rutyny. Miano mu również za złe zajmowanie się mediumizmem, słowem szkalowano go i utrudniano mu życie na rozmaite sposoby. To sprawiało, że Ochorowicz pod koniec życia był dość zgryźliwy i odnosił się do ludzi nieufnie. Uznając jego wielkie zasługi naukowe, niedoceniane lub pomniejszane przez zawistnych, starałem się przy każdej nadającej się po temu sposobności występować w jego obronie. Był on jakiś czas docentem psychologii i filozofii przyrody na Uniwersytecie Lwowskim; uważałem, że na wskrzeszonym w r. 1915 Uniwersytecie Warszawskim słusznie mu się należy katedra psychologii. Jednakowoż otrzymał ją najpierw Abramowski, a po śmierci tegoż — prof. Władysław Witwicki... Dzieła Ochorowicza odznaczały się czystą polszczyzną oraz jasnym i jędrnym wyrażaniem myśli, czym górował nad wielu młodszymi uczonymi. Pochodził z tej samej generacji, co Sienkiewicz, Prus, Świętochowski i Dygasiński, której „pozytywizm" nie wypaczył uczuć, a nauczył myśleć logicznie i pisać zrozumiale. Nie dorównywając talentem pisarskim swym wielkim rówieśnikom, Ochorowicz i w literaturze pięknej zostawił po sobie pamięć jako Julian Mohort. Głośne były w swoim czasie jego „Listy do przyszłej narzeczonej" (pierwsze wydanie 1876 r.) i słynny programowy wiersz „Naprzód": taka pozytywistyczna „Oda do Młodości".

Dr Rafał Radziwiłłowicz, ożeniony z siostrą Weryhy, Marią, cenioną autorką książek dla dzieci, był znanym psychiatrą, ale zajmował się również i psychologią normalną, której poświęcił książeczkę p.t. „Podstawy psychologii w zarysie". Towarzyski, uprzejmy, po staroświecku szarmancki dla dam, Radziwiłłowicz był przy tym Wielkim Mistrzem Wielkiej Loży Polskiej „Polacy Zjednoczeni". Od niego to Żeromski, jego szwagier, zaczerpnął wiadomości o wolnomularstwie polskim, które wyzyskał w „Popiołach".

Marian Massonius zewnętrznym wyglądem przypominał niemieckich profesorów starej daty, nosił ~~dużą~~ potężną brodę i pochłaniał duże ilości piwa. Odznaczał się wielką erudycją i logicznym wyćwiczeniem myśli, które wyrażał jasną i dobrą polszczyzną.

MICHAŁ KULCZYCKI

ADWOKAT

WARSZAWA, DN. .... 19.......... R.

UWAGA:

WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/...........

Z młodych filozofów już wtedy dzielnie się zapowiadali późniejsi profesorowie Uniwersytetu Warszawskiego: Tadeusz Kotarbiński i Władysław Tatarkiewicz.

Pierwszy — syn malarza, Miłosza, a bratanek literata i aktora, Józefa, — z wyjątkowo utalentowanej rodziny pochodzący, sam wybitnie zdolny, poświęcał się badaniom z zakresu teorii poznania i logiki, co go wreszcie doprowadziło do logiki symbolicznej czyli t.zw. logistyki. (Do ważniejszych jego prac należą: „Szkice praktyczne" i „Elementy logiki i teorii poznania") Oprócz tego pociągały go zagadnienia moralne. Pozytywizmu nie uważał wyłącznie za metodę badania naukowego, ale uczynił go swoim poglądem na świat, stąd też pochodziła jego antymetafizyczna a, co za tym idzie, i antyreligijna postawa wobec życia. Nie sądzę, aby to wynikało z jakiejś wrodzonej „ślepoty" duchowej, sądzę, iż winno ~~[illegible]~~ tu raczej wychowanie i otoczenie. Dobry, szlachetny, uczynny, Kotarbiński należy niewątpliwie do „duszy" Kościoła a ze wszech miar ~~[illegible]~~ zasługuje na uczestnictwo w jego „ciele". ~~[illegible]~~ Całym sercem mu tego życzę i mimo różnicy przekonań, która nas dzieli, mam dla niego wiele szacunku i ~~sympatii~~ przyjaźni. Z wyglądu: szczupłej budowy, wyrazistych i regularnych rysów twarzy, i pięknego sarmackiego wąsa, Kotarbiński był podobny do Weyssenhoffa a obaj znów przypominali Nietzschego (który się przecież z Nickich wywodził.) Tak to rasa i inteligencja odbiły wspólne piętno na tych trzech filozofach!

Tatarkiewicza pociągały upodobania do ~~[illegible]~~ estetyki, historii filozofii i historii sztuki. Owocem tych zainteresowań były ~~[illegible]~~ prace: „O bezwzględności dobra", „Pojęcie szczęścia", „Dwie studia o Łazienkach", „Rządy artystyczne Stanisława Augusta"

i wreszcie, wydana w roku 1931 ~~[illegible]~~ cenna dwutomowa „Historia filozofii", jędrna, treściwa, jasnym i barwnym ~~[illegible]~~ stylem pisana, i ozdobiona ~~[illegible] [illegible] portretów~~ portretami filozofów, doskonale dobranymi przez autora. O tym dziele napisałem recenzję w „Kurierze Warszawskim". Przystojny brunet, elegancki, wytworny prof. Tatarkiewicz był ideałem wszystkich studentek, a ~~[illegible]~~ u studentów cieszył się sympatią i uznaniem. ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ Moja znajomość z nim, zawarta ~~[illegible]~~ przed pierwszą Wielką Wojną, przetrwała już próbę czasu i przekształciła się w przyjaźń, która po dziś dzień ~~przetrwała~~ nas łączy. Obecnie, w ~~[illegible] [illegible]~~ piekielnym kotle drugiej Wielkiej Wojny, przy której pierwsza wydaje się idyllą, pan Władysław pracuje nad ~~nowym~~ dziełem „O szczęściu". Bodaj to filozof, co może żyć w świecie idealnym, nie dbając o otaczającą go rzeczywistość!

~~Oprócz~~ ~~[illegible]~~ uczonych miejscowych Tow. Psychologiczne ściągało i gości zza kordonu np. prof. Jana Łukasiewicza i Władysława Witwickiego ze Lwowa oraz wychowawcę wybitnych filozofów polskich prof. Kazimierza Twardowskiego, autora ~~[illegible] [illegible]~~ m.i. doskonałych rozpraw: „O wyobrażeniach i pojęciach" i „O czynnościach i wytworach". Łukasiewicz pracował nad logiką, Witwicki zaś obok psychologii zajmował się tłumaczeniem Platona na język polski, a mając przy tym zdolności malarskie ilustrował swoje przekłady własnymi rysunkami.

MICHAŁ KULCZYCKI

ADWOKAT

UWAGA:

WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/..........

WARSZAWA, DN. .... 19.......... R.

Ci filozofowie oraz inni, z zaboru austriackiego przyjeżdżający, razili mię zawsze pewnymi stale powracającymi w ich mowie germanizmami. Wyraźnie podkreślam, że chodzi mi o wyraźne germanizmy, a nie o dzielnicowe właściwości językowe, o różne prowincjonalizmy, które tak przyjemnie zabarwiają styl pisany czy mówiony, i które bardzo cenię i lubię tak samo, jak i różne akcenty prowincjonalne. Ale ci nasi zakordonowi rodacy przeważnie „ubierali" kapelusze i palta zamiast wkładać, stwierdzali, że coś jest „na" tym, zamiast „w" tym, wymawiali: „senzacja", „ofenzywa", „konzul", nie tylko używali, ale i nadużywali wyrazu „względnie" w znaczeniu spójnika, a, co już najgorsze, stale stosowali w zdaniu niemiecki szyk wyrazów. W naszej mowie kładziemy na początku słowo, które chcemy podkreślić, położyć na nim nacisk — stąd porządek wyrazów w zdaniu zależy od jego treści myślowej czy emocjonalnej. Inaczej u Niemców: tam istnieją sztywne przepisy regulujące tę kolejność. Zdanie zaczyna się od podmiotu, po nim idzie orzeczenie wreszcie dopełnienie, jeśli jednak na początku zdania stanie inny jaki wyraz niż podmiot, to po nim musi pójść orzeczenie a podmiot dopiero później. Przykład, wzięty z niby-polskiego dziennika, wychodzącego w Warszawie w r. 1943, najlepiej to wyjaśni. Czytamy tam np.: „Prowadząc walkę ruchomą, udaremniły oddziały nasze zamiary nieprzyjaciela". W normalnej polszczyźnie brzmiałoby to: „Prowadząc walkę ruchomą nasze oddziały udaremniły zamiary nieprzyjaciela". Otóż takie przestawianie podmiotu i orzeczenia było stale praktykowane przez rodaków z zaboru austriackiego i pruskiego, co świadczyło o szkodliwości wpływu języka niemieckiego na polski.

Z dalszych stron, mianowicie z Fryburga, należy wspomnieć prof. Józefa Wierusz Kowalskiego, który tam na Uniwersytecie Katolickim wykładał fizykę. Wygłosił on ciekawy odczyt „O ~~metodzie~~ statystycznej w fizyce", gdzie w popularny sposób przedstawił nowe teorie fizyczne.

Uderzająca była ~~liczba~~ wielka liczba Żydów wśród psychologów, psychiatrów i filozofów. Wielu z nich przewinęło się przez Tow. Psychologiczne i chcę im tu kilka słów poświęcić. Zdolnym psychologiem, obdarzonym dużym zasobem wiedzy był Jakub Segał; Adam Cygielstrejch, uczeń Abramowskiego, rozwijał jego poglądy i eksperymentował nad jego pomysłami, przysięgając in verba magistri. Z dwóch braci Bornsteinów jeden uprawiał psychiatrię i propagował teorię Freuda, drugi pracował nad filozofią. ~~Sympatycznym~~ Inteligentny i sympatyczny dr. Sterling obok psychiatrii zajmował się i psychologią normalną i pedagogiczną. Ignacy Halpern, który zmienił później nazwisko na: Myślicki (złośliwi pytali: czemu raczej nie: Czytalski?) poświęcał się studiom nad swym wielkim rodakiem, Spinozą, którego dzieła na polski przetłumaczył.

MICHAŁ KULCZYCKI

ADWOKAT

WARSZAWA, DN. .... 19.......... R.

UWAGA:
WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/...........

~~Oprócz ponadto odczytów~~

Istniejący w Warszawie t. zw. „uniwersytet latający" czy też „podziemny" w latach „wolnościowych" t. zn. po r. 1905 przekształcił się w legalnie funkcjonujące Towarzystwo Kursów Naukowych. Hr. Józef Potocki, właściciel Antonin na Wołyniu i wspaniałego pałacu w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu, podarował ~~dom~~ T-wu duży dom przy ul. Kaliksta 8 (dzisiaj: Śniadeckich) i tam odbywały się wykłady, stojące przeważnie na poziomie uniwersyteckim. Na wydziale humanistycznym psychologię wykładał prof. Jakub Segał, zwróciłem się zatem do wydziału przyrodniczego z podaniem o zaliczenie mnie do grona wykładających. Zostałem poparty przez prof. Mariana Massoniusa i Władysława Mieczysława Kozłowskiego. Ten ostatni, botanik i filozof, mieszkał wówczas w Konstancinie; musiałem mu tam złożyć wizytę i odbyć coś w rodzaju egzaminu habilitacyjnego, po czym zostałem mianowany docentem i mogłem ogłosić wykłady psychologii. Było to dla mnie doskonała szkoła, gdyż, przygotowując się do wykładów, musiałem odświeżać i pogłębiać swoje wiadomości. Jednocześnie nie zaniedbywałem i pracy eksperymentalnej w ~~Pracowni~~ Instytucie Psychologicznym, którego kierownictwo spoczywało w ręku prof. Edwarda Abramowskiego, po jego powrocie z zagranicy. Do badań, jako „doświadczeńcy" (wg (wybornie ukutego terminu) przez prof. Halperna) służyli mi ~~moi~~ studenci i znajomi, tak że na braku ochotników narzekać nie mogłem. ~~Owocem tej pracy była~~ W rezultacie wykonałem pracę p. t. „O wpływie woli na wahania uwagi" ogłoszoną później w „Pracach z Psychologii Doświadczalnej", wydawanych przez Abramowskiego z zapomogi Kasy Mianowskiego.

Profesor Abramowski miał wielki talent zdobywania środków zarówno na Instytut Psychologiczny i na wykonywanie w nim prac, jak i na własne potrzeby, uważając, że słusznie mu się to należy, gdyż bez niego Instytut byłby tylko ciałem bez duszy. Głównymi fundatorami Instytutu byli wspomniani już wyżej: p. Józefa Tukanowska z michniewiczowskich Tukanowicz i p. Wiktor Skibniewski z Hołoszubińce. Tego zamożnego obywatela z Podola (upodobania popychały) w kierunku psychologii i przez pewien czas wtajemniczałem go w arcana tej wiedzy. Za zasługi w popieraniu nauki Instytut wręczył im tytułem członków honorowych i dowczyńców (?) dwoje dyplomy, wykaligrafowane na pergaminie pięknie przez Półtawskiego. Byli jeszcze i inni, którzy wspierali dorywczo bądź Instytut, bądź samego Abramowskiego, ale stałym źródłem zapomóg, była Kasa Mianowskiego. Wyręczając Abramowskiego, którego zdrowie często szwankowało, załatwiałem czasem z Kasą te sprawy finansowe i poznałem się przy tej okazji z p. Stanisławem Michalskim, o którym już w tych pamiętnikach wspominałem.

MICHAŁ KULCZYCKI
ADWOKAT

WARSZAWA, DN. .... 19.......... R.

UWAGA:

WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/...........

Pan Stanisław Michalski był jednym z tych skromnych pracowników, którzy w Polsce ~~zastępowali~~ porozbiorowej zastępowali nie istniejące urzędy państwowe. Pracował zawodowo jako inżynier na Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, ale teka, w której nosił wykresy czy obliczenia kolejowe (Poczciwa ta Kolej Wiedeńska!), była zarazem teką Polskiego Ministra Oświaty! (Kluż to w owym czasie społecznikom, literatom i artystom ~~[...]~~ dawała (ona) żyć i pracować, ~~poczciwa Kolej Wiedeńska~~!, że tu wspomnę tylko ~~[...]~~ Juliana Adolfa Święcickiego, który swoje liczne tomy ~~[...]~~ historii literatury powszechnej przy biurku kolejowym płodził i ~~[...]~~ Reymonta! Ale ~~wracaj~~ wróćmy do Michalskiego. Wobec braku szkół polskich w samouctwie widział on niezbędne uzupełnienie wykształcenia i już w 1898 r. wspólnie z Aleksandrem Heflichem podjął wydawanie „Poradnika dla Samouków", do którego artykułów i recenzji dostarczyli najwybitniejsi ówcześni uczeni polscy. Za Poradnikiem poszedł „Świat i Człowiek", ogłaszany coprawda jednostronnie, bo ze stanowiska teorii ewolucyjnej, dalej „Dzieje Myśli", poświęcone rozwojowi nauki o świecie, nowe wydanie, zupełnie przekształcone, „Poradnika dla Samouków", wreszcie w 1918 r. ~~[...]~~ „Nauka Polska" ~~poświęcona~~, wydawnictwo poświęcone naukoznawstwu i kontynuowane aż do wybuchu II-ej Wielkiej Wojny Światowej. ~~Sam~~ Stanisław Michalski był, (podobnie do Weryhy) przede wszystkiem organizatorem, chętnie usuwał się w cieniu, ~~[...] „starej eminencji" [...]~~ nie dbał o rozgłos, mogąc być „purpuratem", wolał ~~[...]~~ odgrywać (bardziej wpływową) rolę „szarej eminencji" — ~~[...]~~ uważał on nałóg konspiracji, wyniesiony z ~~przeszłości~~ podziemi socjalistycznych, który przetrwał w nim w osłabionej postaci aż ~~[...]~~ po dzień dzisiejszy. Sam napisał niewiele i to jedynie w związku z ukochaną przez siebie nauką, ~~[...]~~ oprócz wydanych tytuły jego prac np.: „Biblioteka Bodleyańska w Oksfordzie z dokładnym podaniem tytułów rękopisów polskich", „Dziesięciolecie Biblioteki Kolejowej", „Popularyzacja wiedzy i samouctwo" (w I. wyd. Poradnika dla Samouków). ~~W Kasie~~ ~~[...] im. Mianowskiego był „spiritus movens"~~ Jeśli Michalski był nieoficjalnym ministrem oświaty w Polsce, to Kasa im. Mianowskiego, ~~[...]~~ której był także i w tym dawnego „spiritus movens", stawała się ministerium, ~~[...]~~ że w niepodległej już Polsce w r. 1931 obchodziliśmy tak uroczyście jej ~~[...]~~ 50-lecie!

Mimo swej przeszłości rewolucyjnej p. Stanisław był ~~gorącym~~ szczerym patriotą polskim i choć niekiedy sympatie ciągnęły go na lewo, to przecież ~~z narodowcami~~ narodowcy mogli z nim zawsze dojść do ~~porozumienia~~ ładu na gruncie dobra ~~wspólnej~~ Ojczyzny. ~~W~~ Niepodległa Polska oceniając jego zasługi na polu oświaty ~~[...]~~, uczyniła go dyrektorem Funduszu Kultury Narodowej, ~~mającego~~ mającego za swe zadanie zaspokajać ~~[...]~~ potrzeby oświaty i nauki, nie wchodzące w zakres normalnego działania Ministerium Wyznań i Oświaty. Na tym stanowisku p. Michalski zdobył sobie uznanie społeczeństwa z wyjątkiem Żydów, których, zdaniem ich, pomijał przy rozdawnictwie stypendiów i zapomóg.

MICHAŁ KULCZYCKI
ADWOKAT

UWAGA:
WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

WARSZAWA, DN. .... 19.......... R.

F2/...........

Co do mnie, to mimo piętna „endeka" zdołałem, jak mi się zdaje, pozyskać sympatię Pana Stanisława, może się do tego przyczyniły i wspólne wspomnienia wołyńskie; sam nawzajem bardzo polubiłem tego zacnego człowieka, a dalsze lata tę przyjaźń pogłębiły. Zalety umysłowe Pana Stanisława łączyły się z pogodnym usposobieniem i pięknym typowo polskim wyglądem: wbrew modzie zacierającej wszelkie odrębności, nosił on zawiesiste wąsy, dziś już siwe, które wraz z siwą czupryną zdobiły mu twarz o rumianej świeżej cerze.

Kiedy w lecie 1914 r. gruchnęła wiadomość o zabójstwie arc. Ferdynanda w Serajewie, mało chyba kto przewidywał, że będzie to zapowiedź długotrwałej wojny europejskiej. W sierpniu czy też wrześniu miał się odbyć w Bernie międzynarodowy Kongres Psychologiczny i ja miałem się nań wybrać jako delegat Instytutu Psychologicznego. Tymczasem pojechałem do Nosowic na wakacje. Nie były one tym wypoczynkiem dla ducha i ciała jak dotychczas, bo chmury gromadziły się nad Europą a wymiana not między Austrią a Serbią wzmogła tylko napięcie ciekawości. Wreszcie po „wzruszającej" orędziu starego Franciszka Józefa „do moich ludów" strzelił grom: Austria wypowiedziała wojnę Serbii, po czym wypadki potoczyły się z konsekwencją lawiny: Rosja wystąpiła w obronie Serbii, Niemcy poparły Austrię, Francja Rosję, Niemcy zgwałciły neutralność Belgii, chcąc w ten sposób uderzyć Francję od najmniej bronionej strony i wreszcie, jako gwarantka neutralności Belgii, wystąpiła Wielka Brytania wbrew oczekiwaniu Niemiec. Na Podolu sądzono, że wojna rosyjsko-niemiecka toczyć się będzie na ziemiach polskich: w Królestwie, w Poznańskiem, czy w Prusiech Wschodnich, a „podolska wieś spokojna" nadal spokojną pozostanie. Namawiano też mię, abym w Nosowcach przesiedział spokojnie wojnę, która przecież nie może trwać dłużej niż kilka miesięcy. Jednakowoż uważałem, że skoro nadeszła ta „wojna narodów", o którą modlił się Mickiewicz, skoro losy Polski się ważą, to powinienem być raczej w Warszawie i tam brać jeśli nie czynny, to choć bierny, udział w wypadkach, niż przysłuchiwać się im jak widz z wygodnej i zacisznej loży. Że Polska może wygrać na tej kłótni między trzema jej oprawcami, to nie ulegało wątpliwości i już zaczynały się targi o naszą przychylność. Niemcy wydali obrazki z Matką Boską Częstochowską między medalionami Leona XIII i Wilhelma II. Rosjanie wystąpili z odezwą głównego wodza, ks. Mikołaja Mikołajewicza, obiecującą zjednoczenie ziem polskich pod berłem cara, najprzebieglej postąpili Austriacy zezwalając na organizowanie w Galicji legionów polskich do walki z Rosją. Wiedziałem jeszcze ze swoich krakowskich czasów, że są tam organizacje strzeleckie, zamierzające w razie wojny wystąpić po stronie Austrii, ale łudziłem się, że w tym stanie rzeczy, gdy Austria najoczywiściej uważa

MICHAŁ KULCZYCKI

ADWOKAT

UWAGA:
WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/..........

WARSZAWA, DN. .... 19.......... R.

odegrać rolę drugorzędną przy potężnym sojuszniku niemieckim, rozsądek przeważy i do haniebnego utworzenia legionów polsko-austriackich nie dojdzie. Niestety stało się inaczej! Udział Polaków po stronie niemieckiej w wojnie, mogącej zadecydować o naszej przyszłości, wydawał mi się potwornością, jakimś obłędem, którego przyczyny można było „rozumieć" sobie jakoś wytłumaczyć, ale przeciw któremu uczucie nigdy nie przestawało się burzyć. Dzisiaj po trzydziestu niemal latach, stwierdzam, że uczucie moje miało rację. V o Gorczyńskim

Tymczasem dzięki bohaterskiej ofensywie na Prusy Wschodnie, którą Rosja opłaciła stratą dwóch korpusów Samsonowa, Niemcy musieli osłabić front francuski i w swym pochodzie na Zachód zostali zatrzymani na Marnie umiejętną taktyką Joffre'a; pierwszy akt wojny zakończył się ich niepowodzeniem. Z kolei wzmocnili nacisk na froncie wschodnim i zdawało się rzeczą pewną, że Rosjanie nie zdołają obronić Królestwa. Postanowiłem więc dłużej nie zwlekać i w pierwszych dniach września 1914 r. opuściłem Nosowce, których nie miałem już nigdy więcej zobaczyć. W Kowlu czekałem 18 godzin na możliwość dalszej jazdy, front bitwy z Austriakami w Lubelskim podchodził niemal pod sam tor kolejowy, w Brześciu znów 12 godzin przerwy, zdobywanie wagonów szturmem i wreszcie przyjazd do Warszawy. Życie płynęło tutaj prawie normalnie, przynajmniej starano się o to. Braków aprowizacyjnych się nie czuło, przeciwnie niektóre artykuły, których Rosja nie mogła eksportować za granicę, bardzo staniały np. kawior.

W październiku Niemcy zaszli pod Warszawę z południa od Góry Kalwarii i pod Wilanowem grzmiały armaty. W którąś niedzielę, zdaje się, że to było 10 października, postanowiliśmy z kolegą Janem Grabowskim przypatrzeć się bitwie z bliska i wyruszyliśmy do Wilanowa. Aż tu za mostem, na skręcie dawnej szosy na mostku, krzyczy na nas wartownik: „Stoj, stoj, ruki wwierch!" (Stój, stój, ręce do góry!) i popiera swoje wezwanie celowaniem do nas z karabinu. Trudno się oprzeć takiemu argumentowi, stajemy więc grzecznie z rękoma do góry wzniesionymi, wartownik nas z grubsza rewiduje, i jako zaaresztowanych prowadzi do fortu wilanowskiego. Po drodze mija nas przejeżdżający oficer i pyta, co się stało: „Szpionow wiedu, wasze błagorodie!" (Szpiegów prowadzę, wasza szlachetności!) — „Nu, wiedi, wiedi!" (No, prowadź, prowadź!). Miny nam trochę zrzedły, bo od podejrzenia o szpiegostwo do marnego końca była bardzo blisko. Na forcie zaczęto nas indagować, kim jesteśmy, co robimy i po cośmy tu przyszli, nie dając wiary naszym słowom, że poszliśmy na przechadzkę, aby przyjrzeć się z bliska bitwie. Na zapewnienie Grabowskiego, że jest dyrektorem szkoły i że musi tam być nazajutrz na lekcjach odpowiedziano mu: „nie wiadomo, czy pan będzie jutro jeszcze żyć." Słowem sytuacja przedstawiała się

MICHAŁ KULCZYCKI

ADWOKAT

UWAGA:

WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65. TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/..........

WARSZAWA, DN. .... 19......... R.

Goreczyński (do str. 10)

~~[illegible]~~ Przeciwtrutką na ~~polsko-austriackie~~ legiony polsko-austriackie miały być legiony polsko-rosyjskie. ~~Niestety wskutek [illegible]~~ Niestety wskutek fatalnej organizacji ta ~~impreza~~ myśl w samym zarodku została spaczona. Inicjatorem tej imprezy był niejaki p. Witold Goreczyński, ~~[illegible]~~ nieznany w społeczeństwie, a rząd rosyjski, zamiast mądrze ~~[illegible]~~ całą sprawą pokierować, wszystko robił, aby zniechęcić do niej Polaków. Oddziały polskie, mające pierwotnie nosić nazwę „legionów polskich" i znaczną odrębność organizacyjną, zostały poprostu wcielone do armii rosyjskiej jako „drużyny ochotnicze". ~~Bili się jednak dzielnie~~ Tak to zapał naszej młodzieży został oblany zimną wodą. Bili się jednak nasi chłopacy mimo wszystko dzielnie i wstydu nam nie zrobili. Ale dopiero armia polska zorganizowana w Ameryce i Francji przez generała Hallera wraża nas postawić w rzędzie ~~kombatantów~~ współwalczących z innymi aliantami przeciwko przemocy teutońskiej.

STÄDTISCHES ELEKTRIZITÄTSWERK
WARSCHAU
Abteilung IV

Verzeichnis der gewerblichen Unternehmungen, die zu Betriebszwecken den elektr. Strom im Jahre 1941 benutzten.

L.Nr.	Konto Nr.	Name u. Vorname bzw. Firma	Anschrift	Zahl der im J. 1941 verbrauchten kWh des Kraftstroms	Der in die Rechnungen gestellte Gesamtbetrag Zł Gr	Anmerkungen

coraz gorzej, ale wreszcie Opatrzność czuwała nad nami, bo w gronie oficerów przebywających na forcie znalazł się nam kolega z politechniki, który ~~za nas~~ zaręczył, że nie jesteśmy szpiegami, tak że po zrewidowaniu zawartości naszych kieszeni (ja miałem: klucz, portmonetkę, binokle, lusterko i szczoteczkę do wąsów) uznano nas za nieszkodliwych wariatów i postanowiono uwolnić. Ale formalnościom musiało się stać zadość: po sporządzeniu protokołu odesłano nas do Cytadeli w asyście czterech żołnierzy z karabinami. Tak przemaszerowaliśmy do pl. Zbawiciela, gdzie ludzie właśnie wychodzili po sumie z Kościoła. Widząc prowadzonych „szpiegów" zaczęto nas obrzucać obelgami i przezwiskami, co byłoby jeszcze do zniesienia, ale zamierzano ~~[illegible]~~ przejść do bardziej materialnych pocisków w rodzaju kamieni, tak że żołnierze musieli nas bronić przed groźnym tłumem. Mimo [redacted] że [redacted] moja własna osoba była narażona na niebezpieczeństwo, rad byłem w duszy, widząc instynktowny odruch ludu wobec ~~[illegible]~~ rzekomych szpiegów niemieckich. Wsadzono nas co rychlej do tramwaju i już bez incydentów dowieziono do Cytadeli. Tu nowe przesłuchanie, nowy protokół, po czym odesłano nas do cyrkułu na Muranowie, skąd „matka-policja" już bardzo delikatnie odesłała każdego z nas osobno w asystencji policjanta dorożkami do właściwych cyrkułów, gdzie nas [redacted] dopiero pozwolniono. Wyszedłszy na przechadzkę o 9 rano, wróciłem dopiero o [redacted] 6 ej po południu do domu po [redacted] oryginalnie spędzonej niedzieli. V Tu wstawka o Czyńskim

(A) Pierwsza ofensywa niemiecka została odparta, ale po niej poszły następne i było rzeczą widoczną, mimo uroczystych zapewnień dowództwa rosyjskiego, że Warszawa oddana Niemcom. ~~Nastąpiło to~~ ~~[illegible]~~ Wielu warszawiaków, bądź związanych z interesami z rządem rosyjskim, bądź w strachu przed Niemcami uciekało ~~[illegible]~~ z Warszawy na Wschód. Chciał i Abramowski wyjechać na Ukrainę do rodzinnego Stefanina, ale ~~pociągi były już tak~~ dworce były tak oblężone przez publiczność, pociągi tak przepełnione, że o dostaniu biletu i o wyjeździe nie było już mowy. Musiał więc pozostać i sądzę, że tylko na dobre mu to wyszło. [redacted]. W nocy z 4 na 5 sierpnia 1915 r. wysadzono mosty na Wiśle a rankiem 5. sierpnia Niemcy wkroczyli do Warszawy.

przełożyć na str. 12.

MICHAŁ KULCZYCKI
ADWOKAT

UWAGA:
WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/..........

WARSZAWA, DN. .... 19.......... R.

Czyński

(do str. 11)

Wojna budząc nadzieję, skłaniała zarazem ludzi do tworzenia różnych ~~przypuszczeń~~ hipotez co do jej przebiegu i wyniku. Nie było takiej powodzi wróżb i przepowiedni jak w czasie obecnej wojny, ale też ich nie brakło. ~~Największą cieszyły się popularnością~~ ~~Najgłośniejsze były (przepowiednie~~, ~~ogłoszone w jakiejś gazecie, wróżby Czesława Czyńskiego, znanego w świecie okultystycznym pod imieniem „Punar Bhava", ze względu na osobę ich autora. Nie pamiętam dokładnie ich treści, wiem tylko, że zapowiadały zwycięstwo Rosji i że się nie sprawdziły.~~

Największą się cieszyły popularnością, ogłoszone w jakiejś gazecie, wróżby Czesława Czyńskiego ze względu na osobę jego autora, znanego w świecie okultystycznym pod imieniem „Punar Bhava". Burzliwą, powiedzmy wprost: skandaliczną, przeszłość tego maga dokładnie opisała książka p.t. „Der Fall Czyński", klasyczna w dziejach hipnotyzmu, do niej odsyłam ciekawych. W r. 1914 wszystko to było daleko poza nim, Czyński był delegatem Towarzystwa czy też „Zakonu" Martynistów na Polskę i Rosję i w sferach okultystów uchodził za wielką powagę. ~~Przyjmował~~ Urządzał raz na tydzień podwieczorki, na których bywali różni magi, okultyści i literaci warszawscy. Oczywiście byłem i ja raz na takim podwieczorku, oglądałem piękny dyplom delegata Martynistów, podpisany przez samego Papusa i słuchałem przeróżnych przepowiedni i opowieści gospodarza domu, który rzekomo umiał się wywołać z ciała i wędrować po świecie, przyodziany w samo tylko „ciało astralne". ~~Opowiadał o przygotowaniach do takiej wędrówki: ogólnie postu i modlitwy~~ Do takiej wędrówki mag przygotowywał się modlitwą i postem, wkładał szatę z białej wełny ~~i we właściwym momencie naciskał palcami przez otwór~~ z kapturem, aby zabezpieczyć ~~ciało materialne od inwazji~~ opuszczone ciało materialne od ~~inwazji jakiejś niepożądanej jakiej~~ niepożądanej wizyty jakiegoś obcego ducha, naciskał wreszcie palcami przez otwór w tej szacie uczyniony magiczną gulkę czy wypukłość na piersi i jazda! Czyński pozwolił nam nawet namacać tę gulkę na swej piersi: był to poprostu nieco wygięty processus xyfoidalis, ~~jeszcze inną osobl~~ a więc rzecz całkiem normalna. Jeszcze inną osobliwością anatomiczną szczycił się Czyński, ale tej jużeśmy namacalnie nie badali.

STÄDTISCHES ELEKTRIZITÄTSWERK
WARSCHAU
Abteilung IV

Verzeichnis der gewerblichen Unternehmungen, die zu Betriebszwecken den elektr. Strom im Jahre 1941 benutztan.

L.Nr.	Konto Nr.	Name u.Vorname bzw.Firma	Anschrift	Zahl der im J.1941 verbrauchten kWh des Kraftstroms	Der in die Rechnungen gestellte Gesamtbetrag Zł Gr	Anmerkungen

W parę lat później spotkałem się z Czyżewskim na ulicy. Jechał dorożką i zatrzymał ją na mój widok. Nie byłbym go poznał, tak był zmieniony. Zamiast przystojnego, rumianego, czerstwego, starszego pana z pięknie podkreślonym wąsem, ujrzałem przed sobą wychudłego starca z niechlujną brodą i dziko błyszczącymi oczami. Zaprosił mię do dorożki i zaczął gorączkowo mówić: „Wie, pan, co ja teraz robię? Niech pan czyta!” — I tu zaczął wydobywać z portfelu jakieś wycinki z gazet — „O, patrz pan, piszą o mnie: drugi Rubens, drugi Rembrandt. Niech pan przyjdzie zobaczyć.” Jednocześnie pokazał mi pozwolenie władz okupacyjnych na kupno koni rzeźnych i prowadzenie jatki końskiej. Tak to umiał on łączyć działalność artystyczną z przedsiębiorstwem dochodowym. W parę dni potem poszliśmy obejrzeć owe obrazy Czyżewskiego we trójkę: nieżyjący już literat Tadeusz Jaroszyński, literat Eustachy Czekalski i ja. Służąca początkowo nie chciała nas wpuścić, wreszcie na zapewnienie, że pan nas zaprosił, uległa. Wyszedł do nas i sam Czyżewski. Już przedpokój przedstawiał nader dziwny widok a dalsze pokoje były dość podobne. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś maczał w różnych farbach kwacz i chlostał nim po ścianach. W pokojach stały płótna na sztalugach i wisiały na ścianach. Były one zasmarowane jedną farbą, jakby podkładem pod przyszły obraz. — „Patrzcie, panowie, to jest szarża kawalerii. A tu mam głowę Chrystusa!” Patrzymy, a tu nie ma nic prócz jednostajnego tła. — „Ja tylko zostawiam farby, a to potem samo przez noc tak rośnie, tak rośnie...” Widząc, że mamy do czynienia z obłąkanym, pożegnaliśmy się czym prędzej z gospodarzem i dopiero na ulicy odetchnęliśmy głęboko z ulgą.

Ten rozstrój umysłowy przeminął jednak i w Polsce niepodległej znów usłyszałem o Czyżewskim. Zajmował się popłatnym procederem wróżbity a wreszcie wytoczono mu proces o propagowanie satanizmu. Wyroku, zdaje się, stary mag się nie doczekał i całkiem naturalnym biegiem rzeczy przeniósł się w świat astralny.

STÄDTISCHES ELEKTRIZITÄTSWERK
WARSCHAU
Abteilung IV

Verzeichnis der gewerblichen Unternehmungen, die zu Betriebszwecken den elektr. Strom im Jahre 1941 benutztan.

L.Nr.	Konto Nr.	Name u.Vorname bzw.Firma	Anschrift	Zahl der im J.1941 verbrauchten kWh des Kraftstroms	Der in die Rechnungen gestellte Gesamtbetrag Zł Gr	Anmerkungen

W obliczu wielkich przemian czekających Polskę ożywiło się ogromnie życie polityczne stolicy. Wszystkie dotąd czasu stronnictwa zaczęły się gorączkowo krzątać, oczywiście te, które miały orientację pro-aliancką, bo pro-germańskie musiały z konieczności uprawiać działalność konspiracyjną. Zjechał z Moskwy i adwokat Lednicki, członek rosyjskiej partii konstytucyjno-demokratycznej, t.zw. popularnie k-d czyli „Kadetów", złośliwi powiadali, że należał on raczej do partii K-d-W (Kuda dujet wieter – dokąd wieje wiatr). Agitował on bez powodzenia za stworzeniem w Polsce stronnictwa „Zjednoczenia Ziem Polskich pod Berłem Rosyjskim". ~~Oczywiście idea zjednoczenia wszystkich ziem polskich była bardzo sympatyczna i większość Polaków chętnie by widziała to zjednoczenie dokonane przez Rosję, ale wg~~

W programie stronnictwa demokratyczno-narodowego, zjednoczenie ziem polskich stało również na naczelnym miejscu, ale jako etap do zupełnej niepodległości, a co najmniej do unii personalnej z Rosją. Należałem w Genewie i w Paryżu do narodowych kół studenckich, obecnie uważając, że w tych czasach trzeba się wyraźnie zdeklarować, zgłosiłem swoją kandydaturę na członka Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego przedstawiając jako poręczycieli: Zygmunta Balickiego i prof. Jana Tura. Od tego czasu po dziś dzień, czyli od blisko lat 30-u, należę do Stronnictwa, jestem więc już „starym endekiem".

W tym czasie po raz pierwszy słyszałem przemawiającego Dmowskiego, który zrobił na mnie wielkie wrażenie. Jego mowy odznaczały się jasną i ścisłą argumentacją; nie przemawiał do uczucia ale do rozumu, nie grał na namiętnościach ale pobudzał do myślenia. Było to więc „genus dicendi atticum" a i soli attyckiej w nim nie brakło.

Wkrótce Dmowski, jako prezes Komitetu Narodowego, wyjechał do Petersburga a potem do Paryża i Londynu. Poznać go osobiście miałem zaszczyt dopiero później, gdy jako tryumfator powrócił do Polski po podpisaniu w Wersalu traktatu pokojowego, przywracającego nam wolność.

(A) ze str. 11

MICHAŁ KULCZYCKI

ADWOKAT

UWAGA:

WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/..........

WARSZAWA, DN. .... 19.......... R.

Niemcy i Austriacy zajmując ziemie polskie występowali w roli naszych dobroczyńców: uwalniali nas przecież od znienawidzonych Moskali! Na razie podzielili Królestwo Polskie na dwa generalne gubernatorstwa: niemieckie ze stolicą w Warszawie i austriackie ze stolicą w Lublinie. Inne, dalej na wschód położone terytoria, jeszcze inaczej były administrowane. Jednakowoż z różnych zapowiedzi wynikało, że okupanci zamierzają utworzyć jakieś niby niezależne państwo polskie w nieokreślonych granicach. Oczywiście tylko z odebranych Moskalom dzielnic: o przyłączeniu Galicji a tym bardziej zaboru pruskiego nie było mowy. Tak więc nasz główny postulat na czasy najbliższe: zjednoczenie wszystkich ziem polskich, nie mógł być spełniony przez Mocarstwa Centralne. Mimo to zaczęli się ruszać zwolennicy orientacji austriackiej, marzący o stworzeniu z Galicji i Królestwa jakiegoś państwa pod berłem Habsburgów, równorzędnego do Austrii i Węgier, inni znów woleliby jakieś państewko polskie związane z Niemcami; Piłsudski ciągnął w jedną stronę, Naczelny Komitet Narodowy (N.K.N.) w Krakowie ciągnął w drugą: trudno było się w tym wszystkim połapać. Pamiętam jak w Kawiarni Udziałowej, na rogu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich (późniejszy Café Club), gdzie zbierali się różni politycy kawiarniani, literaci, malarze itp, zjawił się kiedyś p. Jędrzej Moraczewski i tłumaczył zebranym, że dla Polski byłoby najlepiej, gdyby Francja została pobita przez Niemcy, ale nie zupełnie, aby mogła mieć głos na przyszłej konferencji pokojowej, bo wtedy by poparła sprawę niepodległości Polski. Ten mądry i przewidujący polityk miał później zostać wyznaczonym przez Piłsudskiego na pierwszego premiera niepodległej Polski!

Tymczasem Niemcy zachowywali się wobec nas jak łaskawi protektorzy i dziś (1943 r.) wobec ciągłych zbrodni i terroru wspominam tamtą okupację jak idyllę. Wychodziły pisma i wydawnictwa polskie, oczywiście pod cenzurą; funkcjonowały szkoły, towarzystwa naukowe i teatry. Sfery naukowe wszczęły starania o utworzenie polskiego uniwersytetu i politechniki, dużą w tym rolę odegrał aktywnością, ale w szlachetnym stylu, dr. med. Józef Brudziński. Uroczyste otwarcie tych uczelni nastąpiło 15.XI.1915 r. Katedrę psychologii zaproponowano Abramowskiemu, który zgodził się na jej objęcie pod warunkiem, że w pierwszym roku wykładać nie będzie ze względu na stan zdrowia, wymagający poważnej kuracji i że w jego zastępstwie ja, jako jego asystent, obejmę wykłady. Miałem przez dwa semestry wykładać psychologię czuć, co do której Abramowski dawał mi carte blanche, a sam w następnym roku miał kontynuować wykłady, wnosząc swoje indywidualne poglądy

MICHAŁ KULCZYCKI
ADWOKAT

WARSZAWA, DN. .... 19.......... R.

UWAGA:
WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA
WYŁĄCZNIE BIURO ELEKTROWNI
UL. TARGOWA 65, TELEFON 10.20-33
W GODZ. 8 - 14; W SOBOTY DO 12.

F2/...........

Wzór E. M. 127 (F2) 5000. 4.39.

na pamięć i podświadomość. ~~Był to dla mnie wielki zaszczyt, bo~~

Był to dla mnie wielki zaszczyt, ale bałem się, czy nie zawiodę pokładanych we mnie nadziei. Toteż z wielką tremą wygłosiłem dn. 30. XI. 1915 swój wstępny wykład, na którym oprócz studentów byli również i ~~profesorowie~~ niektórzy nowo mianowani profesorowie jak ~~Jan~~ Tadeusz Kotarbiński, Jan Łukasiewicz i Władysław Tatarkiewicz. Autoreferat z tego wykładu wydrukowałem w „Przeglądzie Filozoficznym". Pozwolę go sobie tutaj streścić.

Zaznaczyłem na wstępie, że psychologia eksperymentalna jest nauką względnie młodą, toteż nic dziwnego, że nie znajdujemy dla niej dłuższych tradycji i wspomnień w murach pałacu Kazimierzowskiego. Rozwój tej nauki przypadł w Europie Zachodniej na drugą połowę XIX w. t. zn. na okres rusyfikacji uniwersytetu warszawskiego. Uprawiano ją jednak w Polsce, ale poza uniwersytetem: przytoczyłem tu nazwiska Adama Mahrburga i Jana Władysława Dawida; zasłużeni ci uczeni nie doczekali się otwarcia polskiego uniwersytetu, wykładali po kwaterach studenckich, tych katakumbach polskich, a nagrodą za ich trudy i prace była nie katedra uniwersytecka ale cela więzienna. Z żyjących wymieniłem Juliana Ochorowicza, Edwarda Abramowskiego, ~~Władysława Heinricha~~ w Warszawie, Władysława Heinricha w Krakowie, Kazimierza Twardowskiego we Lwowie i Józefę Joteykównę w Brukseli. Następnie zastanawiałem się nad różnicą dzisiejszej psychologii eksperymentalnej od psychologii dawniejszej, nad miejscem psychologii w rozmaitych klasyfikacjach nauk, nad stosunkiem psychologii do filozofii i stwierdziłem, że rozwój psychologii idzie w kierunku coraz to większej autonomizacji, coraz wyraźniejszego odgraniczania ścisłej wiedzy psychologicznej od zagadnień filozoficznych z nią związanych. Psychologia współczesna nie chce być służebnicą ani filozofii ani teologii, chce być uprawiana sama dla siebie.

STÄDTISCHES ELEKTRIZITÄTSWERK
WARSCHAU
Abteilung IV

Verzeichnis der gewerblichen Unternehmungen, die zu Betriebszwecken den elektr. Strom im Jahre 1941 benutzten.

L.Nr.	Konto Nr.	Name u. Vorname bzw. Firma	Anschrift	Zahl der im J.1941 verbrauchten kWh des Kraftstroms	Der in die Rechnungen gestellte Gesamtbetrag Zł Gr	Anmerkungen

W uniwersytecie nie było oczywiście żadnych przyrządów ani pomocy naukowych do wykładu psychologii, prowadziłem zatem ćwiczenia w Instytucie Psychologicznym, skąd też brałem niektóre przyrządy do demonstrowania podczas wykładów. Trudno mi ocenić wartość naukową i pedagogiczną tych moich wykładów, starałem się oczywiście na podstawie znanej mi literatury dać słuchaczom jak najwierniejszy obraz współczesnego stanu wiedzy, nie siląc się na tworzenie jakichś oryginalnych teorii. Z Abramowskim było przeciwnie: u niego teoria wyprzedzała fakty i mało się kłopotała, jeśli późniejsze doświadczenia nie były z nią w zgodzie. Toteż prowadzenie ćwiczeń równoległych do wykładów Abramowskiego stało się dla mnie wkrótce niemożliwe i rozstaliśmy się na tym polu, zachowując poza tym najlepsze stosunki przyjaźni. Tymczasem praca pedagogiczna najwidoczniej męczyła Abramowskiego, pobudzał się do niej morfiną i heroiną, których potrzebował w coraz to większych dawkach.

Próby ratowania go, przedsiębrane przez przyjaciół, zawodziły, widać było, że Abramowski się spala, sam zupełnie zdawał sobie z tego sprawę, ale chciał dać jeszcze przed śmiercią swoją syntezę i ogłosił publiczne wykłady „Metafizyki doświadczalnej". Była to próba nadania jakiejś wartości obiektywnej doznaniom subiektywnym, jakaś chorobliwa mistyka człowieka opanowanego myślą o nadchodzącej śmierci. Ta śmierć nadeszła wreszcie dn. 21 czerwca 1918 r.

Mimo okupacji niemieckiej Tow. Psychologiczne kontynuowało swoją działalność i oprócz posiedzeń naukowych dla członków i zaproszonych gości urządzaliśmy i serie odczytów publicznych. Pierwsza taka seria odbyła się jeszcze w 1913 r. za czasów rosyjskich. Ogłosili wówczas wykłady: Florian Znaniecki: „Twórczość moralna", Julian Ochorowicz: „Psychologia dawna, dzisiejsza i jutrzejsza", Władysław Tatarkiewicz: „Przedmioty idealne", Rafał Radziwiłłowicz: „Psychologia myślenia", Stanisław Leśniewski: „Paradoksy logiki i matematyki", Ignacy Halpern: „Wstęp do etyki" i ja: „Z zagadnień psychologii religii". Każdy prelegent miał kilka wykładów, w tym samym dniu tygodnia. Mnie dostały się czwartki i wygłosiłem trzy odczyty: 1) „Zadania i metody psychologii religii", 2) „Psychologia stanów mistycznych"; 3) „Psychologia świętego". W 1916 r. wykładali: Jakub Segał: „Z psychologii piękna i sztuki", Iwan Cygielstrejch: „Psychika podświadoma", Wacław Radecki: „Życie uczuciowe" i ja: „Psychologia a życie praktyczne". Poświęciłem tym wykładom trzy środy, na których mówiłem: 1) O „Psychologii teoretycznej i stosowanej", 2) O „Psychologii a wyborze zawodu" i 3) O „Psychologii w przemyśle i handlu".

STAEDTISCHES ELEKTRIZITAETSWERK
WARSCHAU
Abteilung IV

Verzeichnis der gewerblichen Unternehmungen, die zu Betriebszwecken den elektr. Strom im Jahre 1941 benutzten.

L.Nr.	Konto Nr.	Name u.Vorname bzw.Firma	Anschrift	Zahl der im J.1941 verbrauchten kWh des Kraftstroms	Der in die Rechnungen gestellte Gesamtbetrag Zł Gr	Anmerkungen

Wreszcie w 1917 r. odbyły się wykłady Władysława Tatarkiewicza: „O szczęściu i teoriach szczęścia", Adama Zieleńczyka: „Skutki wojny", Wacława Radeckiego: „Psychologia społeczeństwa i tłumu", Adama Cygielstrejcha: „Hypnotyzm i sugestja" i moje: „Telepatia i mediumizm w oświetleniu krytycznym". W ciągu czterech wtorków poruszyłem następujące tematy: 1) Określenie telepatii. Co nie jest telepatią. Ruchy bezwiedne. Wahadło Chevreula. Różdżka wróżebna. Kumberlandyzm. 2) Telepatia samorzutna i eksperymentalna. Doświadczenia Richeta, Ochorowicza, Barrett'a, Lodge'a i innych. Uwagi krytyczne. 3) Zjawiska mediumiczne. Mediumizm „niższego" i „wyższego" rzędu. Trudność badania zjawisk mediumicznych. Oszustwo świadome i bezwiedne. Zjawiska telekinetyczne. 4) Hipoteza spirytystyczna. Rzut oka na historię współczesnego spirytyzmu. Pismo automatyczne. Materializacje. Krytyka hipotezy spirytystycznej.

Moja znajomość zjawisk mediumicznych nie była tylko teoretyczna lecz i praktyczna. Już nieraz zdarzało mi się seansować z różnymi mediami ale odbywało się to zawsze w warunkach dalekich od ścisłości naukowej, w atmosferze bądź żartów bądź bezkrytycznej wiary, toteż był to przeważnie czas stracony na próżno. Cały mój wysiłek szedł na stwierdzenie rzeczywistości zjawiska lub na zdemaskowanie oszustwa, a o dalszym badaniu niezaprzeczalnie stwierdzonego zjawiska nie mogło być nawet mowy. Ze słynnym Guzikiem było już nieco lepiej ale nie bardzo. Seansując dla zarobku po kilka razy dziennie, Guzik, obok autentycznych objawów mediumicznych, uciekał się nieraz do oszustwa, chcąc aby uczestnicy seansu zobaczyli zawsze coś niezwykłego za swoje pieniądze. Naprawdę ciekawe zjawiska wystąpiły dopiero przy p. Stanisławie Tomczykównie, którą odkrył i wykształcił Ochorowicz. Zasługą Ochorowicza było, że nie pozwalał Tomczykównie mówić o „duchach", co by skierowało od razu całą rzecz na tory spirytystyczne, ale kazał jej rolę „doświadczenia". Ale i z Tomczykówną było dosyć kłopotu. Najpierw trzeba było ją uśpić hypnotycznie, po czym p. Stanisława budziła się przekształcona w „małą Stasię", mówiła po dziecinnemu, chciała żeby się z nią bawić i trzeba było ją długo namówić na doświadczenia. Ale, przechodząc cierpliwie te wstępne ceregiele, można było zobaczyć w niezłych warunkach oświetlenia podnoszenie drobnych przedmiotów (pudełko zapałek, nożyczki) bez dotykania, czyli to co się w metapsychologii nazywa zjawiskiem telekinetycznym (a zgodniej z duchem języka polskiego: telecynetycznym). Zdjęcia fotograficzne, przy ścisłej wzajemnej kontroli, potwierdziły autentyczność tego zjawiska. Wreszcie już później w Polsce niepodległej miałem możność uczestniczenia w seansie z najciekawszym medium polskim Frankiem Kluskim (pseudonim literata i urzędnika bankowego, p. Teofila Modrzejewskiego). W jego obecności ukazywały się bardzo plastyczne zjawy i krążyły w pociemku.

STÄDTISCHES ELEKTRIZITÄTSWERK
WARSCHAU
Abteilung IV

Verzeichnis der gewerblichen Unternehmungen, die zu Betriebszwecken den elektr. Strom im Jahre 1941 benutzten.

L.Nr.	Konto Nr.	Name u.Vorname bzw.Firma	Anschrift	Zahl der im J.1941 verbrauchten kWh des Kraftstroms	Der in die Rechnungen gestellte Gesamtbetrag Zł Gr	Anmerkungen

1 maja 1917 w wieku lat 67 umarł długoletni ~~[illegible]~~ zasłużony badacz mediumizmu, Julian Ochorowicz, na jego pogrzebie wygłosiłem ~~dr.~~ mowę, cieszę jego zasługi jako uczonego i zakończyłem słowami, że życzenie „~~[illegible]~~ „wiecznego odpoczynku" nie jest stosowne dla człowieka, który całe życie pracował ~~[illegible]~~ nad poznaniem prawdy i niewątpliwie na tamtym świecie dalej wciąż pracować będzie. Jakby odpowiadając na to moje wezwanie, przez usta p. Jadwigi Domańskiej, ostatniej sekretarki ś.p. Ochorowicza, zaczął rzekomo przemawiać sam nieboszczyk. Panią Domańską zaopiekował się dr. Watraszewski (pseudonim: Habdank), ~~a specjalista chorób skórnych~~ (ordynator szpitala Św. Łazarza, podobno dobry specjalista chorób skórnych, ale dziwnie bezkrytyczny wobec zjawisk przekraczających ~~[illegible]~~ zakres dermatologii. Pseudo-Ochorowicz przemawiał mgliście, bardzo odmiennie od swego jasnego i trzeźwego sposobu formułowania myśli, a ilekroć był przez oponenta przyciśnięty do muru zawsze się jakoś zręcznie wykręcał. Wincenty Kosiakiewicz, ~~[illegible]~~ zdolny ~~[illegible]~~ literat i najdowcipniejszy z dziennikarzy, miał się przy tej sposobności wyrazić, że „Ochorowicz dziwnie zgłupiał po śmierci". Ponieważ p. Domańska, będąc przez dłuższy czas sekretarką Ochorowicza mogła ~~przejąć się~~ przejąć jego styl, a nawet mogła korzystać z jego niewydanych rękopisów, wyrażałem się sceptycznie o autentyczności ~~rzekomych~~ pośmiertnych ochorowiczowskich rewelacji i podkreśliłem to w swoim odczycie publicznym p.t. „Spirytyzm wobec nauki", gdzie zarazem zanalizowałem produkcje medium p. Reichmanówny, przez którą miały rzekomo przemawiać duchy Mickiewicza, Słowackiego i Wyspiańskiego. ~~Naraziłem się~~ Tym wystąpieniem naraziłem się wówczas bardzo ~~kołom spirytystycznym i tylko ich jakoś [illegible]~~ spirytystom warszawskim ~~i tylko ich jakoś udało mi się potem udobruchać~~ i dopiero po pewnym czasie zdołałem ich jakoś udobruchać.

Po śmierci Abramowskiego katedrę psychologii powierzono prof. Władysławowi Witwickiemu ze Lwowa. Nic miałem już co robić na uniwersytecie, wykłady na Kursach Naukowych przynosiły bardzo mało, do szkół wracać nie chciałem, toteż ~~[illegible]~~ z przyjemnością przyjąłem propozycję objęcia wykładów psychologii na nowo utworzonym ~~[illegible]~~ Uniwersytecie ~~Katolickim w~~ Lubelskim. Dzięki hojności p. Karola Jaroszyńskiego, magnata przemysłowego z Ukrainy, mógł powstać w Lublinie uniwersytet ściśle katolicki, wzorowany na istniejących podobnych za granicą we Fryburgu, Lovanium i Insbruku. Rektorem miał być ks. prof. Idzi Radziszewski, były rektor ~~[illegible]~~ Petersburskiej Akademii Duchownej. W rozmowie ze mną starał się wybadać, jaki będzie kierunek moich wykładów i zadowolił się moim oświadczeniem, że traktuję psychologię jako naukę przyrodniczą i nie wchodzę w kwestie filozoficzne, w których ~~prawowierność profesora~~ osobiste poglądy profesora mogą wejść w kolizję z prawowiernością katolicką. Mojego ~~[illegible]~~

STÄDTISCHES ELEKTRIZITÄTSWERK
WARSCHAU
Abteilung IV

Verzeichnis der gewerblichen Unternehmungen, die zu Betriebszwecken den elektr. Strom im Jahre 1941 benutzten.

L.Nr.	Konto Nr.	Name u. Vorname bzw. Firma	Anschrift	Zahl der im J. 1941 verbrauchten kWh des Kraftstroms	Der in die Rechnungen gestellte Gesamtbetrag Zł Gr	Anmerkungen

stanowisko mógł się wszak rektor oczywiście nie obawiać, ale tak dalece ufał uczciwości profesorów, iż przecież nie będą w katolickim uniwersytecie wprowadzać agitacji antykatolickiej, iż do liczby profesorów zaprosił m.i. i Jana Baudouina de Courtenay słynnego językoznawcę, ale i głośnego zarazem ze swych antyreligijnych wystąpień.

Szkoda mi było rzucać Warszawy, gdzie miałem dużo znajomych a w szczególności dwa domy bliskich bardzo przyjaciół, którzy zastępowali mi rodzinę. Kazimierz Stołyhwo, mój kolega gimnazjalny, a następnie przyjaciel i współtowarzysz z czasów uniwersyteckich, po stracie pierwszej swej żony, a mojej siostry ciotecznej, ożenił się z p. Eugenią Piotrowską niezwykle miłą, inteligentną, dobrą i sympatyczną osobą, z którą bardzo się zaprzyjaźniłem a przez nią i z resztą rodziny Piotrowskich①. Drugi dom przyjacielski miałem w rodzinie Grabowskich, gdzie druga żona Jana Grabowskiego, mego kolegi z politechniki, Halina z Zajączkowskich V, stała się moją wielką przyjaciółką. Z tymi dwiema rodzinami po dziś dzień zachowuję jak najbliższe i jak najlepsze stosunki, tak serdeczne, proste i szczere, o jakie często i w prawdziwej rodzinie trudno. Ta przyjaźń ~~przetrwała~~ wytrzymała nie tylko próbę czasu, ale i próbę niezgodności zapatrywań politycznych. Obydwie te panie miały kult dla Piłsudskiego: Grabowska jako urodzona wilnianka, Stołyhwowa nawet bez tej okoliczności łagodzącej, ja zaś dla „Dziadka" czy też „Komendanta" żywiłem zgoła inne uczucia. Ścieraliśmy się na ten temat czasem nawet dość ostro, ale nigdy do scysji zupełnej nie doszło.

od ustępu

W ogóle w Polsce w tym czasie wrzało jak w ulu od dyskusji politycznych. Najhałaśliwiej oczywiście mogli występować t. zw. aktywiści, wśród których były też przeróżne odcienie i partie. Dużą rolę odgrywała w namiastce rządów polskich Liga Państwowości Polskiej, L.P.P., której inicjały odczytywano złośliwie ale sprawiedliwie: „leć po posady". Najzajadlejsze, jak zwykle, bywały kobiety i dla takiej „Ligi Kobiet" nawet sam Piłsudski był za mało germanofilem, to też różne wiedźmy szkalowały go publicznie w sposób graniczący z denuncjacją. „Koło Międzypartyjne", łączące ugrupowania ~~antygermańskie~~ proalianckie, jak mogło tak walczyło z aktywistami i przeszkadzało im angażować się za daleko w robotach pour le roi de Prusse czy pour l'empereur d'Autriche, z drugiej zaś strony utrzymywało kontakt z Komitetem Narodowym w Paryżu, informując go o prawdziwym stanie rzeczy w kraju i dążeniach olbrzymiej większości narodu.

V Kobieta z głową i sercem na właściwym miejscu i w najcięższych chwilach nie tracąca humoru,

① Pierwszego, a dotychczas jedynego syna Stołyhwów, Olgierda, trzymałem do chrztu.

STÄDTISCHES ELEKTRIZITÄTSWERK
WARSCHAU
Abteilung IV

Verzeichnis der gewerblichen Unternehmungen, die zu Betriebszwecken den elektr.Strom im Jahre 1941 benutzten.

L.Nr.	Konto Nr.	Name u.Vorname bzw.Firma	Anschrift	Zahl der im J.1941 verbrauchten kWh des Kraftstroms	Der in die Rechnungen gestellte Gesamtbetrag Zł Gr	Anmerkungen

Trudne to było zadanie, bo naszym ~~wstępionym po~~ zaślepieńcom niepodobna było oczu otworzyć na rzeczywistość.(+) ~~Nawet po traktatach Niemiec z Ukrainą 9.II.1918r. i z Rosją 3.III.1918r.~~ ~~Nawet po traktatach zawartych w Brześciu Litewskim~~

Nawet po traktatach zawartych przez Niemcy w Brześciu Litewskim: z Ukrainą 9.II.1918r. i z Rosją 3.III.1918r., po protestacyjnym przejściu Żelaznej Brygady Hallera na drugą stronę frontu pod Rarańczą dn. 16.II.1918r., jeszcze byli tacy „polityce polscy", którzy chcieli budować przyszłość Polski o oparciu o Niemcy! Wprost się dzisiaj uwierzyć nie chce, że 29.III ówczesny „prezes ministrów" Steczkowski mógł był wystąpić z tajną notą proponującą Niemcom przymierze, a po uroczystej rezolucji rządu francuskiego, angielskiego i włoskiego, zapowiadającej „utworzenie zjednoczonego i niepodległego państwa polskiego z dostępem do morza" ~~także tenże Steczkowski~~ (Wersal 3.VI.1918r.), tenże Steczkowski mógł był oświadczyć, że rząd polski przez rezolucję wersalską z równowagi wytrącić się nie da i opowiada się „za współpracą z państwami centralnymi nad spełnieniem na Wschodzie Europy historycznych zadań Polski".

Ciekawe to i smutne zarazem, że w przekonaniu pewnych „~~polityków~~ ludzi" miarą mądrości jakiegoś posunięcia politycznego jest jego podłość! ~~Uczciwość~~ Natomiast uczciwość ~~i szlachetność utożsamiają oni z naiwnością. Tymczasem jest to polityka~~ w polityce, nie mówiąc już o szlachetności, utożsamiają oni z naiwnością. A jednak jest to bardzo krótkowzroczna polityka i doświadczenie nas uczy, że na dłuższą metę żadna podłość, jak żaden w ogóle grzech, się nie „kalkuluje", mówiąc po kupiecku.

(x) W Lublinie wykłady miały się rozpocząć, gdzieś późną jesienią a może i po Nowym Roku 1919, a tymczasem trzeba było jakoś i z czegoś żyć. Trafiła mi się na lato ~~kondycja~~ t.zw. „kondycja" u hr. Zamoyskich. Już ~~ubiegłego lata~~ ubiegłe wakacje 1917r. spędziłem w arystokratycznej rodzinie ks. Woronieckiego w Delinkach pod Tłuszczem, gdzie ~~musiałem~~ musiałem się opiekować czwórką młodych książąt, których matka była po drugiej stronie frontu a ojciec z Ukrainy tylko na niedziele dojeżdżał. Teraz ~~miałem~~ czekało mię znów inne zadanie. Chodziło o przygotowanie do matury najmłodszego syna hr. Andrzeja Zamoyskiego z Podzamcza. Jaś miał już około 18 lat, a wykształcenie, jakem to po pobieżnym egzaminie stwierdził, na poziomie klasy czwartej. Od razu więc oświadczyłem, że za skutek nie ręczę, a że po pewnym czasie zobaczymy, co z tego będzie. ~~Aby ustrzec Jasia przed rozpuszczeniem i~~

(+) Nawet słynna deklaracja Wilsona z 8.I.1918r., której punkt 13., pod natchnieniem Paderewskiego wydany, zapowiadał utworzenie zjednoczonej Polski z dostępem do morza, nie potrafiła ich obudzić.

STADTISCHES ELEKTRIZITÄTSWERK
WARSCHAU
Abteilung IV

Verzeichnis der gewerblichen Unternehmungen, die zu Betriebszwecken den elektr. Strom im Jahre 1941 benutzten.

L.Nr.	Konto Nr.	Name u. Vorname bzw. Firma	Anschrift	Zahl der im J. 1941 verbrauchten kWh des Kraftstroms	Der in die Rechnungen gestellte Gesamtbetrag Zł Gr	Anmerkungen

W piętnowaniu tej podłości, w ~~wyszydzaniu~~ chłostaniu aktywistów i karierowiczów wielką a dodatnią rolę odegrał Wolf Nowaczyński wydając różne pamflety, w których jego zjadliwy i błyskotliwy talent znalazł pole do popisu. Warszawa rozchwytywała te pisemka i zaśmiewała się z nich do rozpuku, ~~pozwalając sobie takie określen~~

W Podzamczu pod historycznymi, smutnej pamięci, Maciejowicami, mieszkali ~~hr. Andrzejostwo Zamoyscy~~ rodzice Józia, ojciec hr. Andrzej piękny wytworny starszy pan i matka hr. Karolina ~~z domu Burbonka Sycylijska~~ ~~z królewskiego rodu neapolitańskiego~~ z domu de Bourbon-Sicile, ~~panującego~~ ~~od stuleci~~ panującej niegdyś w królestwie neapolitańskim, oraz rodzeństwo: starszy brat Franciszek i dwie siostry, podówczas niezamężne, Teresa i Karolina. Gwarno tam było i wesoło, więc, żeby ustrzec Józia od zbytecznych rozrywek, wyprawiono go do bezdzietnego stryjostwa do Trzebieszowa pod Magnuszewem i tam miałem się zająć jego spóźnionym wykształceniem. Stryj Jan i stryjenka Anna, również Zamoyska z domu, stanowili przemiłą parę zacnych i dobrych ludzi. Oddany pracy społecznej, żyjąc w ~~doskonałej~~ wybornej komitywie z chłopami, hr. Jan wzorem ziemianina i kontynuował tradycje szlacheckiego rodu. Nie mając dzieci, Janostwo Zamoyscy kochali się w psach i koniach, lecz znaleźli w nich bratnie dusze. W ogóle było mi ~~tam~~ tam doskonale, ~~i pod względem ...~~ ~~...~~ i ludzie byli mi sympatyczni i warunki życia przyjemne i uczeń dobry i grzeczny chłopiec. Niestety po pewnym czasie ~~musiałem~~ doszedłem do przeświadczenia, że w ciągu kilku miesięcy nie da się odrobić czterech lat i że o maturze nie ma mowy. ~~Oświadczyłem to~~ Otwarcie oświadczyłem to rodzinie, która przyjęła tę smutną wiadomość z rezygnacją i prosiła mię tylko, abym dalej kształcił Józia in omnibus rebus. Prowadziłem ~~dalej~~ więc dalej lekcje, już nie licząc się z programem gimnazjalnym, ale starając się uzupełniać, jak umiałem, braki wykształcenia mego pupila. Zachowałem jak najmilsze wspomnienia z pobytu jak w Trzebieszowie tak w Podzamczu a ~~stosunki z~~ ~~z obydwoma domami Zamoyskich, z rodziną Zamoyskich~~ ~~rodziną Zamo do dziś dnia~~ przyjazne stosunki z rodziną Zamoyskich ~~...~~ po dziś dzień przetrwały. W kilka lat później mój były uczeń zawarł związek małżeński z siostrzenicą ostatniego króla hiszpańskiego i osiadł w Lubowli na Spiszu, Podzamcze zaś odziedziczył starszy brat, Franciszek i podobno tam obecnie biedę klepie pod przymusowym zarządem niemieckim.

W jesieni 1918 r. wróciłem do Warszawy, skąd miałem się wybrać do Lublina na otwarcie uniwersytetu. Od kontrofensywy aliantów we Francji, ~~...~~ rozpoczętej 18 lipca 1918 r., już i najbardziej ślepi ~~...~~ wreszcie mogli zauważyć klęskę Niemiec, której zwiastunem była kapitulacja Bułgarii we wrześniu i Turcji w październiku 1918 r. Radiowych komunikatów nie mieliśmy, ale wystarczało czytać urzędowe niemieckie, aby zdawać sobie sprawę z postępu wypadków. Lawina toczyła się coraz szybciej, aż wreszcie nastąpiła radosna chwila rozejmu w Réthondes w pamiętnym dniu 11. listopada 1918.

~~Niestety w tych ostatnich tygodniach~~

Niestety w tym czasie, gdy się kruszyła moc szatańska i gdy cała Polska żyła w jakimś upojeniu, ja osobiście „wiłem się na łożu boleści", walcząc z ciężką grypą, zwaną wówczas hiszpanką. Przyjaciele znosili mi gazety i wiadomości ustne, ale czyż mogło to zastąpić osobisty udział w tych epokowych wypadkach! Tam moi chłopaki rozbrajają Niemców, tworzy się państwo polskie, a ja tu leżę w łóżku!

Kiedy wstałem, Niemców ~~już nie było w Warszawie, a po ulicach patrolowała jakaś „milicja ludowa" z czerwonymi opaskami.~~ w Warszawie już nie było.

pach *śr* i *źr* (*rśoda*, *spᵘerźaųe śe*), przedłużenie a często i dysymilacja *s* w paru wyrazach (*viśśi*, *do lassa*, tu *do lasca*, *v leśće*), w liczbie mnogiej rodzaj męskożywotny (*tśey vilkuv zaбiųy a dvuy ućekųe*), żadna nie istniejąca poza północną Małopolską. *K. N.*

Ś. p. Artur Chojecki

21 listopada br. zmarł w Krakowie w 72. roku życia Artur Chojecki. Szczegóły jego niebanalnego życia i jego twórczości naukowej (na polu psychologii) i poetyckiej podał w nrze 50 (z 16 grudnia) Tygodnika Powszechnego P. Grzegorczyk — nas obchodzi jego działalność na polu poprawności językowej.

Kresowiec, po ukończeniu Politechniki Warszawskiej studiuje humanistykę w Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie się doktoryzuje; potem parę lat przebywa w Szwajcarii i w Paryżu, by na stałe zamieszkać na różnych stanowiskach w Warszawie, skąd go powstanie roku 1944 rzuciło znów do Krakowa.

W czasie studiów uniwersyteckich interesował się też językoznawstwem; jego niepiękną, ale indywidualną twarz, z dużą brodą, pamiętam w mym docenckim audytorium r. 1906: nie notował wykładów, ale ze skupieniem słuchał. A potem przez całe życie był konsekwentnym partyzantem...poprawności językowej. Walczył o nią w różnych czasopismach, po ostatniej wojnie w Gazecie Ludowej i Dzienniku Polskim. Na konkursie Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego otrzymał w r. 1946 pierwszą nagrodę za pogadankę pt. «Język polski, jego poprawność i jego piękno». W naszym czasopiśmie zaledwie parę razy coś drukował (w roczniku XXVIII): nie podobały mu się jego zbyt naukowy poziom, a w sprawach poprawności jego wyrozumiałość. Poglądom tym dał wyraz (w Gazecie Ludowej z 2 VI 47, nr 148, s. 5) w entuzjastycznym zareagowaniu na artykuł profesora J. Landego «W sprawie polityki językowej», pomieszczony przez nas oczywiście w myśl bezstronności (rocznik XXVII), ale z odpowiedzią prof. J. Klemensiewicza, jako nie przyjęta przez nas wytyczna, gdy nasz kierunek polega przede wszystkim na spokojnym naukowym badaniu faktów; nie wierzymy też w istotną poprawę dzisiejszej niestaranności przez samo tylko potępianie, gdy nie tylko ogół, ale nawet większość osób walczących o poprawność nie ma do jej oceniania teoretycznych ani faktycznych podstaw.

Stwierdzić jednak musimy, że Artur Chojecki te podstawy miał: oczytany był w starszej polszczyźnie, niejednostronny w ocenie dzisiejszych różnic regionalnych (Warszawa—Kraków); ale mimo to był zbyt daleko posuniętym konserwatywnym rygorystą. Jego rozsiewane po gazetach artykuliki nigdy jednak nie mogły szkodzić—co niestety trzeba orzec o niejednym «kąciku językowym».

Tępiąc bezwzględnie germanizmy i rusycyzmy Chojecki nie był purystą na polu przyjętych w całym świecie wyrazów grecko-łacińskich. Jako przykład, a zarazem próbkę jego stylu, przytoczę ustęp z jego felietonu pt. «Przekomarzam się z lekarzami» (posiadane wycinki zwykle nie oznaczają miejsca i daty druku).

«Weźmy np. nazwę *artrytyzm* (przez *y*, proszę państwa, tak mówię i piszę, bo tak każą uczeni lekarze i etymologia, choć ogół najczęściej wymawia *artretyzm* przez *é*). Otóż, czym właściwie jest ta choroba i jakie są jej przyczyny, o tym dotychczas *medici certant*, ale każdy laik prędzej zrozumie, o co idzie, gdy mu lekarz powie: masz pan *artrytyzm*, niż gdyby mu powiedział: masz pan *dnę*, bo tak lekarze-puryści nazywają tę dolegliwość. Tak samo istnieją jakieś równoznaczniki polskie *podagry — dna nożna* — i *reumatyzmu* —

32; 1952 nr 2

podobno *gościec*, ale nikt ich nie używa. Usłyszawszy nazwę *błonica* laik musi co rychlej przetłumaczyć ją sobie na *dyfteryt*, aby uświadomić sobie powagę choroby, tak samo rzecz się ma i z *płonicą* czyli *szkarlatyną*. A najczęściej pomiesza *błonicę* z *płonicą* i już nic nie rozumie.

«Gorzej jest, jak bawiący się w filologa lekarz wyciągnie stare słówko ze słownika i zastosuje nie całkiem właściwie, jak to się dzieje z *kilą*, która pierwotnie oznaczała 'przepuklinę', a potem została odkomenderowana do zgoła innej choroby. Albo cóż poczniemy z nazwaniem tejże choroby staropolskim mianem *przymiot*, skoro ten niewinny wyraz w zwykłej mowie co innego oznacza? A czy chorego na tę chorobę nazwiemy *przymiotnikiem*, bo chyba tak by należało?

«Przyznam się, że najbardziej mi się podoba polska nazwa *tyfusu*, mianowicie *dur*. Jakież to możliwości słowotwórcze otwierają się dla języka! A więc *zachorować na tyfus = zadurzyć się*. *Chory na tyfus = durny*, albo może *dureń*».

Godne uwagi było jego stanowisko w sprawie *-ia* i *-ym*, *-em*.

Kiedy w epoce roku 1936 rozrożniania *-ym* od *-em* broniła jakby jakiegoś skarbu narodowego m. in. trochę snobistyczna grupka Pawlikowskich z Medyki, Chojecki (bodaj gdzieś w Myśli Narodowej), wykazując całą tego bezpodstawność tak z punktu widzenia historii jak i dzisiejszej wymowy, przyrównał te *-ym*, *-em* do świecidełek, którymi się stroją ludy na stopniu prymitywnym, i zakończył, że postępowanie takie nie przystoi chyba «Medyceuszom».

A kiedy już po ostatniej wojnie znakomity krytyk literacki K. W. Z. w którymś z numerów «Warszawy» wystąpił przeciw ortografii z r. 1936 artykułem pt. «Ortoepia, ortografia a pozostałości faszyzmu», Chojecki w artykule pt. «Pomocnicy i przeszkadzacze» rzeczowo zdruzgotał ten wypad i jego (bardzo delikatnie mówiąc) demagogiczny tytuł. Wbrew temu autorowi, który łączył tę ortografię z metodami reżimu przedwrześniowego, pokazał, że pisownia *Dania* i *Julia* jest nawrotem do pisowni «Deputacji Towarzystwa Przyjaciół Nauk» z r. 1830 i że tak *jota* jak rozróżnianie *-ym* od *-em* kwitły właśnie w czasie niewoli. Przy sposobności swoim zwyczajem nie omieszkał wytknąć dwóch rusycyzmów: *przytrzymujących się* zamiast *trzymających się* i ujemnego *dzięki* zamiast *wskutek*.

Artur Chojecki do naukowego zbadania swego umiłowanego języka się nie przyczynił, ale nad wszystkimi dzisiejszymi purystami i poprawiaczami górował solidną wiedzą i wielką kulturą stylu. Pod tymi względami powinien być ich wzorem.

K. Nitsch.

Jeszcze o *ciuchach*

Obok wyrażenia *iść na szaber*, *szabrować* pojawił się w języku lat powojennych wyraz *ciuchy*, np. *iść na ciuchy*, *wracać z ciuch*.

Wyrazów *szaber* i *ciuchy* używa się w języku potocznym ze znaczeniem 'zabierać rzeczy porzucone, kraść', 'rzeczy zabrane sposobem nielegalnym', *ciuchy* oznaczają także 'bieliznę, szmaty'.

Interesujący nas wyraz *ciuchy* doczekał się czterokrotnego omówienia w Języku Polskim. Pierwszy wspomniał go St. Gołębiowski w korespondencji, donosząc o szerzeniu się tego wyrazu w pow. sierpeckim, przy czym nadmienił, że etymologicznie łączy się go: 1) ze *szmaciuchami* lub *łapciuchami*, 2) z *ciuchem* 'węchem' [1]).

Prof. Nitsch w dopisku do tej korespondencji mówiąc, że «druga etymologia na pewno lepsza», dodaje ostrożnie: «z nawoływaniem do tropienia psów *ciuch! ciuch!*» łączą się «m o ż e i podane w SW złodziejskie *ciuchy* 'ubranie'» [2]).

Artykuł dłuższy *ciuchom* poświęcił następnie dr Bąk, omawiając przejście znaczenia *ciuchy* ⟸ **czuchy*, *czuch* 'zapach,

ARTUR CHOJECKI

Artur Chojecki urodził się dn.25 VI 1880 w Żytomierzu, syn Tadeusza i Marii z Iwanowskich.Jego stryjecznym dziadkiem był znany pisarz,Edmund Chojecki.Ojciec dzierżawił majątki na Ukrainie i Podlasiu,rychło jednak zbankrutował i przeniósł się z czasem do Warszawy.Artur skończył ze złotym medalem klasyczne gimnazjum ros. w Żytomierzu,/1890–1898/,gdzie mieszkał u swej babki Iwanowskiej. Wakacje spędzał przeważnie na wsi w Nosowcach na Podolu,gdzie matka, znająca język franc.,ang. i niem. była guwernantką.W 1898 zapisał się na wydział chemiczny Politechniki Warszawskiej,który ukończył w 1905 ze stopniem inż.technologa. Porzucił jednak praktykę w cukrowni i wyjechał do Krakowa,gdzie w 1905 zapisał się na Un.Jag.,który ukończył w 1910,doktoryzując się na podstawie pracy:"Zarys psychologii uwagi".Oprócz filozofii zajmował się też językoznawstwem i chodził na wykłady i seminaria Rozwadowskiego,Łosia,Kazimierza Nitscha,lektoraty Boh.Łepkiego,P.Rongiera, oraz wykłady Tarnowskiego,Zdziechowskiego,Tad,Grabowskiego.

W 1910 wyjechał do Genewy,gdzie dostał się do pracowni prof.Claparède'a.W genewskich Archives de psychologie ogłosił dwie prace: "Contribution a l'étude de la suggestibilité"/1911/ i "Comparaison de quelques processus psychiques dans la veille"/1912/.W 1911 wyjechał do Paryża,gdzie chodził na wykłady Bergsona,P.Janeta,H.Piérona, G.Dumasa.W 1912 wraca do Warszawy i uczy w gimnazjach,oraz wykłada Tow.Kursow Naukowych/Wolna Wszechnica/.W 1915 obejmuje wykłady psychologii w Un.Warsz.jako zastępca chorego Abramowskiego.Ogłasza w redag.przez Abramowskiego Pracach "O wpływie woli na wahania uwagi". W 1919 obejmuje katedrę psych.w Un.Katol w Lublinie,porzuca jednak to stanowisko i wstępuje do Min.Spraw.Zagran./1919-1927/,ażeby w charakterze kurjera dyplomatycznego jeździć po Europie.Następnie zajmuje się publicystyką literacką,propagowaniem poprawności językowej,prowadząc odpowiedni dział w Gazecie Warszawskiej,a po wojnie w Dzienniku Polskim i w Gazecie Ludowej, przekładami oraz pisaniem wierszy.Wydaje trzy tomiki poezji:"Wiersze" /1933/,"Miesiące"/1936/,Owoce Bożego sadu"/1948/.Przełożył:Titchenera

./.

"Podręcznik psychologii"/1939/, Sertillangea:"Katechizm niewierzącego" /1939/, Chestertona:"Św. Franciszek z Asyżu"/1948/, "Św. Tomasz z Akwinu" /1949/. Nadto tłumaczył wiersze: ros./znakomity przekład "Ody do Boga" Dierżawina/, angielskie, niemieckie. Wydał pogadankę:"Język polski jego poprawność i jego piękno"/1946/, oraz popularny szkic "Henryk Sienkiewicz"/1946/. W rękopisie pozostał pamiętnik:"Żywot średniego człowieka"/1943/, zbiór szkiców językowych, któremu chciał dać tytuł "Ozór po polsku czyli pogadanki językowe", rozprawa "Na marginesie nowej poezji"/1945/, której nie był zwolennikiem, oraz kilka nowel pisanych już po wojnie. Zmarł 20 listopada 1951 w Krakowie w Domu Helzlów.

8 STRON A. HUTNIKIEWICZ: O STEFANIE GRABIŃSKIM – S. M. RENATA: WYBÓR PIUSA X NA PAPIEŻA CENA 90 GR

TYGODNIK POWSZECHNY

KATOLICKIE PISMO SPOŁECZNO-KULTURALNE

Rok VII Kraków, niedziela 16 grudnia 1951 Nr 50 (352)

OD ZIEMI LUBUSKIEJ PO NYSĘ

ROZMOWA RED. JERZEGO TUROWICZA Z PRYMASEM POLSKI

Do redakcji „Tygodnika Powszechnego" dotarły wiadomości o podróży pasterskiej Prymasa Polski, Ks. Stefana Wyszyńskiego, w połowie listopada br. po Ziemiach Zachodnich. Wszystko, co dotyczy życia religijnego, społeczno-narodowego i gospodarczego tych ziem tak bardzo żywo nas obchodzi, że postanowiliśmy dotrzeć do Ks. Prymasa, aby uzyskać odeń choć kilka uwag i spostrzeżeń, dotyczących sytuacji kościelnej na prastarych ziemiach polskich. Red. Turowicz zastał Ks. Prymasa w Gnieźnie i uzyskał rozmowę, której donioślejsze fragmenty podajemy. Drukowany poniżej tekst rozmowy, został autoryzowany przez Księdza Prymasa.

Ksiądz Prymas odwiedził ostatnio Ziemie Zachodnie? — Czy wolno zapytać o wrażenia odniesione? — Proszę wybaczyć moją ciekawość, ale dotyczy ona zbyt doniosłych spraw dla Narodu i dla Kościoła.

Ciekawość Pańska w tym wypadku jest cnotą. Boć my wszyscy, którym Opatrzność Boża pozwoliła żyć w tak ciekawych dla Narodu czasach, jesteśmy żywo zainteresowani każdym przejawem krzepnącego życia Narodu i Kościoła na Ziemiach Zachodnich. Wybaczam Panu ciekawość i usprawiedliwiam ją. Tym bardziej, że sam jej ulegam; nie po raz pierwszy przecież odwiedziłem diecezje Polski zachodniej, spiesząc ze Słowem Bożym i posługą duszpasterską ludowi katolickiemu.

Tym razem rozpocząłem podróż od miasteczka Cybinki, koło Słubic, w diecezji gorzowskiej, skąd — przez Wrocław — udałem się do Opola. W ciągu pięciu dni pracowałem z duchowieństwem diecezji opolskiej: w katedrze opolskiej, w świątyniach Bytomia, Zabrza, Gliwic, Raciborza i w katedrze nyskiej. Odwiedzałem również seminaria duchowne — niższe i wyższe, zorganizowane dla wychowania młodego pokolenia kapłanów dla służby diecezji opolskiej.

Życie kościelne dzieli we wszystkim niemal koleje życia społecznego, narodowego i gospodarczego. I pierwsze i drugie powoli, lecz stale nabierają wyrazu, tężyzny, wewnętrznego okrzepnięcia i mocy. Zapewne, jest to praca niełatwa. Zbyt wiele ciosów wojna tu zadała. Zbyt wiele spraw trzeba zaczynać od podstaw. Ale czegóż nie dokona wiara w przyszłość Polski i zapał w pracy?

Kościół zdołał dość szybko zorganizować życie religijne ludności, otworzyć świątynie, postawić kapłanów na placówkach duszpasterskich, skupić lud w parafiach. Gdy wędrujemy od świątyni do świątyni, patrząc na modlący się lud, słuchając jego podniosłych śpiewów, odbieramy wrażenie przedziwnej jedności tych ziem z modlącą się i pracującą Polską.

Sprawa stosunku Kościoła i Episkopatu Polski do problemu Ziem Zachodnich stanowiła niejednokrotnie w ostatnich latach przedmiot zainteresowania. Chciałbym poprosić Księdza Prymasa o wyrażenie swego poglądu na tę sprawę.

Skoro tylko Polska wróciła na swe dziejowe szlaki, poprzez które od tysiąclecia biegła nasza myśl religijna i czyn apostolski — od Stolicy Wojciechowej w Gnieźnie poprzez Wrocław, Opole i Nysę — duchowieństwo katolickie nie zawahało się ani chwili, co ma czynić. Całe zastępy kapłanów, ze wszystkich diecezji polskich, za zgodą swych biskupów, podążyły wraz z ludem na ziemie piastowskie. Oni to otwierali świątynie, usuwali gruzy, organizowali służbę Bożą, skupiali lud wokół ołtarzy. Ich obecność była dla ludu znakiem wiary w przyszłość Polski na Ziemiach Zachodnich.

Wraca z Rzymu kardynał Hlond z gotowym planem organizacji życia kościelnego. Duchowieństwo otrzymuje wskazania, pomoc i zachętę do pracy. Ileż to razy kardynał Hlond przemierzał w swych wędrówkach Ziemie Zachodnie. Otwierał seminaria duchowne, przewodniczył zebraniom duchowieństwa, przemawiał do tłumów wiernych. Swoją, pełną zasługi dla Kościoła i Narodu, pracę zakończył pięknym listem do katolików Ziem Zachodnich, wydanym tuż przed przedwczesną śmiercią.

Odszedł kardynał Hlond, ale w niczym nie zmieniła się linia myślenia i postępowania biskupów polskich. Wyrazem ciągłości tej linii, jest „Porozumienie" między Rządem R. P. a Episkopatem Polski ze swoim tak znamiennym punktem trzecim, który warto przypomnieć: „Episkopat Polski stwierdza, że zarówno prawa ekonomiczne, historyczne, kulturalne, religijne, jak i sprawiedliwość dziejowa wymagają, aby Ziemie Odzyskane na zawsze należały do Polski". Jest to wyraz postawy całego Episkopatu Polski, boć przecież cały Episkopat dążył do „Porozumienia" i uważał je za niezbędne dla pokojowego współistnienia Kościoła i Państwa w Polsce.

Że wierzymy w przyszłość Polski na Ziemiach Zachodnich, dowodzi tego fakt, że nie szczędzimy ofiar na odbudowę zabytkowych świątyń.

Poświęcenie piastowskiej katedry wrocławskiej było radością całej Polski katolickiej. I dlatego do Wrocławia pojechali biskupi polscy, aby dać wyraz swej radości i zaznaczyć wspólnotę stolic biskupich całej Polski z wrocławską katedrą. Nie zabrakło ofiar pieniężnych ze wszystkich kurii diecezjalnych na odbudowę katedry wrocławskiej, które wraz z pomocą państwową przyczyniły się walnie do szybkiego postępu odbudowy, dając świadectwo niezłomnej wierze Narodu w jego przyszłość na Ziemiach Zachodnich. Właśnie ta odbudowa świątyń na Ziemiach Zachodnich jest najbardziej widocznym terenem, na którym współdziałanie Kościoła i Państwa wydaje swe doniosłe dla narodu owoce. Społeczeństwo katolickie, wdzięczne państwu polskiemu za udzielaną pomoc, wytęża swoje siły nad odbudową i zagospodarowaniem Ziem Zachodnich.

Z radością wspominam tu seminaria duchowne. Pracują one we Wrocławiu, w Nysie, w Gorzowie i w Olsztynie. Wypełnia je licznie młodzież polska, która ma pracować na Ziemiach Zachodnich. Na mocy upoważnienia Stolicy Św. młodzi kapłani przeznaczani są kanonicznie do służby Kościołowi na Ziemiach Zachodnich. To upoważnienie Stolicy Św. jest faktem, który wymowniej świadczy o przychylnej postawie Stolicy Św. w sprawie Ziem Zachodnich, niż słowa.

Seminaria duchowne w diecezjach zachodnich są naszą radością i nadzieją. Dziękujemy Bogu, że posyła tak licznych pracowników do winnicy swojej.

W czasie kwietniowej podróży biskupów polskich do Rzymu, w prowadzonych tam rozmowach były zapewne poruszane sprawy kościelne Ziem Zachodnich?

Mogę Pańskie pytanie sformułować dobitniej: Czy dostatecznie przedstawiono w Rzymie prawa Polski do Ziem Zachodnich? Episkopat Polski uczynił to już przez usta śp. kardynała Hlonda. Po zawarciu „Porozumienia" wystosowany był w październiku 1950 roku do Ojca Świętego „Memoriał", przedstawiający stan życia kościelnego w administracjach apostolskich. Wskazywaliśmy, w pełnym przekonaniu, że powrót Polski nad Odrę i Nysę, to jest zarazem powrót Kościoła na ziemie ongiś sprotestantyzowane, zwłaszcza w Ziemi Lubuskiej i na Pomorzu Zachodnim. Na tych terenach żyje dziś przeszło 7 milionów katolików; pracuje wśród nich prawie 3 tysiące kapłanów. Przecież na terenie samej tylko diecezji gorzowskiej jest czynnych przeszło tysiąc świątyń i kościołów pomocniczych, podczas gdy przed wojną liczba ich nie dochodziła setki. Kościół katolicki wrócił wraz z ludnością polską tu, skąd był przed wiekami wyparty przez reformację luterańską.

Fakt ten jest oczywisty i należycie doceniony przez Stolicę Świętą. Nie szczędziliśmy czasu, by to należycie naświetlić w Rzymie. A trzeba przyznać, że i Ojciec Święty nie żałował swego czasu, by tych naszych wyjaśnień uważnie wysłuchać. Również w Sekretariacie Stanu poświęcono nam wiele uwagi i najlepszej woli zrozumienia naszych oświetleń.

Jak zatem określiłby Ks. Prymas stanowisko Stolicy Apostolskiej wobec kościelnego problemu Ziem Zachodnich?

Pogląd społeczeństwa, Episkopatu polskiego i Rządu na sprawę Ziem Zachodnich jest jednolity. Wie o tym Stolica Święta, ze stanowiskiem tym liczy się i ma pełne dlań zrozumienie.

Stolica Święta nie jest skłonna do deklaracji słownych. Nie brak jednak faktów, które niekiedy więcej mówią, niż słowa. A jest niewątpliwym faktem, że Stolica Św. przyjęła do wiadomości zorganizowanie przez kardynała prymasa Hlonda życia kościelnego na Ziemiach Zachodnich. Co więcej, Stolica Święta pozwoliła na stworzenie tu kościelnych instytucji, które przysługują kanonicznie określonym organizmom kościelnym. Stolica Święta pozwoliła na zorganizowanie kurii diecezjalnych, sądów duchownych, seminariów duchownych. A więc Stolica Św. liczy się z tym, że kościelne życie polskie będzie się tu nadal rozwijać, będzie się stabilizować i przybierać coraz to doskonalsze formy.

Stolica Święta przyjęła też do wiadomości i nasze postulaty, dotyczące organizacji kościelnej na Ziemiach Zachodnich. Powzięła nawet takie decyzje, które mają wielkie znaczenie, dla pomyślnego ułożenia stosunków kościelnych. A chociaż realizacja tych decyzji wymaga jeszcze czasu, to jednak tworzą one fakty historyczne, będące nowym dowodem liczenia się Stolicy Św. z prawami i potrzebami polskiego życia kościelnego na Ziemiach Zachodnich.

Dochodzą nas coraz liczniejsze echa ostrej kampanii rewizjonistycznej i antypolskiej rozwijającej się w zachodnich Niemczech. W kampanii tej, niestety, czynny udział biorą tak katolicy świeccy jak i poszczególni przedstawiciele niższego i wyższego duchowieństwa niemieckiego. Czy wolno zapytać co sądzi o tej sprawie Ksiądz Prymas?

Społeczeństwo polskie jest słusznie zaniepokojone odgłosami propagandy antypolskiej, która coraz silniej podnosi głos przeciwko granicom Polski nad Odrą i Nysą. Podzielamy ten niepokój, bo widzimy w odgłosach antypolskich grozę dla pokoju. A ojczyźnie naszej tak bardzo potrzeba pokojowej pracy, by zdołała odbudować życie swoje gospodarcze i zabliźnić rany, zadane naszemu dorobkowi biologicznemu i kulturalnemu. Mielibyśmy nawet prawo oczekiwać od narodu niemieckiego, a zwłaszcza od katolików niemieckich, czegoś innego. Wszak moralność katolicka każe uznać w sumieniu odpowiedzialność za wywołaną wojnę, której ofiarą padła m. in. Polska. Katolicy niemieccy muszą być świadomi ciężkich krzywd, jakie wyrządzono państwowości polskiej, polskiej kulturze narodowej w czasie tej wojny. Jakie racje zdołają usprawiedliwić wymordowanie tylu milionów obywateli polskich? — Czym da się uzasadnić bezprzykładne wprost w dziejach zburzenie tak wielkiego miasta, jak stolica Polski — Warszawa? Czyny te dotąd wołają o sprawiedliwość. Jeśli Opatrzność Boża chciała nas mieć, właśnie teraz, znowu na Ziemiach Odzyskanych, to w tym wymownym fakcie widzę nie tylko uznanie praw historycznych, ale i wyraz sprawiedliwości, która dokonuje restytucji. Widzę też w tym fakcie i ostrzeżenie dla „narodów krwawych" — jak je nazywa Pismo św., by powściągały swe wojenne zapędy, gdyż bezkarnie ujść nie mogą. Katolicy zaś niemieccy muszą zrozumieć, że dzieło sprawiedliwości, za wyrządzone światu w czasie wojny krzywdy, nie może być bezbolesne.

Świadomi swych praw i doznanej sprawiedliwości dziejowej, utrzymujemy nasz słuszny niepokój w granicach dozwolonych dla Narodu znającego swą godność i wierzącego w Opatrzność Bożą. I dlatego nie przerywamy naszej spokojnej pracy, gdyż praca, wkładana w odbudowę Ziem Odzyskanych, jeszcze umacnia nasze do nich prawa.

Nie jest rzeczą księży biskupów, jako przedstawicieli Kościoła, wydawać deklaracje i przemawiać na wiecach. To należy do dyplomatów i polityków. Natomiast katolicy, jako członkowie społeczności państwowej, mają spełnić swój obowiązek — obrony praw Polski do Ziem Zachodnich.

Gdy jednak wzmaga się ta działalność nieprzyjazna, która mogłaby zakłócić spokojną pracę ludu naszego na Ziemiach Zachodnich — by dać wyraz naszemu przekonaniu, stajemy wśród tego ludu — wraz z nim modlimy się o pomyślność ojczyzny. Błogosławimy życiu i pracy tego ludu nad uprawą roli, nad rozbudową fabryk i kopalń, nad odbudową miast odzyskanych. Stajemy na ambonach i pouczamy ten lud o cnotach, które są niezbędne dla pomyślności doczesnej i jako środek do postępu duchowego.

Nasza spokojna obecność wśród tego ludu, nasza wspólna modlitwa, nasze błogosławieństwo są najwłaściwszym dla nas i najskuteczniejszym wyrazem naszego stanowiska w obronie Ziem Zachodnich.

Na zakończenie jeszcze jedno pytanie: na czym polega istotna rola współczesna Kościoła na Ziemiach Zachodnich?

Odpowiem Panu przykładami i spostrzeżeniami z naszej podróży. Najwymowniejszych wrażeń doznałem na dwóch końcach swej, od kilku miesięcy zamierzonej podróży: w Cybince pod Słubicami i w katedrze św. Jakuba w Nysie. W Cybince widziałem Polskę w miniaturze. Lud, który tu się modlił, w starym do niedawna protestanckim zborze, dziś świątyni katolickiej, był uosobieniem wspólnoty narodu. Bo chociaż przywędrowali tu ze wszystkich stron Rzeczypospolitej, to jednak rychło odnaleźli wspólny język. Porozumieli się u stóp ołtarzy Pańskich. Tu opuścił ich lęk przed przyszłością, niepewność losu, bo tu usłyszeli znane sobie wołanie Kościoła: *Sursum corda*. Tu zaśpiewali sobie społem: Serdeczna Matko. W tej nucie mieści się cała gama ozdrowieńczych mocy. Jak doniosłą rzeczą dla narodu, narażonego na zmienne koleje dziejowych przemian, posiadać więź jednej wiary, która zespała przeżycia dziejowe.

A w potężnej katedrze św. Jakuba w Nysie? — Późnym wieczorem zgromadził się tu lud pracowity, pochodzący z całej niemal Polski. Świątynia była wypełniona po brzegi. Nie sposób powtarzać słowa doń wypowiedziane.

Trudno jednak o bardziej wymowny dowód jednoczącej Naród mocy Kościoła. W tej rzeszy ludzkiej widzimy dzieło tych dziejowych szlaków, które ze wzgórza Lecha wiodły poprzez Wrocław aż ku południowym rubieżom Rzeczypospolitej, w ramionach metropolii gnieźnieńskiej. Całe wieki pracowały nad wyżłobieniem tego „bursztynowego szlaku wiary". Przez Bramę Kłodzką szli ku Gnieznu apostołowie wiary, a stąd roznosili ją wszystkim pokoleniom i wiekom idącej w nowe życie Polski. A dziś, w wyniku trudnych do przewidzenia przemian dziejowych, dzieci tej Polski wypełniły katedrę, budowaną przed wiekami polskimi dłońmi. Przemieszał nas Bóg, jak nowy zaczyn w dzieży. Widocznie ma być wypieczony nowy bochen chleba, którym ma się żywić odrodzona Polska. — Jest nad czym myśleć! A jednocześnie jest czemu wierzyć. Bo nie kaprys dziejowy to sprawił. Jest potężna wymowa w tym fakcie idącej na zachód Polski.

Idzie tylko o to, byśmy swoją dziejową godzinę rozpoznali i wypełnili wszystkie zadania na tę godzinę podyktowane. Stąd odpowiedzialność nasza nie tylko za osobiste życie w tej ziemi, ale i za dziejowe zadanie Narodu. Od każdego z nas, od naszej wiary w przyszłość, od zdolności do poświęceń, od ducha ofiary, od wydajności naszej pracy — zależy, czy wypełnimy zadanie dziejowe godziny Polski nad Nysą.

Te myśli przekazaliśmy i ścianom katedry św. Jakuba i murowi serc ludzkich. Są one wyrazem myślenia społeczeństwa katolickiego w Polsce i zasadą postępowania duchowieństwa i Episkopatu na Ziemiach Zachodnich.

Gniezno, 29 [illegible] 1951

ARTUR HUTNIKIEWICZ

O STEFANIE GRABIŃSKIM

Przed piętnastu laty, dnia 12 listopada 1936 roku, umierał na przedmieściu Lwowa Stefan Grabiński. Umierał w całkowitym osamotnieniu, pogrzebany w niepamięci już za życia, wśród głuchego milczenia i ciszy. Ta cisza i to milczenie, w których utonęły ostatnie jego lata, trwają nadal; generacja starsza zdołała już o nim zapomnieć, młodzi nie znają go zapewne wcale. A przecież ten ciekawy człowiek i oryginalny twórca miał w swoim życiu okres rozgłosu, a jego dzieło niezwykłe, wyjątkowe, egzotyczne niemal dzięki swej absolutnej nowości, stanowi klasę samo dla siebie i odrębny, samoistny rozdział w dziejach literatury polskiej. Zanim nauka zważy i oceni twórczość tego pisarza w rzeczowym studium monograficznym (studium takie znajduje się na warsztacie), w piętnastą rocznicę zgonu należy się Stefanowi Grabińskiemu przynajmniej skromne przypomnienie.

Najpierw, dla orientacji kilka dat biograficznych. Urodził się w r. 1887 w Kamionce Strumiłowej. Dzieciństwo przepędził w Łące pod Samborem, gdzie ojciec jego Dionizy był naczelnikiem sądu. Gdy miał lat dwanaście, po przedwczesnej śmierci ojca, rodzina Grabińskich przeniosła się do Lwowa. Odtąd już na zawsze losy pisarza związane będą z tym miastem. Tu skończył V gimnazjum, tzw. bernardyńskie, tu w latach 1905—1910 studiował polonistykę i filologię klasyczną i tu w ciągu następnych lat dwudziestu był nauczycielem szkół średnich. Życie Grabińskiego nie obfitowało w nadzwyczajne wydarzenia czy przygody. Było to typowe życie samotnika, przemijało niepostrzeżenie, z dala od zgiełku wielkich wydarzeń, wśród uciążliwej, męczącej pracy zawodowej, w ustawicznym pasowaniu się z nieuleczalną chorobą i wśród fantastycznych, nieprawdopodobnych przygód duchowych. Dwa tylko razy udało się Grabińskiemu odetchnąć powietrzem szerszego świata, raz w r. 1927, w czasie kilkutygodniowej podróży do Włoch, kiedy to zwiedził Rzym a dłużej zatrzymał się w Wenecji, i powtórnie w r. 1929, w czasie parodniowej już jedynie wycieczki nad Morze Czarne do Konstancy. I to już właściwie wszystko. Rychło po powrocie z Rumunii gwałtowny nawrót nękającej pisarza przez całe życie choroby powalił go na łoże, z którego nie miał się już nigdy dźwignąć. Przez siedem lat dogasał w Brzuchowicach pod Lwowem, w zupełnym zapomnieniu i milczeniu.

To życie samotne, ciche, odarte z wszelkich barw i uroków zewnętrznych, było jednak wypełnione jedną potężną, namiętną pasją — pasją tworzenia Grabiński rozpoczął pisać już w latach gimnazjalnych i uniwersyteckich. Gdy był jeszcze studentem, w r. 1909 wydał własnym nakładem skromniutki tomik opowiadań pt. „Z wyjątków. W pomrokach wiary“, kryjąc się wstydliwie pod znamiennym, z młodopolska brzmiącym pseudonimem Stefan Żalny. Te pierwociny były bardzo słabe i słusznie poszły w niepamięć. Mimo braku jakiejkolwiek zachęty z zewnątrz Grabiński podjął w latach następnych upartą i niezmordowaną pracę nad sobą, by zadebiutować powtórnie w r. 1918 nowym tomikiem nowel „Na wzgórzu róż“, tomikiem, który pierwszy liczy się w jego bibliografii. Karol Irzykowski i Wilam Horzyca utorowali mu drogę do czytelników i objawili światu literackiemu, ogłaszając w krakowskich „Maskach“ i w warszawskim „Pro arte“ przychylne recenzje o książce, która bez wątpienia była manifestacją mocnego i oryginalnego talentu. Na lata 1918—1922 przypada jedyny w życiu pisarza krótki okres rozgłosu, wziętości i sławy. Pozycję jego gruntuje i umacnia zwłaszcza tom fascynujących nowel kolejowych „Demon ruchu“ (1919, 1922), w którym precyzja obserwacji i doskonałe opanowanie realiów życia kolejowego splata się z urzekającą poezją metafizycznych przeczuć. Każdy rok przynosi teraz nowe pozycje w dorobku pisarza: 1920 — tom nowel „Szalony pątnik“, 1921 — „Niesamowitą opowieść“, 1922 — „Księgę ognia“. Grabiński wychodzi w tych latach poza nowelę, która stanowiła dotąd dominujący w jego twórczości rodzaj, i próbuje sił na polu dramatu i powieści. W r. 1920 wystawia w Warszawie i w Krakowie dramat fantastyczny „Willa nad morzem“ („Ciemne siły“), w 1921 w Krakowie trylogię dramatyczną „Zaduszki“. Trzeci dramat „metapsychiczny“, „Manowiec“ („Larwy“), nie doczekał się realizacji ani nie był nigdzie drukowany. Rok 1924 przynosi pierwszą powieść: „Salamandrę“.

Po tym krótkotrwałym wzniesieniu fala zainteresowania twórczością Grabińskiego opada, by się już nigdy nie wznieść ponownie. Grabiński nie posiadał umiejętności autoreklamy, był przekonany, że rzetelna sztuka nie wymaga jakichś specjalnych zabiegów propagandowych, ceniąc zaś sobie wysoce niezależność, trzymał się na uboczu, z dala od wszelkich koterii i kapliczek literackich. Była to taktyka dość ryzykowna w dobie zmerkantylizowania literatury i wobec absolutnej przewagi Warszawy na rynku literackim, tym więcej, że rodzaj uprawianej przez niego twórczości zwężał i tak, automatycznie niejako, zasięg rezonansu i popularności. Nie zabiegając o poparcie i koneksje, skazywał się na obojętność krytyków. Toteż utwory z lat następnych. powieści: „Cień Bafometa“ (1926), „Klasztor i morze“ (1928), „Wyspa Itongo“ („Król Czandaura“, 1931, 1936) i tom nowel „Namiętność“ (1939) nie budzą w prasie literackiej odzewu równie żywego jak pierwsze publikacje pisarza. Spośród przyjaciół i szczerych wielbicieli jego talentu dotrzymywali Grabińskiemu wierności jedynie Irzykowski i najbliższy w owych latach powiernik myśli i pomysłów, Jerzy Eugeniusz Płomieński. Ich to inicjatywie i staraniom zawdzięczał pisarz nagrodę literacką miasta Lwowa, którą mu przyznano w r. 1931 w uznaniu dla twórczości oryginalnej i z uwagi na poważnie zagrożony stan jego zdrowia. Było to jedyne w owych latach pomyślne wydarzenie w życiu Grabińskiego. Nagroda ocaliła mu bezsprzecznie kilka lat życia, umożliwiając podjęcie intensywniejszej kuracji, i — co może ważniejsze — pokrzepiła moralnie pisarza, który na wyrazy uznania był nadzwyczaj wrażliwy i czuły, a zmierzch swej literackiej sławy przeżywał głęboko i boleśnie. Mimo ciężkiej niemocy Grabiński pracował do końca, pracował nad powieścią, która miała stanowić w jego twórczości punkt zwrotny ze względu na całkowitą eliminację pierwiastka fantastycznego. Powieści tej, noszącej tytuł „Motywy docenta Ponowy“, Grabiński ukończyć się nie zdołał.

*

Grabińskiego zwykło się wiązać z Młodą Polską. Ta rzecz wymaga bliższych wyjaśnień i niejakiej korektury. Bez wątpienia Grabiński-twórca dojrzewał w okresie żywych jeszcze tradycji modernizmu. Jego literackie prymicje wykazują aż nadto wyraźne ślady oddziaływania młodopolskiej maniery stylistycznej. Sam pisarz nie wypierał się tych związków, w modernizmie widział płodny w pozytywne następstwa „bunt ducha“. Ale nieporozumieniem jest widzieć w Grabińskim epigona. Ten termin ma w sobie coś pejoratywnego. Epigonizm, zjawisko schyłkowe, właściwe epokom przemijającym, owo galwanizowanie idei niegdyś żywych i porywających, które straciły jednak swoją moc i znaczenie, a załamane w twórczości talentów naśladowczych, miernych i ubogich świecą już tylko słabym odblaskiem wielkich pierwowzorów, epigonizm tak pojęty jest zjawiskiem całkowicie innorodnym w stosunku do na wskroś oryginalnej, płynącej z najgłębszych doświadczeń i przemyśleń osobistych twórczości Grabińskiego. Typ pisarstwa, reprezentowany przez niego, nie ma właściwie precedensów w literaturze polskiej. Jeśli co wiąże Grabińskiego z modernizmem polskim i europejskim, to jedynie najogólniejsze podobieństwo postawy wobec świata, wspólnota zainteresowań dla niektórych aspektów rzeczywistości przy całkowicie oryginalnym ich traktowaniu Jego osobowość psychiczna i artystyczna dojrzała i uformowała się ostatecznie w pierwszym dwudziestoleciu naszego wieku. Jest to okres wciąż jeszcze trwającego potężnego przypływu i stałego wznoszenia się fali spirytualizmu, obudzenia myśli i uczuć religijnych, gwałtownej reakcji przeciw minimalistycznopozytywistycznej filozofii poprzedniego okresu, to epoka bergsonizmu, schopenhaueryzmu, wzmożonego zainteresowania mistyką Wschodu, masowych ruchów pseudoreligijnych: teozofii, antropozofii i spirytyzmu. W tych różnorakich, a często jakościowo niewspółmiernych manifestacjach jednolitego w zasadzie prądu duchowego przejawiał się niepokój epoki przełomowej, wstrząsanej konwulsjami wojen, oczekującej nowych, jeszcze straszliwszych kataklizmów. Literatura i sztuka europejska nosi piętno tych niepokojów, wyraża nadzieje i obawy swego czasu. Twórczość Grabińskiego wyrasta bezpośrednio z owego podłoża europejskiego. Tkwiąc w swojej prowincjonalnej pustelni, Grabiński przybliżał sobie Europę poprzez książki. Znał ważniejsze języki nowożytne. To ułatwiało kontakty. Typowy introwertyk, marzyciel, mało aktywny życiowo, stwarzał sobie swój własny świat, w którym granice między rzeczywistem a wymarzonem zacierały się, nie istniały.

Niewątpliwe związki z nastrojem czasów nie tłumaczą jednak wszystkiego. Dzieło Grabińskiego jest niezrozumiałe bez uwzględnienia jego najbardziej osobistych, intymnych przesłanek genealogicznych. Autobiograficzne wyznania pisarza rozświetlają w niejakim stopniu tajemnicę tej niezwykłej twórczości. Jako dziecko, bardzo wątłe i delikatne, Grabiński rósł w atmosferze swoistej izolacji i odcięcia od świata pod troskliwą opieką kobiet: matki, babki i sióstr. W tej aurze tkliwości wrodzona skłonność do marzeń, tak znamienna dla schizotymicznych natur, znajdowała idealne warunki spotęgowanego rozwoju. Gdy okoliczności skazywały na bezczynność fizyczną, życie wewnętrzne już w dziecku pulsowało rytmem wzmożonym. Podniecana samotnością wyobraźnia odkrywała w otaczającej rzeczywistości cuda i uroki nie istniejące, snuła baśniowe marzenia na kanwie zwykłych, powszednich spraw. Wpływ matki, kobiety głęboko religijnej, rozbudzał skłonności mistyczne. Życie wydawało się odurzającą, kuszącą tajemnicą, cudowną przygodą, najzwyczajniejsze zdarzenia nabierały jakiejś symbolicznej wymowy, stawały się znakami czegoś, co — niewyrażalne — kryło się poza zjawiskowym kształtem rzeczy.

Z biegiem czasu do tego oczarowania odurzającym odmętem życia dołączył się motyw inny. Nad domem Grabińskich zaciążyło przemożnie widmo klęski. Po ojcu, zmarłym przedwcześnie na gruźlicę, dzieci przejęły w dziedzictwie konstytucję fizyczną nadzwyczaj wątłą. Mijały lata w ustawicznym drżeniu i lęku o los istot najbliższych. Odeszły po kolei obie siostry pisarza w pełni rozkwitu, zaledwie dobiegłszy lat dojrzałości. Między 15 a 21 rokiem życia ważyły się losy samego pisarza. Ocalał wtedy niemal cudem, aby aż do ostatnich dni swej ziemskiej egzystencji toczyć beznadziejną walkę z wyniszczającym organizm wrogiem. Tak więc już w latach wczesnej młodości życie ukazało Grabińskiemu swe janusowe oblicze — jedno jasne i promienne, drugie posępne i złowrogie. Do upojenia pięknem świata dołączyło się uczucie lęku przed nieznanem, groźnem, co czai się w pobliżu niewidzialne, aby się objawić znienacka, o niewiadomej godzinie. W granicach tych dwu przeciwstawnych nastrojów porusza się myśl i uczucie Grabińskiego. Jest to rytm naczelny jego jaźni i jego twórczości: oczarowanie krasą świata, poddawanie się jego pięknu i urokom, chęć istnienia za wszelką cenę, a z drugiej strony lęk przed widmem nieuchronnej, nieodwracalnej katastrofy.

Z takich przesłanek intelektualnych i uczuciowych wyrastało dzieło, które miało być nie tyle ucieczką od zawodów i rozczarowań życia, ile twórczym „opanowywaniem cudownego żywiołu, wprowadzaniem ładu i porządku w chaos życiowych fenomenów“, a jednocześnie sprawdzaniem ustawicznym najgłębszej wiary pisarza w wieczystość i nieśmiertelność bytu. Upewnić się, że poza rubieżami śmierci istnieje życie, inne, doskonalsze, wieczne — oto dominujący motyw twórczości Grabińskiego. Fantastyka miała być w rozumieniu poety przerzucaniem mostów między rzeczywistością obiektywną a tym przeczuwanym intuicyjnie innym światem, próbą „uświadomienia go sobie, uplastycznienia, przesunięcia w pole zmysłowego widzenia“. Grabiński miał swoje ulubione, jemu tylko właściwe a bardzo znamienne powiedzenia, zwroty metaforyczne, obsesje obrazowe: „tamta strona“ i „tamten brzeg“, „tajemnicze błonia, rozciągające się poza rubieżami życia i śmierci“, „sygnały z tamtego brzegu“; postać strażnika, czuwającego na granicy dwu światów v jakiejś „ultima Thule“, pojawia się bardzo często w jego utworach w najrozmaitszych wariantach. Te zwroty i obrazy — a jest ich o wiele więcej — i ich sens znaczeniowy określa wyraźnie krąg tematów, w jakim poruszała się wyobraźnia pisarza.

Fantastyka Grabińskiego ma podkład filozoficzno-psychologiczny. Grabiński rozczytywał się w Fechnerze, w Williamie Jamesie, w Bergsonie, zachwycał się rozprawą Leona Chwistka „Wielość rzeczywistości“. Jego stosunek do systemów i koncepcji filozoficznych był — rzecz jasna — stosunkiem artysty. Wydobywał z nich i na swój sposób spożytkowywał w dziele to wszystko, co w systemach tych było poezją. Z oczarowania Bergsonowskim *élan vital* wyrósł „Demon ruchu“, ta poezja ruchu, który dla Grabińskiego był *spiritus quidam immanens mundi* według słów starego traktatu *de motu*. W systemach filozofii współczesnej nęciły Grabińskiego ich metafizyczne i pluralistyczne tendencje. To zgadzało się z jego intuicyjnym przeświadczeniem i najgłębszą wiarą w wielopostaciowość i trwałość istnienia.

Najwięcej jednakże materii tematycznej dostarczała pisarzowi fenomenologia życia psychicznego. Interesowały go szczególnie wszelkie anomalie, odchylenia od normy, zjawiska dziwaczne i ekscentryczne oraz cała ta dziedzina tajemniczych napoły fenomenów, którą zajmuje się nowoczesna parapsychologia czyli, popularnie mówiąc, „wiedza tajemna“, okultyzm i mediumizm. Grabiński posiadał w tej dziedzinie zdumiewającą erudycję. Ale śmieszną jest rzeczą mieć go za okultystę czy jakiegoś poszukiwacza łatwych, sensacyjnych efektów. Grabiński traktował sprawę z całkowitą powagą. Nie dla olśniewania oryginalnością pomysłów powracał w swych utworach uporczywie do owych zjawisk dziwnych i niesamowitych, lecz dlatego, że dostrzegał czy dopatrywał się w nich znaków i symbolów, za pośrednictwem których sygnalizowała swoje istnienie ta inna rzeczywistość, widział w nich — jak zwykł mówić — protuberancje życia, poprzez które wygaduje się niekiedy „zazdrosne o swe tajemnice pandemonium bytu“.

Grabiński był organizacją duchową na wskroś religijną. Bez wątpienia wiele jego pomysłów i koncepcji, w które zdawał się wierzyć, trudno pogodzić z ortodoksją katolicką. Ale jego postawa wobec świata była postawą człowieka najgłębiej wierzącego w metafizyczny sens życia. Czar katolickiej liturgii, piękno obrzędów, ich głęboka, symboliczna wymowa, urok pieśni kościelnej, sztuki, poezji religijnej, cisza eremów i klasztorów, to życie utajone, przemijające w milczeniu, z dala od zgiełku świata, a poświęcone całe kontemplacji rzeczy boskich — wszystko to nęciło jego wyobraźnię i zajmowało poczesne

(Dokończenie na str. 4).

ODEZWA EPISKOPATU POLSKI

W SPRAWIE KATOLICKIEGO UNIWERSYTETU LUBELSKIEGO

W dniu 4 listopada br. Katolicki Uniwersytet Lubelski rozpoczął 33 rok akademicki. W uroczystości tej wzięła udział Komisja Biskupia Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Jednocześnie podaliśmy do wiadomości młodzieży akademickiej, że kierownictwo uczelni sprawować będzie nowy rektor, wybrany przez Senat, a zatwierdzony przez Episkopat i władze Rzeczpospolitej Polskiej.

Uczelnia lubelska przeszła w ciągu swego istnienia dość ciężką drogę. Zrodzona z ofiarnego czynu śp. K. Jaroszyńskiego i śp. rektora Idziego Radziszewskiego, biskupów polskich i duchowieństwa, do dziś dnia żyje duchem tej ofiary i poświęcenia jej rektorów, profesorów i młodzieży katolickiej. Boć wszyscy pracują tu w niezwykle trudnych warunkach. Zwłaszcza obecnie, chociaż uniwersytet zaleczył rany zniszczenia wojennego, stoją przed nim nowe wielkie zadania. Ogromny napływ młodzieży akademickiej, przekraczający w br. trzy i pół tysiąca słuchaczy, młodzieży przeważnie ze wsi, często bardzo ubogiej, domaga się rozbudowy i pomocy materialnej.

Uniwersytet Katolicki musi wybudować nowe domy akademickie, rozbudować zakłady naukowe, pracownie, biblioteki, niektóre gmachy przebudować, by pomieścić tłumy młodzieży przybywającej po wiedzę katolicką.

A co jest szczególną troską naszą — to gwałtowna potrzeba pomocy materialnej. Młodzież jest zubożała, często chorowita, niedożywiona. Trzeba stworzyć stypendia i pomoce naukowe dla wielu bardzo zdolnych i pracowitych akademików i akademiczek.

Pomimo tych braków uczelnia trwa, boć jest potrzebą Kościoła, młodzieży i społeczeństwa katolickiego. Co więcej, zyskuje sobie coraz bardziej na popularności. Duchowieństwo i społeczeństwo katolickie coraz czynniej popiera wysiłki Episkopatu i Senatu Uniwersyteckiego. Wzrost ofiar na tace kościelne i składek na Towarzystwo Przyjaciół Katolickiego Uniwersytetu — jest bardzo wymowny.

Tym spokojniej patrzymy w przyszłość, ufni, że otrzymamy od was, katolicy, coraz obfitsze ofiary w świątyniach, składki członkowskie, a nawet całe stypendia akademickie dla najuboższej młodzieży.

Złożyliśmy w wasze dłonie, katolicy, nasze troski, ufni w pomoc Bożą i waszą. Pragniemy zapewnić, że stać będziemy, jak dotąd na straży czystości nauki katolickiej, która w umysłach i woli dzieci waszych ma służyć Bogu i ojczyźnie.

Opatrzność Boża, która wspierała wysiłki nasze przez lat z górą trzydzieści i dziś nas nie opuści. Oddajemy uczelnię jej profesorów i młodzież Bożemu Sercu Jezusowemu, by kształtowało serca wszystkich według Serca Swego.

Lublin, dnia 4 listopada 1951

(—) Stefan Wyszyński, Arcybiskup, Prymas Polski

(—) Piotr Kałwa, Biskup Lubelski, Wielki Kanclerz KUL-u

(—) Eugeniusz Baziak, Arcybiskup

S. MARIA RENATA

JAK BŁOG. PIUS X ZOSTAŁ PAPIEŻEM

(Niedawna beatyfikacja papieża Piusa X wywołała szereg nowych prac o wielkim papieżu. W maju br. wyszła w Rzymie niezmiernie ciekawa praca p. Pierluigi Occelli pt. Il Beato Pio X, Papa". Na niej to głównie oparty jest niniejszy artykuł, chociaż jego autorka posługiwała się także pomocniczo pracą dawniejszą, pisaną jeszcze za życia Piusa X, przez Msgr. de Collewille, który był „kamerierem" Piusa X.)

Dnia 20 lipca 1903 r. zmarł papież Leon XIII, któremu „przepowiednia" Malachiasza dawała miano *Lumen de coelo* („Światłość z nieba"). Na łożu śmierci, 93-letni starzec, który był niepoślednim poetą, napisał po łacinie utwór pt.: *Nocturna ingemiscentis animae meditatio*. To „nocne rozmyślanie" wielkiego papieża zaczyna się od słów: *Fatalis ruit hora, Leo, jam tempus abire est* („Leonie, wybiła naznaczona ci godzina: czas już odejść").

Umierający papież rozmyśla nad swym długim życiem. Ogarnia go lęk na wspomnienie olbrzymiej odpowiedzialności najwyższego urzędu, sprawowanego przez ćwierć wieku z górą; drży przed surowym sądem, który go czeka. Wreszcie myśl kojąca niesie mu pociechę: *Christus adest miserans* — „Chrystus miłosierny wspiera"...

Fatalis ruit hora... Godzina przeznaczona wybiła również dla tego, który miał nastąpić po Joachimie Peccim na Stolicy Piotrowej.

Patriarcha wenecki nie przeczuwał takiego obrotu wypadków. Powołany do Rzymu na konklawe, wyjechał 26 lipca, z sekretarzem swym, monsignorem Bressan, i z wiernym kamerdynerem Janem Abbiategrasso; kazał się zawieźć na dworzec, nie swoją gondolą o czterech wiosłach, którą znało całe miasto, lecz zwykłą czarną, o jednym gondolierze, — niby fiakrem. Mimo to na dworcu zebrały się tłumy. Stara żebraczka spod kościoła św. Marka, patrząc z miłością na kardynała, zawołała z podziwem: „Co za piękny to będzie Pius X!" Tłum cisnął się dokoła ukochanego patriarchy, wołając: *Ritorni, ritorni presto!* („Powracaj, powracaj prędko") „Żyw czy umarły — powrócę!" — odpowiedział kardynał. Nie miał już powrócić ani żyw, ani umarły.

Nazajutrz 27 lipca kardynał Sarto przybył do Rzymu i zamieszkał w Seminarium Lombardzkim w nowej dzielnicy Prati di Castello. Po południu udał się do bazyliki watykańskiej i modlił się gorąco na grobie Księcia Apostołów i na tymczasowym grobie Leona XIII, który miał spocząć później, wedle swego życzenia, w Bazylice Laterańskiej.

Przez 3 następne dni brał udział w dziewięciodniowych nabożeństwach żałobnych za duszę zmarłego papieża, które się odbywały w Kaplicy Sykstyńskiej (pierwszych sześć odbyło się już poprzednio w bazylice św. Piotra). Na 8-bocznym katafalku umieszczono cztery napisy głoszące wierszem łacińskim pochwałę świątobliwego życia Leona XIII i jego zasługi. W głębi kaplicy, pod groźnym Sądem Ostatecznym Michała Anioła, rozwieszono nad ołtarzem bezcenny arras Rafaela, przedstawiający wskrzeszenie Łazarza. Don Lorenzo Perosi dyrygował swoim chórem śpiewającym dwa jego żałobne utwory: *Dies irae* i *Libera*.

Wzdłuż ścian kaplicy, tuż pod freskami fiorenckich quattrocentistów ustawiono 64 trony dla kardynałów mających brać udział w wyborze nowego sternika nawy Piotrowej. Dwa tylko były puste: 90-letniego chorego kardynała Celesia z Palermo i kardynała Moran z Sydney, który nie zdążył jeszcze dopłynąć z Australii.

W dniu 30 lipca przypadł kardynałowi Sarto zaszczyt odśpiewania jednej z pięciu rytualnych absolucji przy katafalku, co było ukończeniem uroczystości pogrzebowych. (Samo złożenie zwłok do tymczasowego grobu u św. Piotra odbyło się już 25 lipca.) Nazajutrz, 31 lipca miało się rozpocząć konklawe.

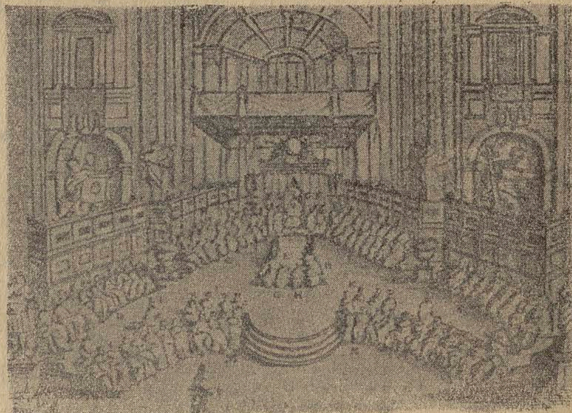
Po południu kardynał Sarto przyjmował odwiedziny. Między innymi stawił się margrabia Crispolti, który mu rzekł: „Pragnę — i sądzę, że wolno wiernym pragnąć — aby wybrano jednego z kardynałów rezydujących w swoich diecezjach". Patriarcha wenecki zgodził się z tym zdaniem, bo — mówił — trzeba kogoś mającego osobiste doświadczenie i orientację w zawiłych zagadnieniach i znającego palące potrzeby dzisiejszego społeczeństwa. Na zakończenie zaś dodał: „Zamiast robić rozmaite przypuszczenia i wyrażać daremne życzenia, należy pragnąć tylko jednego: aby lekkim był krzyż papiestwa temu, któremu Bóg zamierza go nałożyć!" Hrabinie Carpegna, rodem z Wenecji, która wyrażała pragnienie swoje i rodzinnego miasta: „Eminencjo, pragniemy wszyscy powitać cię jako papieża" — odpowiedział „Już i tak zbyt wielki zaszczyt mnie spotyka, że Bóg posługiwać się raczy takimi jak ja pośrednikami w wyborze nowego papieża!" Dobremu znajomemu powiedział z właściwym sobie humorem: „Dzisiaj rano, podczas gdy Św. Kolegium Kardynalskie kończyło nabożeństwo dziewięciodniowe, spojrzałem wokoło i pomyślałem: Z tych to szeregów wyjdzie ten nieszczęśnik!" Pewnemu kapłanowi weneckiemu, który mu na wyjezdnym przepowiadał tiarę, kardynał Sarto odpowiedział żartobliwie: „Nie przypuszczam, aby Duch święty popełnił taką pomyłkę".

Mimo wszystko jednak niewyraźny lęk owładnął nim, gdy po południu 31 lipca żegnał się z alumnami Seminarium Lombardzkiego, aby udać się na konklawe. Jeden z nich opowiedział potem, że kardynał miał łzy w oczach, ale usiłował żartować mówiąc: „Teraz idziemy do więzienia!"

Większa część kardynałów przewidywała dłuższe trwanie konklawe. Toteż wielu z nich miało ze sobą spory bagaż. Kardynał Sarto wziął tylko skromną torbę z czarnego płótna i teczkę z papierami. Na wyjezdnym z Wenecji monsignore Bressan chciał zapakować więcej rzeczy, lecz patriarcha oparł się temu: „Jedziemy przecież na parę dni do Rzymu, — nie do Ameryki!"

Zanim zamknięto klauzurę, kardynał Lecot, arcybiskup Bordeaux, zwrócił się po francusku do swego sąsiada, nieznanego mu kardynała Sarto, z zapytaniem, jaką zajmuje stolicę biskupią; ten odpowiedział mu po łacinie, iż nie umie po francusku. Na to usłyszał kategoryczne: *Ergo non es papabilis!* („A więc nie możesz być papieżem!") *Verum est, Eminentissime Domine, non sum papabilis: Deo gratias!* — brzmiała pokorna odpowiedź („Prawda, eminencjo — nie mogę być papieżem. Chwała Bogu").

Kardynał Mathieu podał potem do paryskiej *Revue des deux Mondes* swoje wspomnienia z tych historycznych chwil pt.: *Les derniers jours de Léon XIII et le Conclave par un témoin*, które nadały szeroki rozgłos tajnym obradom Św. Kolegium i wywołały później ze strony Piusa X surowy nakaz zachowania w tajemnicy wszystkiego, co się tyczy wyboru papieża, pod karą utraty purpury.



Zgromadzenie kardynałów przed wyborem papieża. Ze starego sztychu.

Tymczasem przygotowywano wszystko do konklawe. Szereg sal poprzedzielano przepierzeniami na cele dla kardynałów i dla dwóch „konklawistów" (sekretarza i służącego), których miał każdy. Apartamenta te były zupełnie odcięte od świata zewnętrznego. Głosowania miały odbywać się w Kaplicy Sykstyńskiej, gdzie nie przechowuje się Najśw. Sakramentu. Wszystkie trony kardynałów wraz z baldachimami były fioletowe, prócz jednego zielonego dla kardynała Oreglii, który nie był mianowany przez Leona XIII, ale jeszcze przez jego poprzednika. Te baldachimy są podniesione, póki trwa interregnum i władza najwyższa spoczywa na Św. Kolegium. Po dokonaniu wyboru zostają spuszczone, prócz tego, który należy do elekta.

Otwarcie — raczej zamknięcie — konklawe naznaczono już na wieczór 31 lipca. Po południu odbyło się zebranie przygotowawcze Św. Kolegium; odczytano konstytucje papieskie tyczące się elekcji; kardynałowie złożyli przysięgę wierności przepisom i udali się do Sykstyny, gdzie wedle starszeństwa zasiedli na tronach. Wraz z nimi weszło trzech wysokich urzędników nie-kardynałów: monsignore Merry del Val, sekretarz konklawe, monsignore Cagliano, gubernator Watykanu i książę Chigi, dziedziczny marszałek konklawe, który złożył osobną przysięgę, że będzie strzegł zewnętrznego bezpieczeństwa i klauzury zebrania. Następnie członkowie Św. Kolegium wrócili do swych cel, a w sąsiedniej Kaplicy Paulińskiej, msgr. Merry del Val przyjmował przysięgę od konklawistów, a także lekarzy, aptekarzy, chirurgów, balwierzy, kucharzy oraz służby — którzy mieli być zamknięci w obrębie konklawe.

O 8 wieczór rozległ się na korytarzach dzwonek i głośne oznajmienie: *Extra omnes!* (niech wyjdą wszyscy). Jednocześnie kardynał camerlengo (Oreglia), dziekan Św. Kolegium, poprzedzony sługami niosącymi zapalone pochodnie, obchodził z mistrzami ceremonii dworu papieskiego korytarze i pokoje, badając, czy nikt niepowołany nie pozostał w klauzurze i czy wszelka komunikacja ze światem zewnętrznym jest uniemożliwiona. Wreszcie wezwał marszałka konklawe i wręczył mu dwa klucze od zewnętrznych zamków jedynych drzwi wchodowych; książę Chigi wyszedł i zamknął je na klucz od zewnątrz, podczas gdy kardynał Oreglia uczynił to samo od wewnątrz.

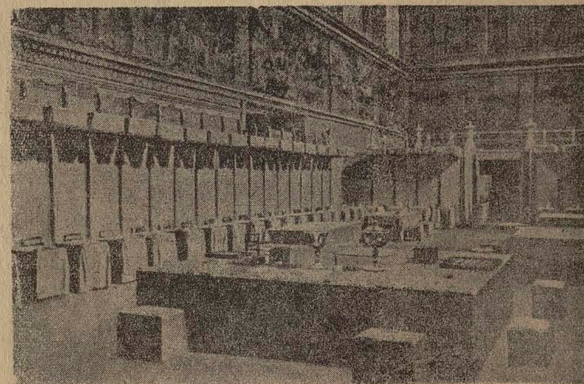
Conclave („pod kluczem") było rozpoczęte.

Nazajutrz, 1 sierpnia, odbyło się przed południem pierwsze głosowanie. Wedle zwyczaju po każdym głosowaniu pali się natychmiast kartki; jeżeli wybór nie jest dokonany, dodaje się garść mokrej słomy i dym unoszący się z dachu Kaplicy Sykstyńskiej jest czarny; jeżeli papież jest obrany — a potrzeba na to 2/3 głosów — podpala się suchą słomą i dym jest biały. Olbrzymie tłumy zgromadzone na placu św. Piotra oczekują za każdym głosowaniem na sfumatę.

Sześć kolejnych głosowań przeszło bez wyniku i tłum za każdym razem rozchodził się zawiedziony do domu. Dzięki kardynałowi Mathieu wiadomo dziś, że na pierwszym głosowaniu kardynał Rampolla, sekretarz stanu Leona XIII i najpoważniejszy kandydat do tiary, otrzymał od razu 24 głosy, kardynał Gotti, karmelita, prefekt Kongregacji Biskupów i Zakonników — 17, kardynał Sarto — 5. Reszta głosów rozbiła się na drobne cyfry.

Należy przypomnieć, że kardynał Rampolla był kandydatem, którego sobie życzyła Francja, a pośrednio też zaprzyjaźniona z nią wówczas Rosja, — Gotti zaś uchodził za kandydata miłego dla Niemiec i Austrii. Ten fakt miał swoje następstwa.

Od mniej więcej 200 lat istniał zwyczaj zwany „ekskluzywą", polegający na urzędowym zastrzeżeniu jakiegoś państwa przeciw wyborowi któregoś kardynała na papieża. Prawo „ekskluzywy" arogowali sobie: cesarz austriacki, król francuski i król hiszpański, — jako przedstawiciele największych kiedyś w Europie państw katolickich.



Wnętrze Kaplicy Sykstyńskiej przygotowane do konklawe

Ostatni raz, tj w 1769 roku, na konklawe, które dało tiarę Klemensowi XIV, państwa te zastosowały ekskluzywę do 23 kardynałów! Od tego czasu zwyczaj ten poszedł w zapomnienie. Aż dopiero teraz cesarz austriacki Franciszek Józef przypomniał go sobie i postanowił założyć veto przeciw kandydaturze kardynała Rampolli. Powierzył tę sprawę kardynałowi Puzynie, biskupowi krakowskiemu. Gdy na trzecim głosowaniu w dniu 2 sierpnia Rampolla otrzymał 29 głosów i już niewiele mu brakowało do potrzebnych 42, stała się rzecz nieprzewidziana: kardynał Puzyna powstał i oświadczył: „Mam zaszczyt w imieniu Franciszka Józefa, cesarza Austrii i króla Węgier, pragnącego użyć dawnego przywileju, ogłosić jego veto przeciw wyborowi Jego Eminencji kardynała Mariana Rampolli del Tindaro!"

Na to kardynał-dziekan Oreglia odpowiedział stanowczo w imieniu Św. Kolegium, że konklawe nie może przyjąć tego oświadczenia i przejdzie nad tą sprawą do porządku dziennego.

Powstał z kolei kardynał Rampolla i z majestatyczną godnością rzekł: „Boleję z powodu tego ciężkiego naruszenia wolności Kościoła. Co do mnie osobiście, nic milszego ani chwalebniejszego nie mogło mnie spotkać" *(nihil iucundius, nihil gloriosius accidere poterat)*.

Na popołudniowym, czwartym głosowaniu kard. Rampolla otrzymał 30 głosów.

Kardynałowie zaczęli się prywatnie naradzać, czy nie będzie lepiej wybrać jednego z zupełnie neutralnych kardynałów Włochów, których kandydatury nie popiera żadne obce państwo. Patriarcha wenecki miał wszystkie dane: osobistą świątobliwość, dar rządzenia, jasny sąd, głęboką wiedzę, umiejętność obcowania z ludźmi; nie będzie *un Papa politico*, lecz *un Papa religioso*, jakiego świat potrzebuje. Wprawdzie mało jest znany w Rzymie, ale lud wenecki za nim przepada i jego 9-letnie rządy w stolicy lagun zbawienne zostawiły tam ślady. Tak rozumowano.

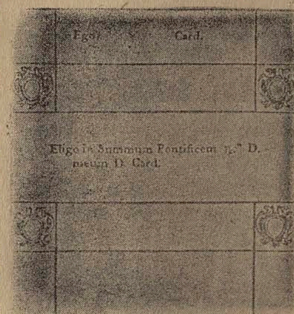
W pierwszym głosowaniu karynał Sarto otrzymał 5 głosów; w drugim 10, w trzecim 21, w czwartym po zgłoszeniu ekskluzywy 24, w piątym 27, w szóstym 35, w siódmym (4 sierpnia) więcej niż potrzebne minimum, tj. 50 — prawie 4/5 głosów. Ilość głosów na kardynała Rampollę po veto i proteście, po chwilowym wzniesieniu się do 30, zaczęła spadać: *la stella Rampolliana tramontava* („gwiazda Rampolliańska zachodziła") jak się wyrażały dzienniki rzymskie. Na ostatnim skrutynium miał już tylko 10 głosów, a Gotti 2; wszystkie inne były za kardynałem Sarto.

Patriarcha wenecki, skoro spostrzegł, że głosy padają coraz liczniej na niego, zaczął się bronić usilnie przed wyborem. Amerykański kardynał Gibbon opowiada, jak kard. Sarto te wyniki głosowania przyjmował: „Po każdym głosowaniu, w którym rosły stopniowo głosy za jego wyborem, kardynał Sarto zwracał się do swoich kolegów, błagając ich ze łzami, by odstąpili od swego zamiaru; wyliczał wszystkie swoje braki, tłumacząc, jak utrudniałyby one piastowanie tak odpowiedzialnego urzędu; głos mu drżał a łzy płynęły obficie z oczu; używał całej swej wymowy, aby odsądzić siebie od tiary, — ale wzruszająca jego pokora, zamiast przekonać wyborców o jego nieudolności, utwierdzała ich coraz bardziej w przekonaniu, iż on właśnie jest najodpowiedniejszym kandydatem. Poznawaliśmy coraz bardziej tę piękną duszę. I ja należałem do tych, którzy w nocy poprzedzającej ostatnie głosowanie poszli do jego celi, by przełamać jego rozpaczliwy opór". Uprzejmych lecz przynaglających słów użył kilkakrotnie msgr. Merry del Val, sekretarz konklawe; energiczniejszych kardynałowie Ferrata, Satolli, Gotti i Agliardi; wszystko rozbijało się o pokorne odmowy Józefa Sarto.

Oto urywki z tych rozmów, zachowane w pamięci ich uczestników:

— Nie mogę przyjąć. Sama myśl o papiestwie przyprawia mnie o śmiertelną trwogę... Obiecałem, że wrócę do Wenecji żyw czy umarły.

— Wracaj do Wenecji, Eminencjo, jeżeli tak pragniesz — rzekł na to



Kartka wyborcza przy głosowaniu na papieża

kardynał Ferrata — ale wiedz, że dusza twoja będzie dręczona wyrzutami sumienia aż do śmierci, za opór przeciw Duchowi świętemu.

— Odpowiedzialność papieża jest straszliwa...

— Straszniejsza jeszcze będzie odpowiedzialność twoja za odmowę.

— Jeżeli mi wtłoczycie tiarę na

głowę, umrę prędko; zdrowie moje nie wytrzyma tego ciężaru.

— Przypomnij sobie słowa Ewangelii: „Pożyteczno wam jest, aby jeden człowiek umarł za lud, a nie wszystek naród zginął".

Kardynał Vanutelli starał się dodać mu odwagi, powtarzając usilnie:

— Przyjmij, przyjmij — taka wola Boża.

Kaplica Paolina stała się Ogrójcem Gethsemani dla udręczonej duszy patriarchy weneckiego. Spędzał tam długie godziny, wpatrzony w tabernakulum, błagając ze łzami, aby Pan oddalił od niego ten kielich. Tam zachodził do niego 38-letni sekretarz konklawe, zachęcając go.

— Nie, nie! — Nie myślcie o mnie! — Powiedz to kardynałowi dziekanowi... Nie mogę, nie mogę!

— Odwagi, Eminencjo! — szeptał klęczący przy nim przyszły kardynał sekretarz stanu. Odwagi! Bóg cię wspomoże!

Nadszedł wreszcie dzień 4 sierpnia, dzień św. Dominika, patriarchy Zakonu Kaznodziejskiego. Jeden z wyborców szepnął do kardynała patriarchy Lizbony: *In die patriarchae pro patriarcham oportet votare!* („W dzień patriarchy należy na patriarchę głosować".)

Przy tym siódmym skrutynium padło na patriarchę weneckiego 8 głosów więcej niż było potrzeba. Sprawdzono vota — wybór był kanoniczny.

Kardynałem Sarto owładnęło wielkie wzruszenie. Wnet jednak opanował się. Na oficjalne zapytanie kardynała dziekana, czy przyjmuje wybór, odrzekł pewnym już głosem: *Non mea, sed Tua voluntas fiat: accepto in crucem* („Nie moja lecz Twoja wola niech się stanie! Przyjmuję jako krzyż"). Na zapytanie, jakie imię chce przybrać, odpowiedział: „Ponieważ papieże, którzy najwięcej cierpieli za Kościół w ostatnim stuleciu, nosili imię Piusa, — obieram to imię". Natychmiast zniżyły się wszystkie baldachimy, z wyjątkiem jednego, a Pius X udzielił członkom Św. Kolegium swego pierwszego papieskiego błogosławieństwa. Protonotariusz apostolski spisał zaraz akt oficjalny wyboru, podczas gdy elekta zaprowadzono do zakrystii i Sykstyny, gdzie go przybrano w szaty papieskie. Gdy wrócił, zasiadł na tronie, a kardynałowie kolejno klękali przed nim całując go w rękę z pierścieniem Rybaka. Potem wszyscy „konklawiści" zostali dopuszczeni do oddania hołdu nowemu papieżowi. Na tym zakończyła się tzw. *oboedientia*.

*

Tymczasem na placu św. Piotra zebrane tłumy wyczekiwały niecierpliwie. Biały dym „sfumaty" oznajmił już, że nowy papież jest wybrany, ale kto?

Drzwi loggii nad przedsionkiem bazyliki otworzyły się niebawem i służba watykańska rozpostarła wielki dywan z herbami papieskimi na kamiennej balustradzie ganku; o godz. 11,55 kardynał Macchi zjawił się na balkonie, poprzedzony krzyżem i dwoma ceremoniarzami. Ogromny okrzyk tłumu powitał kardynała, który ręką dał znak milczenia i wśród nagłej ciszy donośnym głosem wypowiedział tradycyjną formułę: *Annuntio vobis gaudium magnum! Habemus Papam, Eminentissimum ac Reverendissimum Dominum cardinalem Josephum Sarto, qui sibi nomen imposuit Pii X.*

Burza okrzyków i oklasków przyjęła tę wiadomość. Wszystkie dzwony 400 kościołów Rzymu zaczęły bić radośnie, a ponad ich potężnym spiżowym dźwiękiem brzmiały entuzjastyczne wiwaty: *Eviva il Papa! Viva Pio X!* Wtem rozeszła się wieść, że nowy papież udzieli osobiście pierwszego błogosławieństwa apostolskiego wewnątrz bazyliki. Trzydziestotysięczny tłum rzucił się do kościoła i wypełnił ogromną świątynię. Pius X błogosławił ze wzruszeniem nie już rybakom i gondolierom weneckim, lecz Miastu i Światu — *urbi et orbi.*

S. MARIA RENATA
Niepokalanka

Redakcja „Tygodnika Powszechnego" prosi p. TADEUSZA BIELICKIEGO o podanie adresu, celem przesłania mu odpowiedzi na jego artykuł pt. „O filozofii, fachowcach..."

PODZWONNE ARTUROWI CHOJECKIEMU

W osamotnieniu zupełnym, w Domu Helclów w Krakowie, zmarł 21 listopada br. Artur Chojecki, uczony i poeta. Nieliczne grono przyjaciół ze świata literackiego i naukowego odprowadziło go na wieczny spoczynek na cmentarz na Salwatorze. Wspominano losy człowieka, jego prostolinijność, dobroć, niezłomność charakteru, bezkompromisowość, zgoła nieprzeciętne walory umysłu i twórczego pióra. Nad mogiłą miano odczytać ostatni jego utwór, który wyraża jego postawę duchową, lepiej i więcej mówi o człowieku, niż to zdoła pomieścić spisany bieg jego życia. Utwór nosi tytuł „Poznanie" — i brzmi tak:

Jakże mam pojąć wieczność, w której czas nie płynie,
Tutaj, gdzie wszystko wschodzi, przechodzi i ginie?

Jakże mam pojąć światłość bez miary i końca,
Kiedy oczy mrużymy przed blaskami słońca?

Jakże mam pojąć prawdę, co wszystko wyjaśni,
Gdy po ziemi chodzimy wśród fałszów i baśni?

Jakże mam pojąć miłość, co wszystko ogarnie,
Gdy w tym życiu kochamy i mało i marnie?

Jakże mam pojąć dobro i piękno bez skazy,
Gdyśmy duchem i ciałem nieciosane głazy?

A jednak w sercach naszych żyje ufność błoga,
Że pojmiemy w wieczności niepojętość Boga!

Do Krakowa, gdzie znalazł ostatni spoczynek, przybył Artur Chojecki dopiero po powstaniu, z Warszawy, w której trzydzieści lat mieszkał. Pochodził z kresów, urodził się w Żytomierzu 25 czerwca 1880. Był synem Tadeusza i Marii z Iwanowskich. Ojciec jego trzymał dzierżawy na Ukrainie i Podlasiu, nie wiodło mu się jednak i w końcu osiadł w Warszawie. Matka zmuszona była uczyć dzieci po dworach, syn zaś mieszkał u babki w Żytomierzu, gdzie w 1898 skończył ze złotym medalem gimnazjum klasyczne i udał się na wydział chemiczny do świeżo otwartej Politechniki Warszawskiej. Chemia, którą ukończył nie zadowalała go jednak, nęciła natomiast filozofia i językoznawstwo. Toteż młody inżynier-technolog rzuca cukrownię, gdzie odbywał praktykę i zapisuje się w 1905 na Uniwersytet Jagielloński, wchodzi w żywą atmosferę humanistyczną i literacką, poświęca się głównie studiom lingwistycznym i filozoficznym, a po pięciu latach doktoryzuje się na podstawie pracy „Zarys psychologii uwagi". Specjalność swą pogłębia w Genewie, gdzie dostaje się do pracowni słynnego Claparède'a i wykonuje dwie prace, które ogłasza w *„Archives de Psychologie"* (1911 i 1912). W Genewie jest prezesem studenckiej Bratniej Pomocy, zbliża się do przebywającego tam wówczas Edwarda Abramowskiego, który wywiera wpływ na tok jego prac psychologicznych, poznaje Ignacego Paderewskiego. Wyjeżdża następnie do Paryża (1911), gdzie słucha wykładów Bergsona, Janeta, Piérona i bierze udział w życiu kolonii polskiej, bywa często u Władysława Mickiewicza. Powraca w końcu do Warszawy, aby od jesieni 1912 zacząć orkę w licznych prywatnych gimnazjach. Nie porzuca jednak badań naukowych, pracuje w Instytucie Psychologicznym, miewa odczyty i stałe wykłady w Tow. Kursów Naukowych, późniejszej Wolnej Wszechnicy Polskiej, zbliża się do redakcji „Przeglądu Filozoficznego", Weryhy i Ochorowicza, ogłasza rozprawę „O wpływie woli na wahania uwagi", wreszcie jako zastępca Abramowskiego obejmuje wykłady psychologii na świeżo wznowionym w 1915 Uniwersytecie Warszawskim. W 1918 przyjmuje propozycję objęcia katedry psychologii w Uniwersytecie Katolickim w Lublinie, gdzie wyjeżdża i jako docent rozpoczyna wykłady. Praca pedagogiczna męczy go jednak i również nie zadowala, toteż porzuca doskonale rozpoczętą karierę naukową, wraca do Warszawy i wstępuje do Ministerstwa Spraw Zagranicznych (1919—1927).

Na tę nową zmianę życiowej decyzji nie pozostała, być może, bez wpływu jeszcze jedna nie zrealizowana ambicja: sięgnięcia po laury literackie. Może też zaważył cechujący go sceptycyzm w stosunku do wiedzy. W wierszu pt. „Nauki", tak nastrój swój określał:

Trawa szepce: wtul się we mnie twarzą,
Słuchaj pilnie o czym zioła gwarzą,
Ucz się razem z ziołami lichemi,
Jak to wszelka mądrość płynie z ziemi...

Drzewa szumią: ucz się od nas trwania,
Ucz się burze znosić bez szemrania,
Że głęboko w ziemię wróść potrzeba,
Aby głową móc sięgać do nieba...

Może wreszcie odezwał się atawizm rodzinny, boć jego dziad stryjeczny, głośny swego czasu autor „Alkhadara", Edmund Chojecki, miał jeszcze bujniejszą drogę życiową i różnorodniejszych imał się zajęć.

Prace i poczynania literackie Artura Chojeckiego potoczyły się w kilku kierunkach: uprawiał publicystykę literacko-krytyczną po francusku na łamach założonego w 1925 w Warszawie dziennika *„Le Messager Polonais"*; powrócił następnie do pasjonujących go wciąż zagadnień poprawności językowej i prowadził w pismach codziennych popularne „Kąciki językowe"; ogłaszał utwory oryginalne oraz zajął się poważną pracą przekładową.

W wydanych dwu zbiorkach: „Wiersze" (1933) i „Miesiące" (1936), ściśle trzymał się tradycyjnej poetyki, której nigdy nie odstąpił i lapidarnie tak ją sformułował:

Wiersz musi śpiewać, musi grać,
mieć rym, sens i melodię.
Innej poezji nie chcę znać,
Zarówno cras, jak hodie!

Natrafia się w tych wierszach na pogłosy „Księgi ubogich", na echa kantyczkowe, dźwięczące zupełnie wyraźnie w ślicznie wydanych po wojnie „Owocach bożego sadu" (1948). Czasem przypomni się nawet ks. Baka, to znów zabrzmi ton literacko głębszy:

Ach łąką się rozzielenić,
Rozmodrzyć w niebios błękicie,
Wieczorną zorzą zrumienić,
Roztopić mgłą o świcie!...

Być wiatrem, falą i skałą,
Trwać w zmianach wiek za wiekiem:
— Za wiele to i za mało
Być tylko samym człowiekiem.

W pierwszym zbiorku pomieścił też wiersze pisane po francusku. Są też piękne przekłady Heinego, Balmonta i liryk francuskich. Ukoronowaniem tych poetyckich przekładów był po wojnie już ogłoszony w „Tygodniku Powszechnym" (nr 189) „Hymn do Boga" Dierżawina, uznany przez K. W. Zawodzińskiego za kongenialny. Spośród przekładów naukowych wymienić przede wszystkim trzeba obszerny „Podręcznik psychologii" Titchenera, przyswojony w 1929, oraz dwutomowy słynny „Katechizm niewierzącego" Sertillanges'a (1939), którego nowe znacznie poprawione wydanie przygotował tłumacz przed śmiercią. Po wojnie dzięki Chojeckiemu poznali czytelnicy polscy dwa głośne dzieła Chestertona: „Św. Franciszek z Assyżu" (1948) i „Św. Tomasz z Akwinu" (1949), już wyczerpane i domagające się nowej edycji.

Również w okresie powojennym powstały popularne, bardzo pożyteczne broszury: pogadanka „Język polski, jego poprawność i jego piękno" (1946), oraz „Henryk Sienkiewicz, życie i dzieła" (1946), szkic wydany w setną rocznicę urodzin ulubionego autora. W czasopismach pojawiały się przekłady wierszy angielskich (np. Chestertona i Kiplinga, w poznańskim „Życiu Literackim" 1945, nr 9/10), i rosyjskich (Puszkina, w „Nauce i Sztuce" 1945, i „Arkonie" 1948 oraz Lermontowa w „Tygodniku Powszechnym").

W najciemniejszym okresie okupacji, w 1943, z namowy Stanisława Michalskiego, zaczął Artur Chojecki pisać w Warszawie swoje wspomnienia. Doprowadził je niestety tylko do 1918 roku, a rękopisowi (ocalałemu na szczęście z pożogi powstańczej) nadał tytuł: „Żywot średniego człowieka". W tym samookreśleniu nie było ani przesadnej pokory, ani też dumy umyślnie się poniżającej. Żegnając go z głębokim żalem na zawsze, myśleliśmy, jakże ten mądry człowiek i prawy Polak wysoko cenił kulturę polską, skoro w ten sposób wyznaczał swoją w niej pozycję!

P. G.

O STEFANIE GRABIŃSKIM

(Dokończenie ze str. 2)

miejsce w jego twórczości. Jeśli przypomina kogo pod tym względem, to przede wszystkim Huysmansa. Jak autor „Katedry" i dziejów Durtala, posiadał rzetelną, wyjątkową spraw tych znajomość. W tym upajaniu się pięknem ceremoniału liturgicznego było zapewne nieco estetyzmu, ale było i coś więcej niż tylko estetyzm. Różny w tym od większości modernistów, poszukiwaczy „nowych dreszczów", Grabiński wnikał poza powierzchnię zjawisk w ich głębszą treść, starał się odczytywać znaczenie symolów, rozumieć ich subtelną wymowę.

W dziedzinie środków artystycznego wyrazu twórczość jego reprezentuje klasę, która w hierarchii literackich wartości liczy się bez wątpienia. Z sugestii młodopolskich, które tak ujemnie zaciążyły na jego pierwszym debiucie, otrząsnął się rychło, choć i w utworach późniejszych tu i ówdzie ślady pewnej skłonności do patosu i stylistycznego banału można odkrywać. Ale w swych najlepszych osiągnięciach twórczych prezentował sztukę nieprzeciętnej rangi, dopracował się własnego stylu, który posiada wyraźną, odrębną fizjonomię. Znać w nim wysiłek pisarza w kierunku osiągania jak najsilniejszej ekspresji przy jednoczesnej oszczędności i lapidarności wyrażenia. Ta dążność do ujmowania bezkształtnej plazmy tworzywa w karby i rygory zdyscyplinowanej sztuki przejawia się szczególnie w dziedzinie kompozycji. Kroczył tu Grabiński śladami mistrza swego i uwielbianego arcywzoru Edgara Allana Poego. Były to organizacje psychiczne bardzo podobne. U obu mistycyzm i wrodzony zmysł nieskończoności łączyły się z racjonalistyczną, matematyczno-analityczną metodą tworzenia. Grabiński w wyborze tematu kierował się w dużej mierze intuicją, miał ambicje wyprzedzania odkryć naukowych, ale opracowywał skrystalizowane już w wyobraźni pomysły z racjonalistyczną precyzją. Lubił teoretyzować na temat sztuki pisarskiej, pisał rozprawy o fantastyce, o oryginalności w literaturze; jak ongiś Poe dał słynną autoanalizę swego „Kruka", tak i Grabiński starał się odtworzyć kolejne stadia procesu twórczego na przykładzie jednej z nowel z cyklu „Demon ruchu". Mniej szczęśliwy w powieściach i dramatach, mistrzowstwo osiągał w utworach nowelistycznych. Był zwolennikiem zwartej, precyzyjnej kompozycji i mocnych finałów. W zakresie noweli stworzył kilkanaście arcydzieł, które śmiało stanąć by mogły obok najświetniejszych okazów tego gatunku w literaturze światowej.

Celował szczególnie w sztuce wywoływania nastrojów. Miał w tym zakresie oryginalne upodobania. Lubił piękno późnej jesieni, ciszę ustronnych alei cmentarnych, szelest złotych i purpurowych liści pod stopami zabłąkanego przechodnia, kochał kruchy, melancholijny wdzięk rzeczy przemijających. A jednocześnie dostrzegał w otaczającej rzeczywistości jej dziwność i niesamowitość. Stąd upodobanie w miejscach samotnych, w opustoszałych domostwach, w których „straszy" i stąd rozmiłowanie w barwach stłumionych, w pastelowej kolorystyce zmierzchu i w mrokach głuchej, dzwoniącej ciszą nocy. Noc była dla niego porą tajemniczych misteriów, wierzył ze można nawiązywać wtedy kontakty z zaświatem, lubił tę śródnocną godzinę tajemnic, kiedy na stole świeca migoce wątłym płomykiem, z mrocznych kątów, zakamarków, z ciężkich opon i kotar wyłaniają się dziwaczne cienie, a wyobraźnia i zmysły, wyczulone na szmery, dźwięki i szelesty, wsłuchują się w tę ciszę niesamowitą i czekają, czy nie da może znaku o sobie, czy nie zapuka to coś, niewyrażalne, groźne, zagadkowe, co czai się tam, za oknem, w nieprzeniknionych głębiach nocy. Karol Irzykowski zalecał czytać opowieści Grabińskiego „późnym wieczorem zimowym, przy drwach płonących na kominku, gdzieś na wsi, gdy na dworze ‚zawierucha mokrym śniegiem dmie', a wilki gdzieś wyją. Zamknąć radio i słuchać, czy wiatr okna nie otworzy i nie nawionie do izby czegoś nieokreślonego". W tych zaleceniach, których nie należy brać dosłownie, jest jednak bez wątpienia wiele słuszności. Lektura Grabińskiego wymaga odpowiedniej „oprawy". Trzeba się niejako „nastawić" psychicznie, poddać czarowi, co emanuje z tych utworów niezwykłych, odurzających mocną, zawrotną poezją nastrojów, i trzeba przede wszystkim w ciągu tej jednej przynajmniej godziny lektury wierzyć z autorem w istnienie tych cudów, dziwów, zjawisk groźnych i niepokojących, które wyczarowywał z otchłani niebytu wytężoną pracą twórczej wyobraźni Stefan Grabiński „odgadywacz zaświatów", „szalony pątnik" po bezdrożach tajemnic.

ARTUR HUTNIKIEWICZ

ś. † p.

JULIA Z KWILECKICH

Ludwikowa Fugelowa

artystka-malarka

urodzona w r. 1877 w Oporowie, zmarła w Krakowie, dn. 4 grudnia 1951, opatrzona św. Sakramentami. Pogrzeb odbył się dn. 7 grudnia 1951, na cmentarzu Rakowickim.

MSZA ŚW.

za duszę Zmarłej zostanie odprawiona w kościele św. Anny w Krakowie w niedzielę dn. 16 grudnia br. o godz. 12,15

RODZINA

SŁAWOMIR BŁAUT

DRUGA KSIĄŻKA FILIPOWICZA

„Dobra robota autorska — oto co najbardziej przekonywa do prozy Filipowicza“ pisał jeden z krytyków (Stefan Lichański TP nr 163), recenzując tom opowiadań pt. „Krajobraz niewzruszony“, którym przed czterema laty zadebiutował Kornel Filipowicz. Po lekturze drugiej książki tego autora, tym razem powieści „Księżyc nad Nidą“*), nasuwa się pytanie czy zacytowany sąd, bezwzględnie słuszny w odniesieniu do debiutu, znajduje i tu swe potwierdzenie.

„Krajobraz niewzruszony“ był debiutem niezwykłym: ukazał on pisarza o niemal pełnej dojrzałości artystycznej oraz świadomej i konsekwentnej postawie ideowej, nie będąc zresztą pod tym względem w naszej literaturze powojennej zjawiskiem odosobnionym (Żukrowski, w pewnym sensie Borowski). Wystąpienie Filipowicza przyjęte zostało bardzo przychylnie przez krytykę: tak częsta w beletrystyce pierwszych lat powojennych tematyka i problematyka związana z rzeczywistością okupacyjną i więzienno-obozową ujęta została w sposób indywidualny, daleki od jakichś konwencji. Świeżość spojrzenia, dyskrecja i umiar pisarski — tak rzadkie u nas walory — ustrzegły Filipowicza od łatwej banalności i taniego efekciarstwa.

„Księżyc nad Nidą“, chociaż wydany dopiero w roku ubiegłym, powstawał prawie równolegle z opowiadaniami z „Krajobrazu niewzruszonego“ (ukończony został jesienią 1947 r.), toteż za wcześnie byłoby tu doszukiwać się wyrazu jakiejś ewolucji ideowo-artystycznej. Nie widzimy tu Filipowicza „dzisiejszego“, lecz tego sprzed czterech lat.

W powieści swej powraca Filipowicz do tematyki okupacyjnej. Akcja, pominąwszy pewne sięgające głębiej w przeszłość regresje wspomnieniowe bohaterów, rozgrywa się w ciągu wiosny i lata r. 1944. Zagadnieniem centralnym powieści jest walka polskiej wsi z niemieckim okupantem. Filipowicz ukazuje zróżnicowanie orientacji ideowo-politycznych i nieraz biegunowo przeciwne kierunki postępowania poszczególnych organizacji; zajmuje się też wewnętrznymi tarciami pomiędzy nimi i pokazuje działalność oddziałów B. Ch. w jednej z wsi kieleckich.

Czołowe postaci powieści jak Bukowski, Zawada, Cieśla, czy nawet major „Rak“, są wyrazicielami nastrojów tzw. „dołów“ organizacyjnych, sprzeciwiających się linii „zbrojnej neutralności, biernego oporu i oczekiwania z bronią u nogi“. Postawę ich wyraża zdanie (nb. błędnie zbudowane), które pozwolę sobie zacytować: „Cieśla nie miał zbyt wyraźnych przekonań politycznych, nie pojmował jednak innego rodzaju walki z okupantem — jak bezkompromisową negację zbrodniczej rzeczywistości, jaką narzucili“.

Filipowicz porusza też szereg innych spraw, że wymienię przykładowo zagadnienie kolaboracji czy tajnego nauczania. To bogactwo problematyki jest jednak tylko pozorne. Uderzającą cechą „Księżyca nad Nidą“, zwłaszcza w zestawieniu z „Krajobrazem niewzruszonym“, jest zubożenie intelektualne — autor zahacza o szereg ważkich problemów, ale traktuje je bardzo powierzchownie, nie wnikając w ich istotę. Wiąże się z tym pewna zmiana stylu: cechuje go nadal precyzja i dokładność, ale znika prawie całkowicie ładunek refleksji, co, może ułatwiając percepcję książki, traci mechaniczną symplifikacją osłabiającą jej artystyczną i myślową wymowę. Opisy przyrody, których Filipowicz stara się raczej unikać, mają charakter beznamiętnej, ograniczającej się do rejestracji zasadniczych realiów, a pozbawionej jakiegoś zabarwienia emocjonalnego relacji. Wyjątek stanowią powtarzające się kilkakrotnie niemal identyczne opisy Nidy, ze stałym rekwizytem w postaci księżyca. Nie sprawiają one wrażenia banału, lecz są użyte świadomie i celowo: niosą w sobie pewien ładunek nastrojowy, mają jakieś półsymboliczne znaczenie.

Filipowicz zdaje się mało przywiązywać wagi do charakterystyki zewnętrznej postaci, jest przy tym jak zresztą zawsze oszczędny i powściągliwy; postaciom jego brak pogłębienia psychologicznego.

Podkreślić należy też duże wady konstrukcyjne powieści. Trudno tu się dopatrzyć jakiejś zasady kompozycyjnej, która zespalałaby poszczególne elementy w jedną całość. Stąd powieść rozpada się na szereg luźno powiązanych fragmentów nabierających nieraz charakteru samodzielnych opowiadań czy nowel (np. rozdział przedstawiający pobyt Bukowskiego w obozie koncentracyjnym jest opowiadaniem ramowym; ramę stanowi początek i koniec listu pisanego do żony).

Załamanie linii kompozycyjnej będące jedną z przyczyn słabości książki jest wynikiem kolejnego wprowadzenia dwu głównych bohaterów (podobny błąd popełnił Dobraczyński w „Najeźdźcach“). Początkowo centralną postacią jest Stefan Bukowski, nauczyciel i dowódca plutonu B. Ch. Od chwili aresztowania go przez Gestapo funkcje głównego bohatera pełni 20-letni chłopak Józef Cieśla, uczeń i podwładny swego poprzednika. I choć Bukowskiego widzimy jeszcze dwukrotnie: w więzieniu i w obozie, ma to już znaczenie drugoplanowe. Poważną usterką „Księżyca nad Nidą“ jest brak zakończenia. Nie żądamy od autora, by kończył powieść wyczerpująco informującym o dalszych losach postaci epilogiem ani też łopatologiczną pointą. W powieści Filipowicza wątki fabularne urywają się nagle, zarysowane problemy pozostają nierozwiązane, pozostaje czytelnikowi wrażenie niepełności, niedoprowadzenie właściwie do niczego budzi sprzeciw, a to chyba nie leżało w zamierzeniach autora. I wcale nas nie pociesza to, że dalsze losy bohaterów poznamy z „Błękitnego zeszytu“, który ma być dalszym ciągiem „Księżyca nad Nidą“.

Książka Filipowicza zawiera kilka świetnych, przekonująco i sugestywnie napisanych epizodów, potwierdzających, że ich autor jest przede wszystkim nowelistą. Właściwości pisarskie Filipowicza-nowelisty, które dały rzetelne i trwałe wyniki w opowiadaniach, w zastosowaniu do powieści zawiodły.

SŁAWOMIR BŁAUT

*) Kornel Filipowicz: KSIĘŻYC NAD NIDĄ, „Czytelnik“ 1951, str. 211.

Autorów, pragnących, by redakcja oceniła ich utwory, prosimy o podawanie nazwisk i adresów. Na łamach „Tygodnika“ ocen nie udzielamy.

Redakcja

Z TEATRÓW

„TALENTY I WIELBICIELE“ W KRAKOWIE

Aleksander Ostrowski (1823—1886), klasyk rosyjskiej dramaturgii, jest mało znany w Polsce (jego dwie sztuki — „Intratną posadę“ i „Burzę“ wystawił Tadeusz Pawlikowski w Krakowie). A jest to świetny pisarz dramatyczny, rasowy człowiek teatru, a jednocześnie człowiek, który walczył, chciał naprawiać zło, które dostrzegał, torować nowe drogi. A umiał patrzeć. Jego postaci są rysowane śmiałą ręką, w kilku zasadniczych konturach, bez rozpraszania się na nieistotne szczegóły, zwarte i syntetyczne. Raczej typy niż charaktery, lecz jednocześnie ludzie żywi i bogaci — pisarz umiał dojrzeć i pokazać głębsze warstwy ich sylwetek duchowych. Ludzie Ostrowskiego są „ciepli“, właśnie „ludzcy“, a jednocześnie prości i zrozumiali. Zrozumiali dlatego, że w każdym z nich znajdujemy jakiś rys, jakąś tonację, którą nosimy w sobie — więc są nam bliscy, zaprzyjaźniamy się z nimi szybko. Czujemy, że dla pisarza nie teza jest ważna, lecz człowiek.

Ostrowski był znakomitym technikiem dramatycznym — po pierwszym akcie widz wie, że pisarz obraca się

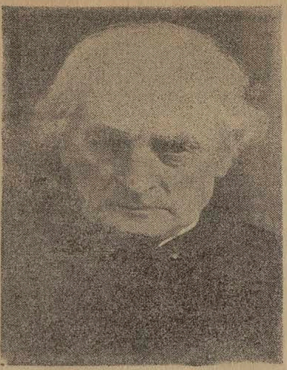


Foto Nowicki

Tadeusz Białkowski jako Martyn Prokofjicz Narokow

po scenie z największą swobodą — rzekłbyś — od niechcenia, jakby po swoim własnym pokoju, w którym zna każdy szczegół. Z jakąż naturalnością wprowadza na scenę postaci, jak doskonale umie wybrnąć z najbardziej niewdzięcznej sytuacji (np. w akcie IV „Talentów i wielbicieli“, tak trudna technicznie scena uczty pożegnalnej w bufecie zrobiona jest niezmiernie lekko — a jakże rzadko podobne sceny dobrze się udają). Dialog aczkolwiek na gust naszej współczesnej, nerwowej, wiecznie śpieszącej epoki — czasem zbyt rozwlekły — jest wyśmienicie budowany, sytuacje sceniczne proste, ale bez dziur — każda kwestia ma znaczenie, coś wnosi, posuwa akcję naprzód lub uplastycznia postaci sceniczne.

Ta doskonała dramaturgiczna robota sprawia, że sztuki Ostrowskiego są wdzięcznym materiałem zarówno dla aktora, jak reżysera. Bo każda rola „siedzi“ i trudno ją zepsuć. „Talenty i wielbiciele“, komedia opisująca życie aktorów w małym prowincjonalnym miasteczku, upokarzającą ich zależność od „wielbicieli“, często konieczność wysługiwania się „możnym tego świata“, byle móc grać (a pracę aktorską Ostrowski cenił wysoko jako wzniosłą służbę pięknu i społeczeństwu), stanowi

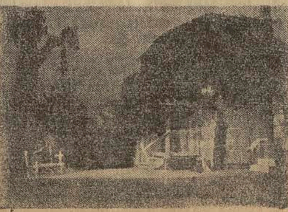


Foto Nowicki

„Talenty i wielbiciele“ Ostrowskiego. Dekoracja B. Kamykowskiego do aktu II

podobnie jak inne sztuki Ostrowskiego wdzięczne pole do popisu aktorskiego. Teatr Słowackiego możliwości tej nie zmarnował. Role były wycieniowane umiejętnie, oparte na kontrastowaniu postaci (Marta Stebnicka sztywna nieco na początku i mało przekonująca w akcie I, miała doskonałe partie w dalszych aktach, jak np. pożegnanie z Mielmowem, albo scena kończąca akt III, gdy widz przez jej egzaltację widzi dobrze, że decyzja już zapadła, że aktorka pojedzie z Wielikatowem. Dobrą partnerką Stebnickiej była Hanna Smólska. Helena Chaniecka (mimo, że czasem szarżowała) z rozmachem stworzyła postać matki, aczkolwiek tu i ówdzie widziało się niekonsekwencje w charakterze stworzonej postaci (a może jej „dominantą“ ma być po prostu głupota?). Tadeusz Białkowski potrafił przekonać widza do niemal dziecinnej naiwności starego, siwiutkiego inspicjenta, oddanego bez reszty sztuce i pięknu, zakochanego po sztubacku w młodej dziewczynie — wierzyliśmy mu i wierzyliśmy, że warto być takim. Eugeniusz Fulde ma wyrobiony styl gry, jedzie trochę trickami, ale jego postaci mają tę wybitną zaletę, iż widz czuje, że aktor nie wygrał ich do końca, że coś chowa, że każe się czegoś domyślać — a w ten sposób trzyma nas ciągle w napięciu, ciągle czekamy jakiejś niespodzianki, mamy niejako własny udział w budowaniu postaci. Ambroży Klimczak nie ma jeszcze potrzebnej swobody, podobnie jak Stanisław Zaczyk, grający Mielasowa. Zaczyk grał zbyt „na zewnątrz“, zbyt dla widowni, czasami zbyt rezonersko (np. nie czuło się entuzjazmu płynącego z głębi przekonania, gdy „uczył życia“ Nieginę albo gdy skoczył, by ją ratować w rzekomej katastrofie kolejowej; natomiast ostatni wybuch oburzenia był szczery, acz można by go pogłębić). Wacław Nowakowski, Mieczysław Jabłoński, Roman Wójtowicz, Antoni Słociński grali poprawnie — choć niewątpliwie mogliby więcej z siebie wydobyć. I tu przechodzę do reżyserii.

Przedstawienie było jakoś trochę niedociągnięte, po prostu chciałoby się widzieć w nim więcej nerwu, życia. Zdarzały się nawet dziury, „puste miejsca“ tak zawsze męczące i przeszkadzające jednolitości wrażenia. Sceny doskonałe sąsiadowały ze scenami niepełnymi, nie pogłębionymi. Nie zawsze jest łatwo powiedzieć gdzie zawinił aktor, gdzie zaś reżyser. Ale chwilami chciałoby się zdopingować grających, zapalić ich, zagrzać — albo zmusić do pogłębienia i refleksji. Nie znaczy to, że nie znać było koncepcji reżyserskiej, lecz czuło się jakiś niedosyt — jakby przedstawienie nie było skończone.

Scenografia Bolesława Kamykowskiego umiejętnie podkreślała tło akcji (zwłaszcza ciekawe rozwiązanie II aktu). Na specjalną pochwałę zasługują ubiory damskie Bronisławy Koreybo oraz kapelusze Władysławy Durowskiej.

GOA

„ODEZWA NA MURZE“ W WARSZAWIE

Anna Świrszczyńska przedstawiła publiczności warszawskiej swą nową sztukę pt. „Odezwa na murze“. Jest to dość szeroko i ambitnie zakreślone malowidło sceniczne, umiejscowione historycznie w 1885 roku, która to epoka pociągnęła pisarkę „swą dramatycznością i patosem moralnym“ — jak to Świrszczyńska zaznacza w słowie odautorskim do programu. „Emocjonalne podejście autorki do tematu“ — zdanie to biorę z tego samego tekstu, co uprzednie — sprawia, że obiektywizm i ścisłość, tak dziejowa jak i artystyczna, nie zawsze są elementem czołowym sztuki Świrszczyńskiej, co zresztą wcale nie jest konieczne w tym klimacie twórczości i przejęcia się tematem, jaki emanuje z całości przedstawienia. Świrszczyńska z pasją wypunktowuje zasadnicze i ważkie dla swego sumienia autorskiego momenty i w tym leży duża jej zasługa jako pisarki; inna rzecz, że ta prowadzi ją chwilami na pozycje schematyzmu i każe budować zbyt pośpiesznie niektóre postacie i sytuacje zubożając je tym samym o prawdę artystyczną i życiową. W każdym razie wydaje mi się, że dyscyplina twórcza metody realizmu socjalistycznego znalazła w sztuce Świrszczyńskiej udany, w miarę możliwości pełny wyraz; nie ma tu żadnych rażących błędów i grzechów w stosunku do socrealistycznych koncepcji artystycznych i ideowych, a to już jest wiele i stanowi krok naprzód w pracy nad stworzeniem nowego repertuaru teatralnego.

Akcja sztuki nie jest skomplikowana: wszystko obraca się dokoła strajku organizowanego w fabryce, w jednym z prowincjonalnych miast Kongresówki; strajk ten ma być łącznym protestem przeciwko nieludzkim warunkom pracy, jak i przeciw przygotowującemu się w Warszawie procesowi Waryńskiego i proletariatczyków. W tryby tej akcji Świrszczyńska wplata wiele postaci pierwszo- i drugoplanowych; z niektórymi daje sobie radę dobrze, wychodzą one spod jej pióra udatnie zarysowane, wielowymiarowe, pełne, jest w nich jakieś ciepło autorskiej fantazji, która potrafi obdarzyć je mieniącym się kolorem psychologicznych odruchów, drgnień i prawd, umie je bogato wewnętrznie rozbudować i uzasadnić. Inna rzecz, że akurat dwie najlepiej postawione postacie znalazły dwóch najlepszych na scenie Narodowego wykonawców (Fijewski jako szpicel Ignac i Kurnakowicz — rosyjski rewolucjonista Iwanow); długo się jednak można sprzeczać o to, czy dobrze napisana rola nie stanowi podstawy dobrej kreacji autorskiej i czy najlepszy nawet aktor może czegokolwiek dokonać, kiedy ma tekst do bani. Ja stawiam na harmonię, adekwatność, równorzędność tekstu i interpretacji; jeśli taki wypadek zachodzi, wtedy dopiero otrzymujemy prawdziwą kreację, co sprawdza się całkiem nieźle w omawianym przedstawieniu.

Z pojedynczymi postaciami Świrszczyńska radzi sobie zupełnie dobrze; gorzej jest, kiedy koła napędowe akcji uruchamiają tłum na scenie; w takich momentach konwencja wyłazi ze sztuki, jak włosie z kanapy. W czasie scen zbiorowych, nasuwało mi się uparcie wspomnienie „Germinalu“ Zoli i nie mogłem znaleźć odpowiedzi na pytanie, dlaczego na kartach książki tego naturalisty tłum wychodzi tak przekonująco, agitując czytelnika za sobą i rewoltując go jednocześnie, a w scenach Świrszczyńskiej, wzbogaconych dzięki gatunkowi literackiemu o wspaniałą dynamikę słowa i gestu, tłum jest martwy, umowny, wyzbyty prawdy i życia, chwilami żenująco nieporadny. Być może, że jedyną odpowiedzią na tę kwestię jest metoda pisarska, która każe dzielić ludzi na scenie ściśle według czarno-białej palety; poszczególne postacie, mimo swej zasadniczej jednokolorowości, mogą się jeszcze udać w rysunku, tłum — będący zawsze i niezmiennie szary, niezdecydowany, rozdarty sprzecznymi tendencjami, działający irracjonalnie i popędowo (co nie znaczy, że nie można nad nim jednolicie zapanować) — otóż tłum nigdy w takim malunku nie zyska cech prawdopodobieństwa. W dodatku sceny zbiorowe są najbardziej czułe na nieuchronny rozdźwięk pomiędzy dramatyczną sytuacją a następującą po niej deklaracją. Jest u Świrszczyńskiej kilka sytuacji prawdziwych, posiadających swą własną, silną i wiążącą wymowę; ich prawdę zabija późniejszy deklaratywny tasiemiec, niszczący bezlitośnie każdy nastrój i każde osiągnięcie.

Obok wymienionych wyżej doskonałych: Kurnakowicza i Fijewskiego, ładnie ożywia dość trudną i niepewną postać Zośki Ewa Bonacka. Chmielewski, jako fabrykant Miller, zręcznie oscylował pomiędzy łajdactwem, demonicznością, głupotą i akcentami humorystycznymi, które niepotrzebnie narzucał mu trochę tekst a trochę reżyseria. Zabawny Kaczmarski jako rotmistrz żandarmerii w krótkim epizodzie.

W pierwszej połowie przedstawienia na scenie jest niezwykle ciemno, co jest właściwie uzasadnione tylko w pierwszej odsłonie. Zresztą jedynie w tej właśnie odsłonie dekoracja jest udanym i współdziałającym elementem scenograficznym w przedstawieniu. Jest to most na przedmieściu fabrycznym w nocy — w obrazie tym scenograf (Romuald Nowicki) pokusił się o jakiś plastyczny skrót, o syntezę nastroju i udało mu się to całkiem dobrze. W innych odsłonach nie wyszedł poza poprawne ukształtowanie przestrzenne miejsca akcji przewidziane tekstem.

LEOPOLD TYRMAND

JACEK WOŹNIAKOWSKI

„WIT STWOSZ"

Pisano już tak dużo i tak mądrze o mariackim ołtarzu, że nawet wtedy, gdy omawia się nie samo dzieło Stwosza, a jedynie książkę o tym dziele, pióro waha się nieśmiało nad papierem.

Ocena „Wita Stwosza" [1]) jest doprawdy niełatwa; książki takie bywają przede wszystkim o tyle dobre, o ile dobrze informują o swoim przedmiocie; a w tym wypadku przedmiot, otwierając przed wydawcą ogromne bogactwo różnych możliwości, stawia mu zarazem najwyższe wymagania.

Publikacja Państwowego Instytutu Wydawniczego godnie odpowiedziała tym wymaganiom. Trudno jest chyba znaleźć dla niej mocniejszą pochwałę.

Obwoluta „Wita Stwosza" głosi, że książka „ukazuje się jako pierwsze ogniwo serii ‚Mistrzów', która... dążyć będzie do ukazania wielkich tradycji realistycznych naszej sztuki". Zgodny z tym dążeniem jest układ dzieła. 142 tablice jednobarwne i 20 tablic barwnych ułożono w następujące działy: ołtarz i jego elementy, świat duchów, człowiek i jego świat, rośliny i zwierzęta. Dział „człowiek i jego świat" uporządkowano w taki sposób: człowiek, ubiór i uzbrojenie, przedmioty i sprzęty, architektura i krajobraz. Ten spis rzeczy mógłby się wydawać na pierwszy rzut oka trochę naiwny: oczekiwać by można zarzutu, że nie ma sensu czysto tematyczna prezentacja wielkiego faktu artystycznego, że to dobre dla historii obyczaju, ale nie dla historii sztuki. Otóż w wypadku „Wita Stwosza" zarzut taki byłby moim zdaniem niesłuszny. Po pierwsze dlatego, że ów układ bynajmniej nie przeszkadza świetnej wymowie artystycznej mariackiego ołtarza na stronicach książki — o czym niżej. Po drugie zaś dlatego, że realistyczna pasja Stwosza jest właśnie podstawowym składnikiem doskonałości artystycznej jego dzieła. Śledzenie, jak wnikliwa obserwacja świata przełamuje się w różnych elementach snycerskiej roboty, jak drobiazgowa sumienność i „wierność" w ujęciu szczegółu prowadzi do monumentalnej artystyczno-ideowej syntezy, to zupełnie niezwykłe przeżycie, które dzięki omawianej książce znakomicie porządkujemy sobie i pogłębiamy — gdy wyodrębnia ona dla nas z gęstwy tłumnych (zresztą rytmicznie i przejrzyście komponowanych) scen — już to szereg twarzy, niesłychanie bogato zróżnicowanych w wyrazie, którego oddaniu służy bezbłędne rozumienie kształtu, już to szereg spracowanych rąk i nóg, rzeźbionych z jakimś przenikliwym i jasnowidzącym współczuciem, już to zdumiewająca rozmaitość szat, ciętych w spadziste fałdy, łamanych kanciasto, skręcających się łagodnymi zwojami czy rozwianych w ruchliwe i pełne dekoracyjnego rozmachu arabeski.

Owo zbliżenie się do Stwoszowego arcydzieła ułatwia nam nie tylko układ publikacji, ale i jej tzw. „szata zewnętrzna" i — przede wszystkim — jakość jej fotografii.

Najpierw słów kilka o „szacie zewnętrznej". Dosyć rozpowszechniona jest opinia, wedle której takie sprawy jak dobór czcionki, gatunek i barwa papieru, szerokość marginesów itd. itp. — to są igraszki fachowców, mniej więcej obojętne dla zwykłego śmiertelnika. Nic bardziej fałszywego. Fakt, że sobie ktoś nie zdaje sprawy, jakie to czynniki zewnętrzne pozwalają intymnie i głęboko wnikać w przedmiot danej książki — nie znaczy, aby te czynniki były błahe. Dzieło o sztuce powinno jako całość być w swoim rodzaju dziełem sztuki — jeśli tak nie jest, odczuwamy rozdźwięk między jego wyglądem i jego przedmiotem, — ponadto zaś nieudolna lub niedbała prezentacja najlepszych choćby fotografii potrafi przeszkadzać im tak, jak zła rama przeszkadza dobremu obrazowi. Pod tym kątem widzenia „Wit Stwosz" jest publikacją po prostu wzorową. Nie wchodzę tu w szczegóły, które warto by omówić szerzej w prasie fachowej — ale wystarczy zwrócić uwagę choćby na takie pozorne drobiazgi, jak podpisy pod tablicami, jak zestawienie tablic leżących obok siebie — by stwierdzić, do jakiego stopnia rzetelna praca wydawcy pomaga czytelnikowi w obcowaniu z przedmiotem książki. Paradoksalnie — praca ta polega w dużej mierze na tym, żeby się kryć: przypomina się *per analogiam* powiedzenie Rodina: „Dobry jest taki styl, który każe zapomnieć o sobie, by całą uwagę czytelnika skoncentrować na opisywanym przez autora temacie, na wyrażonym przezeń wzruszeniu".

W publikacji PIW-u koncentrujemy się na rzeźbie Stwosza, ukazanej w świetnych fotografiach Stanisława Kolowcy. Nie wiem, dlaczego jego nazwisko relegowano na koniec książki; wszakże suma umiejętności i pracy fotografa stanowi fundament tego typu dzieł, co „Wit Stwosz". Fotografie Kolowcy pozostają w zgodzie z ogólną koncepcją książki: ukazują nam sztukę Stwosza z maksimum rzeczowości i obiektywizmu, a jednocześnie z doskonałym wyczuciem jej sensu artystycznego. Fotografowanie rzeźby nastręcza pełno niebezpiecznych pokus: jakże pięknie można zagrać światłem i cieniem, pod jak efektownym kątem ustawić aparat, by zasugerować niezwykłość ujęć formalnych lub nadać rzeźbie ekspresjonistyczną siłę wyrazu. Bywa to pouczające, ale częściej bywa zwodnicze. Kolowca ustrzegł się tego rodzaju sztuczek — zresztą chroni przed nimi sam układ książki, co uważam za wielką jego zaletę. Światło i cień w fotografiach Kolowcy nie grają roli „charakterystycznej" — służą jedynie do wydobycia plastyczności, do ściślejszego określenia formy przedstawionego motywu. Fotografie te są ponadto doskonale komponowane i przy całej swojej rzeczowości bogate i różnorodne. Reprodukowano je na tablicach jednobarwnych w ciepłym, sepiowym tonie. Tablice kolorowe — reprodukcje kolorowych zdjęć Kolowcy — są niewątpliwie pierwszym tego rodzaju ewenementem w historii polskiej książki, tak jak w ogóle „Wit Stwosz" nie ma równej sobie pozycji wśród naszych wydawnictw artystycznych. Nie znam dostatecznie współczesnych publikacji zagranicznych, ale nie sądzę, aby w dziedzinie ukazywania polichromowanej rzeźby istniało na świecie wiele książek, które by

[1]) WIT STWOSZ — OŁTARZ KRAKOWSKI, Piw, 1951. Komitet redakcyjny: ks. S. Dettloff, T. Dobrowolski, J. E. Dutkiewicz, K. Estreicher, M. Friedberg, R. Glücksman, M. Słonecki, J. Szablowski. Kolegium redakcyjne: J. E. Dutkiewicz, R. Glücksman, J. Szablowski. Zdjęcia fotograficzne wykonał St. Kolowca. Wstęp napisali: T. Dobrowolski i J. E. Dutkiewicz. 142 tablice jednobarwne, 20 tablic kolorowych. Cena 300 zł.



Głowa apostoła z głównej grupy ołtarzowej

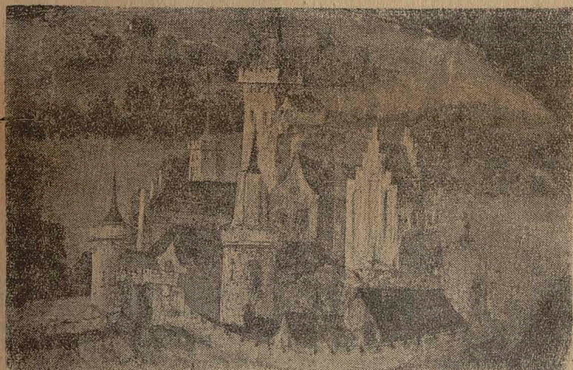


Jaszczurka z fryzu predelli



Martwa natura — fragment ze sceny Narodzenia N. M. P.

ZAMEK W MORAWICY?



Zamek. Fragment tła płaskorzeźby, przedstawiającej złożenie Chrystusa do grobu.

Jeden z naszych czytelników, dr Antoni Bobak, wysunął w liście do redakcji hipotezę, że jest to obraz autentycznie istniejącej w czasach Wita Stwosza budowli, mianowicie zamku Tęczyńskich w Morawicy. Morawica była — jak pisze dr Bobak — kolebką rodu Toporczyków, którzy w wieku XIV wzięli nazwisko od zamku w Tęczynie. „Za panowania Ludwika Węgierskiego i królowej Jadwigi, właścicielem Morawicy był Jaśko z Tęczyna, egzekutor testamentu królowej. Prawdopodobnie Jaśko z Tęczyna, względnie tuż po jego śmierci jego spadkobiercy, podarowali w r. 1408 część Zamku na Morawicy na kościół parafialny, dołączając do niego kaplicę zamkową. Świadczy o tym wmurowana tablica pamiątkowa znajdująca się w kościele morawickim. Morawica leżała przy głównym trakcie z Oświęcimia do Krakowa. W r. 1512 Zygmunt Stary witał w Zamku morawickim pierwszą swoją żonę, Barbarę Zapolya; po jej śmierci królowa Bona, jadąc do Krakowa na ślub z Zygmuntem Starym w r. 1518, spędza noc na Zamku w Morawicy. Dokładny opis kościoła w Morawicy, złączonego z Zamkiem, podaje biskup Kazimierski, sufragan kardynała Jerzego Radziwiłła, z okazji wizytacji parafii w r. 1598. ‚Kościół budowany z kamienia z dwóch stron ujęty murem na sposób włoski, dach spadzisty pokryty gontem, w kościele trzy ołtarze, obok kaplica, złączona z kościołem, z jednym ołtarzem'. Po wygaśnięciu męskiej linii Tęczyńskich, ostatnia z rodu Izabella Opalińska aktem donacyjnym, zarejestrowanym w Nowym Korczynie w r. 1666, podarowała parafii morawickiej na pomieszczenie plebanii skrzydło zamkowe. Plebania ta dotąd istnieje. W połowie zeszłego wieku uległa przebudowaniu. Zamek w Tęczynie został zniszczony przez Szwedów i prawdopodobnie Zamek w Morawicy spotkał ten sam los; w r. 1745 nie tylko Zamek lecz również i kościół popadł w ruinę. Ówczesny właściciel Morawicy, August Czartoryski, wojewoda ruski, polecił zburzyć Zamek i kościół, i w miejscu Zamku wybudował kościół według planów Franciszka Placidi (w r. 1745). Z dawnego Zamku pozostało tylko jedno skrzydło, mieszczące dotąd plebanię oraz dzwonnica, stojąca obok kościoła z przyziemiem, pozostałym po dawnej baszcie. Jeżeli porównamy wygląd Zamku na malowidle Stwosza z danymi historycznymi, stwierdzić musimy, że sytuacja kościoła i jego widok zgadza się z opisami Długosza (w *Liber Beneficiorum*) i biskupa Kazimierskiego. Lewe skrzydło Zamku, to do dzisiaj istniejąca plebania. Reszta baszty stojącej obok plebanii, to dzisiejsza dzwonnica. Ponieważ w dziele Stwosza widzimy drobiazgową dokładność w szczegółach ubrań, naczyń, zbroi itd., sądzić zatem można, że i obraz Zamku jest realistycznie ujętym widokiem Zamku w Morawicy. Co skłoniło Stwosza do umieszczenia widoku tego właśnie Zamku? Prawdopodobnie dwa motywy. Pierwszy to motyw artystyczny: uderzające piękno Zamku, który albo Stwosz, albo któryś z jego współpracowników, widział na miejscu. Drugi motyw, to chęć uczczenia właściciela Zamku Jana Tęczyńskiego, który w okresie pracy Stwosza był kasztelanem krakowskim".

mogły z „Witem Stwoszem" współzawodniczyć. Nie wszystkie tablice barwne jednakowo się udały; niektóre są trochę zbyt gładkie, zbyt intensywnie „kolorkowe" — powiedzmy V, VIII, XIII; ale inne, np. I, II, XI, XVII, to prawdziwe arcydziełka; istotne różnice tonu i charakterystyczne cechy faktury wyszły w nich znakomicie.

Przedmowa, napisana dobrze i rozumnie, daje informacje o Stwoszu i jego dziele, a także szeroko podmalowuje społeczne, ekonomiczne i kulturalne tło jego działalności. Miałoby się ochotę w kilku punktach z nią dyskutować (zarówno z tym co w niej jest, jak i z tym czego w niej nie ma); ale w każdym razie jest z czym dyskutować.

Jeżeli następne książki z serii „Mistrzów" (zapowiadają się Matejko i Gierymski) będą równie dobre, jak „Wit Stwosz", to imię redaktorów tej serii trzeba będzie zapisać olśniewająco białą kredą w kominie polskich wydawnictw artystycznych.

JACEK WOŹNIAKOWSKI

Na ekranie

BOHATEROWIE MANDŻURII

Najdziwniejszym przeżyciem jakiego dostarcza ten chiński film jest pomieszanie obcości z czymś bardzo bliskim. Sądzę, że większość Europejczyków nie zna żywej współczesnej rzeczywistości chińskiej, o której wie się wprawdzie z gazet, ale która nie miała jeszcze czasu wytworzyć swych plastycznych, pojęciowych symboli. Oczywiście nikt nie myśli na serio, że Chiny to wciąż jeszcze parawany z laki, jedwabne szaty mandarynów, bajeczne smoki i deklamowanie filozoficznych wierszy przy blasku księżyca. Istnieją jednak szablony wyobraźni, dlatego też Chiny fabryk, strajków, bezbarwnych, europejskich strojów wywołują mimo wszystko pewien szok.

Odnajdujemy w „Bohaterach Mandżurii" atmosferę walki, jakże podobną do tej, przez którą przeszliśmy sami, i tu na odmianę wszystko jest jasne. Aż dziw, jak mało różnią się japońscy żandarmi od gestapowców, jak identyczne są metody jednych i drugich.

Mknące ciemną ulicą policyjne „budy", masowe aresztowania, rewizje, tortury — wszystko to jest nam znane aż nazbyt dobrze. Nie bez zdziwienia przekonujemy się, że najhaniebniejsza choroba ludzkości rozwijała się tam, na Wschodzie, w pełni swych typowych symptomów, zanim jeszcze zdołaliśmy jej doświadczyć na własnej skórze. Pod tym względem film „Bohaterowie Mandżurii" jest pouczającą lekcją politycznego i społecznego uniwersalizmu: ukazuje zawsze jednakową twarz imperialistycznego niebezpieczeństwa.

Jeżeli chodzi o wykonanie, film „Bohaterowie Mandżurii" nie jest bez zarzutu. Posiada on liczne dłużyzny i — o ile można się zorientować z tekstu, będącego bądź co bądź tłumaczeniem z drugiej ręki — sporo psychologicznych uproszczeń. Pozytywne postaci dramatu, przy całej żywości, jaką nadaje im dobra gra, są nieco monotonne w swej nieskazitelnej szlachetności. Nie zawsze można się zorientować czy wynika to istotnie z założeń scenariusza.

Zdjęciowo „Bohaterowie Mandżurii" stanowią jak gdyby kompromis między dwiema tradycjami kinematograficznymi. Z jednej strony *trick* i plastyczna kondensacja, osiągana przez nakładanie na siebie obrazów, przypominają „gagi" bardziej ambitnych filmów amerykańskich, z drugiej ujęcia statyczne o epickiej prostocie montażu zdradzają silny wpływ radzieckiego realizmu. Ten drugi wpływ przeważa zresztą w filmie.

Mimo to „Bohaterowie Mandżurii" przemawiają mocnym, dramatycznym wyrazem i stanowią niewątpliwie przeżycie o dużym walorze artystycznym.

JJS.

Przegląd prasy

O PRAWDZIWE OBLICZE MAŁEJ ŚW. TERESY

Czytelnicy „Tygodnika Powszechnego" pamiętają zapewne piękny artykuł Jana Dobraczyńskiego o książce Van der Meerscha, w której nakreślił nowy portret św. Teresy od Dzieciątka Jezus, wywołując wielką polemikę i niejeden sprzeciw. Z pewnością więc zainteresują się i tymi uwagami, jakie na temat tej monografii czyni o. J. Majkowski w wakacyjnym numerze „Przeglądu Powszechnego", w bogatym i obszernie udokumentowanym artykule. Autor zgadza się na to, że *książkę Van der Meerscha czyta się jednym tchem, że dawno już nie pisano o świętych z taką miłością,* ale nie tai przy tym, że pod piórem pisarza biografia zamienia się w powieść (co podnosił już Dobraczyński), że każe nam on *przechodzić nad przepaścią swych ryzykownych konstrukcji,* że *niezwykle swoiście odcyfrowuje nieznane mu bliżej pismo ascezy i mistyki katolickiej.* Poznanie tych błędów i nieporozumień jest z pewnością rzeczą bardzo pouczającą, pokazuje nam bowiem, jakim wpływom ulega współcześnie mentalność katolickiej inteligencji zachodnio-europejskiej.

Z pewnością słuszna była tendencja Van der Meerscha, żeby odsentymentalizować postać małej świętej, uwolnić ją z nalotów czułostkowej nieudolnej hagiografii. Na to jest powszechna między jego krytykami zgoda. Zaznaczę tutaj od siebie niedostrzeżony przez dotychczasowych recenzentów fakt, że polska publicystyka uprzedziła pod tym względem flamandzkiego pisarza. Jeszcze blisko dwadzieścia lat temu, w swym doskonałym, choć mało znanym studium, przeprowadził u nas na łamach „Sodalisa" analogiczny rewizjonizm ks. Feliks Hortyński, który uwydatniając zdumiewające męstwo świętej, szczęśliwie uniknął przy tym tych niebezpieczeństw, jakie zagroziły Van der Meerschowi. Pokazanie bohaterskiego oblicza walczącej świętej było bezsprzecznie zamiarem słusznym, skoro od samego początku istniały na tym polu nieporozumienia. „Słowo Powszechne" w numerze 260 wydrukowało interesujący artykuł o. Noche, znakomitego znawcy św. Teresy, który wykazuje, że nawet niektóre współtowarzyszki św. Teresy nie doceniały tego heroizmu świętej, przypuszczając, że jej zalety były po prostu wrodzone — rozumowanie nie obce naiwnym hagiografiom dawnych czasów. O. Noche cytuje wyjęte z procesu kanonizacyjnego powiedzenie jednej z zakonnic: *Cóż można powiedzieć o osobie, która była przez całe życie psuta i nie zdobyła swej cnoty jak my, za cenę walk i cierpień? Ona jest słodka i dobra, ale taka jest jej natura.* Tymczasem wiemy z zeznań samej świętej coś akurat przeciwnego: *Nie mam natury łatwej* — *oświadczała Teresa jednej siostrze* — *tego może nie widać, ale ja to czuję. I mogę siostrę upewnić, że musiałam często walczyć i często cierpiałam. Nie było dla mnie jednego dnia bez cierpienia. Nikt w to nie może uwierzyć, skoro tego nie widział.* Niestety biograf św. Teresy nie ograniczył się do tego zagadnienia i ujął życie Teresy jako dramat, którego rozwiązanie *naprawdę tragiczne łączy się z modnym od czasów Van der Meerscha pojęciem „świętości — niepowodzenia". Wszystko w naszym życiu wewnętrznym ma według jego przekonań prowadzić do katastrofy, z której ucieczką jest „droga dziecięctwa", polegająca na znoszeniu swej poznanej nędzy.* Nie będziemy tutaj poruszać tych punktów, w których wcale wyraźnie argumentacja o. Majkowskiego pokrywa się z tezami Dobraczyńskiego, choć oba artykuły powstawały całkiem niezależnie od siebie. I tak zgodna jest przeprowadzona przez obu autorów krytyka tego przesadnie pesymistycznego obrazu klasztoru w Lisieux, niefortunnie skreślonego przez biografa, idącego tutaj za jednostronnymi relacjami. Zdaniem o. Majkowskiego, który powołuje się tutaj na bardzo dobrą, a późniejszą, niż Van der Meersha biografię św. Teresy pióra I. Görres *Karmel... w Lisieux, przedstawiał w rzeczywistości przeciętny, prowincjonalny klasztor, gdzie starano się za wszelką cenę służyć Bogu doskonale w myśl przyjętych ascetycznych wskazówek, chociaż gubiono się czasami w małostkowych przeżyciach zewnętrznych i wewnętrznych. Świat kultury, „świat duchowości", w jaki weszła Teresa, nie był niższy niż gdzie indziej, chociaż trudno go idealizować.*

Tak Dobraczyński jak i o. Majkowski stwierdzają, że największym mankamentem książki Van der Meerscha jest mylne przedstawienie tzw. „małej drogi", tj. systemu ascetycznego św. Teresy. Różnią się jednak od siebie naświetleniem motywów tego błędu. Jeśli Dobraczyński przyczynę jego widzi w pewnych związkach pisarza z egzystencjalizmem, to o. Majkowski upatruje je raczej w uleganiu ideologii protestantyzmu. Składowym bowiem elementem świętości u Van der Meerscha jest według o. Majkowskiego *li tylko poznanie swej własnej słabości, która — mimo heroicznych walk, jakie człowiek święty winien włożyć w osiągnięcie doskonałości — nigdy przezwyciężona być nie może. Bóg wymaga od nas jedynie tylko wysiłków, o których z góry wiemy, że są bezowocne.* Na tę Sokratesową drogę poznania samego siebie kładzie pisarz szczególny nacisk, jak o tym świadczą choćby takie cytaty, jak: *jej prawdziwą drogą była walka bezustanna, aby poznać samą siebie, aby siebie samej nie okłamywać.* (Święta) *walczyła mniej o to, by się przezwyciężać, niż o to, by się poznać. Stawiając sokratyczną tezę świętości* — replikuje na to o. Majkowski — *autor ...mówi konsekwentnie o niezmiernym wysiłku introspekcyjnym u świętej karmelitanki i przypisuje jej to, na co ona nigdy prawie nie zwracała większej uwagi. Ona co o miłości mówi i uczynkach miłości.* Dobraczyński w swym artykule zaznaczył, że rozłączenie świętości i doskonałości było szczególnym błędem Van der Meerscha. O. Majakowski wyjaśnia na czym to polega. Oto Van der Meersch zakłada jako rzekomy pewnik, że *Bóg nie żąda od nas niczego, żąda tylko naszego wysiłku i uznania naszej słabości* i twierdzenie *to posuwa aż do absurdalnego poglądu, przypisując św Teresie przekonanie, że Stwórca nie chce od nas niczego, co by świadczyło o najmniejszym postępie w zwycięstwie nad złem* i w następstwie tego sądzi, że w Teresie przetrwał grzech. *I to jest* — oświadcza krytyk — *niedopuszczalne. Cóż bowiem oznaczają słowa: Teresa zrozumiała, że świętość dostosowuje się do wszelkiej nędzy i wszelkiej podłości naszego serca! Świętość jest zaofiarowana wszystkim, nawet najbardziej przewrotnym, nawet nieuleczalnie upadłym. Byle tylko uznali swą niemoc. I byle walczyli bez oczekiwania zapłaty.*

Za element podstawowy świętości uważa autor konieczność *obnażania w nas zła i uznania naszej niemocy, by ją uleczyć,* wpadając tutaj już niedwuznacznie w ton teologii protestanckiej. Znamiennie dowodzi tego poniższe zdanie: *W ten sposób w człowieku upadłym, cudzołożnym, zboczeńcu... jest jeszcze dość elementów, by zeń uczynić świętego. Nawet wówczas, gdyby było za późno, aby stał się czymś innym niż człowiekiem upadłym, cudzołożnikiem, zboczeńcem. W czym* — zapytuje o. Majakowski — *Van der Meersch ma rację? To prawda, że dogłębne poznanie siebie odgrywa w życiu katolickiej ascezy niesłychanie ważną rolę. Ono bowiem* — *co słusznie Van der Meersch podkreśla* — *chroni człowieka przed zakłamaniem. Ale jest to stadium wstępne. Nie więcej. Kto by chciał z Van der Meerschem czynić tylko z odkrycia przepastnych ścieżek swych błądzeń i grzechów ideał chrześcijańskiej cnoty, znajdzie się bliżej Sokratesa niż Chrystusa. A nawet — mówiąc jeszcze ściślej — ten nigdy nie może należeć do szkoły Ewangelii.* I przenigdy nie da się pogodzić z katolickim dogmatem zdanie biografa, że *jesteśmy* (moralnie) *nieuleczalni, że Bóg nie wymaga doskonałości tylko wysiłku. Pius XI ujmuje krótko zasadniczą myśl ascezy i mistyki terezjańskiej: „Świadoma swej własnej słabości oddała się ufnie i przekazała Bożej Opatrzności, aby polegając jedynie na jej pomocy — mimo wszelkich trudności osiągnąć doskonałą świętość życia, do której postanowiła dążyć przez pełne i ochocze oddanie się woli".* — Lapidarnie formułuje autor w ten sposób różnicę między faktyczną drogą Teresy a wyobrażeniem o niej Van der Meerscha: *kochała więc czynnie! Tymczasem Van der Meersch zdaje się nie rozumieć innej miłości, jak tylko protestancką miłość bez uczynków.* W zakończeniu nie waha się — idąc za Lefèvrem — postawić mu zarzut, że *Teresę wystylizował na modłę bohaterek Prousta, Freuda, Mauriaca, Sartre'a czy Camusa.*

Nie wolno nam jednak zapominać — o czym wyraźnie wzmiankuje o. Majkowski — że autor z zajętego stanowiska się wycofał. W artykule z 11 lutego 1948 wyznaje: *żywię przekonanie, że istnieją nędze moralne nie do uleczenia i tylko połączenie dwu elementów: woli człowieka i łaski Bożej może je usunąć* i mówi o *ustawicznym triumfie świętości nad kuszeniami.*

J. M. S.

Z DNIA

W warszawskiej „Zachęcie" odbyła się staraniem Ministerstwa Kultury i Sztuki w porozumieniu ze Związkiem Polskich Artystów Plastyków, pierwsza ogólnopolska narada poświęcona ideologicznym i artystycznym problemom współczesnego plakatu polskiego. Narada, w której czynny udział wziął w.-min. Sokorski, wysunęła postulat realizmu socjalistycznego w plakacie, w oparciu o współczesne wzory radzieckie, chińskie i czeskie.

*

10 rocznica śmierci Tadeusza Boya-Żeleńskiego zamordowanego we Lwowie przez hitlerowców uczczona została przez Penclub Polski oraz przez Związek Literatów Polskich w Warszawie. Na zebraniu literackim Penclubu z udziałem min. Dybowskiego, przemawiał m. in. Arnold Szyfman. Program wieczoru zorganizowany przez Związek Literatów obejmował obszerny referat Jana Kotta oraz przemówienie Ireny Krzywickiej i Antoniego Słonimskiego.

*

Hilary D. C. Pepler, jedna z najciekawszych postaci katolicyzmu angielskiego, zmarł 20 września br. w Ditchling (Sussex), przeżywszy lat 73. Urodzony w 1878 r. w rodzinie kwakierskiej, nawraca się na katolicyzm w r. 1916. Poeta, dramaturg, dziennikarz, wydawca, drukarz, działacz społeczny, należy do kręgu ludzi skupiających się koło Chestertona i Hilarego Belloca. Jest „dystrybutystą", marzy o odrodzeniu i ratowaniu zagrożonego industrializacją rzemiosła. Wespół ze swym przyjacielem — rzeźbiarzem, grafikiem i typografem Erykiem Gillem zakłada w Ditchling swoistą spółdzielnię rzemieślniczą wydawniczo-drukarską i tam na ręcznej prasie, na ręcznie czerpanym papierze drukuje szereg cennych książek. Do bliskich przyjaciół jego należą: głośny malarz i grafik Frank Brangwyn, poeci katoliccy Wilfried i Alicja Meynell; w młodości spotyka wielkiego poetę katolickiego Francisa Thompsona. Dzieło pisarskie Peplera obejmuje tematy bardzo różnorodne. Dwie książki o sądownictwie dla nieletnich, utwory satyryczne, liczne utwory poetyckie, dramaty o Pilacie i o św. Dominiku. Pierwszy z nich — dramat pasyjny — był grany wielokrotnie. Głębokie zainteresowania teatralne Peplera dały szereg studiów. Był entuzjastą i promotorem teatru mimicznego, bez tekstu. Był też autorem licznych „utworów" mimicznych, m. in. wykonywanej wielokrotnie w Anglii i innych krajach „Drogi krzyżowej" mimicznej. W Ditchling zorganizował teatr lalek, z którym brał udział w międzynarodowym festiwalu marionetek w Liège w 1930. Więzy głębokiej przyjaźni łączyły go z zakonem dominikańskim, którego to zakonu był tercjarzem, podobnie jak jego przyjaciel, wielki artysta Eric Gill.

*

Louis Piérard, wybitny pisarz i poeta belgijski, zmarł nagle w Paryżu 3 listopada br. przeżywszy lat 65. Dziennikarz i podróżnik, krytyk teatralny i historyk sztuki, był zarazem politykiem: od roku 1919 aż do śmierci był posłem do parlamentu belgijskiego z ramienia Belgijskiej Partii Socjalistycznej. Był autorem szeregu dzieł: o Van Goghu, o Manecie, o współczesnym malarstwie belgijskim. Założyciel belgijskiego Penclubu, od 1948 r. był członkiem Belgijskiej Akademii Literatury. Organizował liczne wystawy artystyczne. Francję uważał za swoją drugą ojczyznę i dużą część swego życia spędził w tym kraju.

*

Wydarzenie artystyczne Krakowa stanowi od dawna oczekiwana premiera w Teatrze Rapsodycznym, pierwsza w nowym budynku teatru mianowicie „Aktorzy w Elzynorze". Montaż fragmentów sztuk Szekspirowskich: „Hamleta", „Henryka IV", „Wesołych kumoszek z Windsoru", „Romea i Julii" oraz „Makbet". Autorem nowego pięknego poetyckiego przekładu fragmentów Szekspira jak też i słowa wiążącego jest L. H. Morstin. Wyreżyserował widowisko dyr. Mieczysław Kotlarczyk, który gra rolę Hamleta. Piękne dekoracje są dziełem stałego scenografa Teatru Rapsodycznego Tadeusza Ostaszewskiego. Koncepcja przedstawienia jak i jego realizacja wzbudzają w Krakowie duże zainteresowanie. Przedstawienie stanowi niewątpliwie nowy etap w rozwoju wartościowej placówki artystycznej, jaką jest krakowski Teatr Rapsodyczny.

*

W Starym Teatrze w Krakowie odbyła się premiera głośnej komedii włoskiego klasyka Carla Goldoniego „Mirandolina" („Oberżystka") w reżyserii Ireny Babel, w nowym przekładzie Zofii Jachimeckiej, w dekoracjach i kostiumach Andrzeja Stopki, z ilustracją muzyczną opartą na włoskich motywach ludowych z XVIII wieku. Sztuka została napisana w XVIII wieku, a akcja jej toczy się również w XVIII wieku we Florencji.

*

Grupa polskich artystów dramatycznych i ludzi teatru wyjechała do Moskwy w celu zapoznania się z życiem teatralnym Związku Radzieckiego. W skład grupy wchodzą: dyrektor Centr. Zarz. Teatrów, Oper i Filharmonii Jerzy Pański, reżyserzy: Maryna Broniewska, Lidia Zamkow, Bohdan Korzeniewski i Janusz Warmiński, oraz aktorzy: Halina Mikołajska, Zdzisław Mrożewski i Jan Świderski.

*

Przebywający ostatnio w Związku Radzieckim zespół polskich artystów, w skład którego m. in. wchodzili: E. Bandrowska-Turska, W. Szpilman i W. Kędra, dał łącznie w Moskwie i Leningradzie 12 koncertów.

*

W wystawianej na scenie Teatru Wielkiego w Moskwie „Halce" Moniuszki, wystąpił gościnnie w roli Jontka polski artysta Bogdan Paprocki.

*

W Paryżu ukazał się (Gallimard) nowy tom pośmiertny pióra głośnej konwertytki „w stronę" katolicyzmu, Simone Weil. Nosi on tytuł „La condition ouvrière" (Dola robotnicza) i obejmuje kilka studiów płynących z gorącego współczucia dla losu proletariatu robotniczego i chęci odmiany tego losu. Najcenniejsza część tomu to dziennik prowadzony przez Simone Weil w czasie jej pracy w fabryce. Chcąc nie tyle nawet poznać co przeżyć los robotniczy, Simone Weil bierze w 1934 r. roczny urlop z uniwersytetu, na którym miała już poważne stanowisko, angażuje się do fabryki jako prosta robotnica i przez rok dzieli w pełni ów los robotniczy wraz ze wszystkimi upokorzeniami, bezrobociem, głodem. Powstały stąd „dziennik" stanowi gwałtowne oskarżenie ustroju kapitalistycznego z pozycji bardzo zbliżonych do chrześcijaństwa.

*

W związku z finałem Festiwalu Muzyki Polskiej przybyli do Warszawy dwaj kompozytorzy z Chińskiej Republiki Ludowej: Chang-Fe i Chang-Lu, oraz węgierski kompozytor Pal Kadosa, dziekan Akademii Muzycznej w Budapeszcie.

*

Wyświetleniem filmu „Miasto nieujarzmione" w Pradze, otwarty został czechosłowacki festiwal filmów polskich. Festiwal trwał będzie tydzień, do 14 grudnia br. Z okazji festiwalu bawi w Czechosłowacji delegacja Filmu Polskiego, w składzie: Danuta Szaflarska, Bohdan Hamera i R. Brudziński.

*

Olga Lepieszyńska, wybitny biolog radziecki, członek Akademii Nauk ZSRR, słynna badaczka „życia bezkomórkowego", obchodziła ostatnio 80-lecie urodzin.

*

Barbara Hesse-Bukowska, pianistka, laureatka II nagrody na ostatnim konkursie chopinowskim wyjechała na występy gościnne do Rumunii.

BEZ OGRÓDEK

„NAJWYBITNIEJSZY"

W 87 nrze „Nowej Kultury" Antoni Słonimski zamieszcza krótki artykulik poświęcony Boyowi-Żeleńskiemu. W nim czytamy:

Dość powiedzieć, że był najświetniejszym poetą satyrycznym, najlepszym tłumaczem, najznakomitszym krytykiem teatralnym, najwybitniejszym historykiem literatury i najgłośniejszym felietonistą swoich czasów.

Czy nie za dużo superlatywów jak na jeden panegiryk? Boy był niewątpliwie wybitnym człowiekiem — jego śmierć była bolesną stratą dla kultury polskiej. Nie powinno się jednak lekceważyć proporcji: z partyzanta nie można zrobić hetmana. Twierdzenie, że Boy był „najwybitniejszym historykiem literatury" jest niemal humorystyczne. Naturalnie — wszystko zależy od tego, kogo uważamy za historyka literatury. W każdym razie z pewnością więcej niż Boy zdziałali dla nauki tacy badacze jak np. Borowy, Brückner czy Kołaczkowski.

Zdaje się. że to Irzykowski powiedział w „Benjaminku": jakże każda prawda podminowana jest swoim zaprzeczeniem!

gaw.

NUTY

Podróże (jak wiadomo) kształcą: pojechałem do Poznania, byłem tam na koncercie i przeglądając program poznańskiej filharmonii, wydany na „Dni Mozarta" — uświadomiłem sobie nagle, czego brakuje nam ogromnie w krakowskich programach koncertowych. B r a k u j e n u t. Objaśnienia wykonywanych utworów — owszem — są: pierwszy temat, repryza, coda, to, tamto, wszystko pięknie — ale bez nut. Tymczasem w programie poznańskim wśród tekstu widnieją tu i ówdzie pięciolinie a na nich najprościej wypisane główne motywy poszczególnych tematów wykonywanych utworów. Miło i pożytecznie sylabizować sobie te motywy przed koncertem, odnajdywać je potem jak starych znajomych w gąszczu sonaty czy symfonii — i jakaż pomoc po koncercie: każdy chyba zna męczącą niemożność przypomnienia sobie słyszanego utworu; ale od czego program? Nuty poddają nam początek — muzyka stopniowo ożywa w pamięci i już koncert nam się „w duszy gra". Więc do skrzynki pomysłów filharmonii krakowskiej wrzucam pomysł poznański: prosimy o nuty w programach.

Jeszcze jedna rzecz podobała mi się w poznańskim programie: dobór anegdot, trafnie ilustrujących historyczny kontekst twórczości Mozarta. Np. taka anegdota:

Wydawca Hofmeister zwrócił się kiedyś do Mozarta: — Zacznij komponować bardziej popularnie, w przeciwnym wypadku niczego tobie nie wydrukuję ani nie zapłacę. — Na to Mozart: — Trudno. Będę więc głodował, ale sprzedać się nie dam.

Doskonały obrazek historyczny.

Ork.

O IDEĘ III CZĘŚCI „DZIADÓW"

Prof. Żółkiewski już kilka razy dawał na łamach „Życia Literackiego" całkiem swoiste syntezy polskiej literatury romantycznej, ze szczególnym uwzględnieniem naszych wieszczów. Ostatnio (w nrze 270) poświęcił osobny artykuł charakterystyce romantyzmu polskiego. Pewne zbyt ekscentryczne sądy, autora uległy teraz złagodzeniu. Spokojniej np. można uznać to, co obecnie mówi Żółkiewski na temat IV części „Dziadów" niż bardzo osobliwe jego wywody na ten temat, publikowane kilka miesięcy temu. Ale i teraz spotykamy się z sądami, które nie tylko nie mieszczą się w dotychczasowych sądach historii literatury — z czego oczywście nie myślę autorowi robić zarzutu —, ale są w ogóle, dla czytelnika znającego tekst romantyków, całkiem nieprawdopodobne. Oto np. pisze Żółkiewski o tym, że *w twórczości wielkich, postępowych romantyków znajdujemy rozprawę z samotnictwem i oderwaniem szlacheckiego rewolucjonizmu od narodu.* Nie zamierzam kwestionować tej tezy, chociaż tendencje powyższe przewijają się raczej wyjątkowo w niektórych jedynie działach owych autorów. Ale jakże ją uzasadnia Żółkiewski! Proszę tylko posłuchać: *To przede wszystkim przynosi III część „Dziadów" Mickiewicza i „Kordian" Słowackiego. Mickiewicz dwu drogom życiowym: samotnego prometeizmu i biernego mniszego zdawania się na siły nadprzyrodzone przeciwstawia drogę realną spiskowców, przyszłych żołnierzy powstania i siłę ludu, na którą ci żołnierze liczą. Artystycznie znajduje to wyraz w kontraście scen pełnych wspaniałego realizmu, scen poświęconych spiskowcom, żołnierzom i piętnowaniu feudalnego środowiska oraz scen mrocznej i często groteskowej fantastyki, poświęconych dramatowi fałszywych postaw wobec życia.* Że Mickiewicz potępił w „Dziadach" drogę samotnego prometeizmu, na to była dawno powszechna zgoda, ale gdzie u licha wyczytał Żółkiewski w tym utworze krytykę *biernego mniszego zdawania się na siły nadprzyrodzone?* (— to określenie może być chyba tylko aluzją do stanowiska Ks. Piotra). Gdzie znalazł krytyk w „Dziadach" przeciwstawienie czynu powstańczego koncepcji religijnego gwarancjonizmu, zarysowanej w „Widzeniu Ks. Piotra"? Zaznaczam tu dla uniknięcia nieporozumień, że nie myślę wcale kruszyć kopii w obronie mesjanizmu Mickiewiczowskiego. Tej koncepcji katolicyzm nie chce bynajmniej brać na własny rachunek. Ale idzie mi po prostu o zgodność z tekstem. Bo cokolwiek byśmy sądzili o słuszności mesjanistycznego stanowiska księdza Piotra, jedno wszelako jest pewne: nie ma w „Dziadach" ani jednego miejsca, które by dowodziło, że należy tę postawę rozumieć jako *bierne zdawanie się na siły nadprzyrodzone,* które wykluczałoby walkę orężną. Nie dosyć na tym. Niedługo po III części „Dziadów" powstaje „Pan Tadeusz" z głównym bohaterem patriotą-zakonnikiem, inspiratorem powstańczego czynu. Czy więc naprawdę prof. Żółkiewski wierzy, że postawę Ks. Piotra uważał Mickiewicz w „Dziadach" za fałszywą, że świat nadprzyrodzony był dla niego tylko *mroczną groteskową fantastyką?* Są to zaiste rewelacyjne tezy, ale czy godzi je tak zawieszać w powietrzu i wymagać od nas, abyśmy się godzili *jurare in verba magistri?*

Na marginesie jedna jeszcze, choć innego typu sprawa. W więziennym gronie filomatów widzi Żółkiewski spiskowców, przyszłych żołnierzy powstania(?). Rzecz oczywiście do dyskusji. Może by jednak podjął krytyk w tej sprawie polemikę z J. N. Millerem, który omawiając na łamach „Wiedzy i Życia" postawę filomatów, zapędził się na dokładnie przeciwny biegun?

J. M. S.

SZNURKOWE PARADOKSY

Mój znajomy chciał wysłać niewielką paczkę. Udał się więc na miasto (mieszka w Warszawie), aby kupić trochę sznurka. Chodził kilka godzin po wszelkich możliwych sklepach i wrócił do domu z niczym, błagając znajomych o pożyczenie, by w ten sposób wybrnąć z kłopotu. Sznurka nie dostał, ale czy dlatego, że go nie ma? Wprost przeciwnie, dlatego, że jest go za dużo. Że jest go za dużo w kłębkach, które sprzedają sklepy MHD (najmniejszy z nich waży 65 gramów, a kosztuje około 30 złotych). Nic też dziwnego, że amatorów jest niewielu — przeciętny zjadacz chleba woli 30 zł. wydać na coś bardziej atrakcyjnego niż sznurek, który może mu się wprawdzie kiedyś przydać, ale tymczasem zajmuje miejsce, którego w mieszkaniu nie ma za wiele.

ol. por.

Łopatą do głowy

Tak i owak

Na początek przytoczę pewną starą anegdotkę. — Powiedz mi, jak się mówi: **bez czy przez?** — Można i tak i tak. — Jakto?! — Ano tak. Można przecież powiedzieć: **„Pan Antoni umiera przez kobiety"**, można również powiedzieć: **„Pan Antoni umiera bez kobiety".** No nie?

Istnieje podobna anegdotka bardziej współczesnego pochodzenia (więc już właściwie nie anegdotka lecz kawał) na temat nosa i teorii względności, lecz ze względu na powagę (śmiertelną) miejsca opowiedzieć ją należy w wersji złagodzonej. **A:** — Panie, co to takiego ta teoria względności? **B:** — To taka teoria, że każda rzecz może być jednocześnie i taka i nie taka, czyli owaka. **A:** — Jakto?! **B:** — Zwyczajnie. Jeżeli na przykład pan mi wsadzi nos do ucha, to jest i tak i owak, bo ja mam nos w uchu i pan ma nos w uchu. (W oryginale nie chodziło o ucho — ale to nie ważne.)

W jakim celu przytoczyłem dwie powyższe anegdotki, a raczej anegdotkę i kawał? W tym celu, aby uzmysłowić czytelnikom psychikę niżej podpisanego, a także jego sposób widzenia spraw i rzeczy. Widzę wszystko podwójnie, a czasem potrójnie i poczwórnie, lub nawet popiątnie, poszóstnie i posiódemnie, niekiedy poósemnie, podziewiątnie i podziesiątnie, jeśli już nie pojedenastnie, podwunastnie i — co raczej niekorzystne — potrzynastnie. Słowem — wielokrotnie. I znów przypomina się kawał. Do baru, gdzie mocno zaprószony jegomość drzemie nad kieliszkiem, wchodzi dwóch ogromnie do siebie podobnych braci-bliźniaków. Obudzony pijak wytrzeszcza na nich zdumione oczy. — Niech się pan nie peszy — powiada doń jeden z braci — my jesteśmy bliźniętami. — Jakto? — sepleni osłupiały alkoholik: — **panów czterech?!**

Ale przestańmy ze starymi kawałami. Gałczyński twierdzi, że „słowa jesień mają, tak jak ludzka dusza" („mówi Horacjusz. Ojciec lubił Horacjusza"). Kawały też mają swoją jesień — nie budząc więc już staruszków z siwymi brodami — przejdźmy do rzeczy.

Rzecz polega na tym, że jest jej dwie i jeszcze trochę, a więc kilka(naście). Nie wierzę w jedną rzecz, lecz patrzę na każdą rzecz antynomicznie, dualistycznie, trualistycznie i czterolistycznie (czy **wierzycie** w czterolistną koniczynę?) oraz antagonistycznie (nie znaczy to w tym wypadku: niechętnie, lecz dopatrując się, w myśl wyłuszczonej powyżej teorii względności, wewnętrznego rozdwojenia, roztrojenia, rozczworzenia, rozszczurzenia itd.). Kiedy **ktoś na pytanie;** — Ilu was jest?, odpowiada: — Raz! — nie wierzę **mu ani w ząb.** Wraz z Chwistkiem wierzę w wielość rzeczywistości a także w wielość jedności czyli jedność wielości; przecież znane powiedzenie: chcesz w zęby? skierować można i do człowieka, który ma jeden ząb, a więc ząb i zęby to jedno, tak jak „drzwi" oznaczają zarówno połowę drzwi jak jedne drzwi, dwoje drzwi, czworo drzwi, ośmioro drzwi i tak dalej (pora kończyć o tym, bo niejaki Ali z „Tygodnika Powszechnego" zgromi mnie gniewnie a majestatycznie, tak jak zgromił (patrz „Słowa z gutaperki" nr 349) pewnego nieboraka (na komara z szablą) za niewinną a zabawną igraszkę słów: ile ma lat? — *il est malade.* Jakiż poważny ten „Tygodnik" i ten Ali — aż dziwię się, że z pełnym poczuciem odpowiedzialności za słowo wymyślając ludziom od „głupawych kalamburów", przybrał sobie taki kalamburzasto-snobistyczny pseudonim (Ali — pal, czyli: A — lipa!); jak powaga, panowie, to powaga, nobles — obliż!).

Otóż do rzeczy! Gdy mnie ktoś zapyta, jaki mam pogląd na jakąś kwestię, odpowiadam: taki i zarazem owaki, ewentualnie jeszcze jaki i w ogóle wieloraki. Widzę rzecz kilkakrotnie choć jednocześnie, niczym w paru lustrach. Gdy widzimy lustrzane odbicie czterech panów, przeglądających się w lustrze, z których każdy trzyma w każdym ręku po dwa lustra, to ile odbić luster widzicie? (nb. jak wygląda odbicie lustra w lustrze?). Nie wiecie! Ja też nie wiem, ale za to uzmysłowiłem Wam waszą i moją czyli naszą niewiedzę, rozczworzyłem, rozpiętnastniłem czy zgoła rozsiedemdziesiątniłemszóstniłem Waszą uwagę na te wszystkie lustra. A o to właśnie mi chodzi!

Powiecie, że to absurd, bzdura, a co najwyżej „trick" zdegenerowanego i nadgniłego (od głowy) *quasi* sztukmistrza. Nie kochani! Każda rzeczywistość ma w sobie zadatki na wielokrotną sprzeczność: patrzymy przecież na nią oczami, a oczy są jak lustro, w którym wszystko odbija się odwrotną stroną. Zaraz dam Wam przykład dwoistej sprzeczności, jaką popełniliście już w czasie czytania niniejszego felietonu. Gładko przełknęliście zdanie o dwóch bliźniakach **podobnych do siebie,** nie widząc w nim żadnego nonsensu. A co, najmilsi, powiecie na takie, analogiczne przecież w założeniu, zdanie: — Patrz, jakie te kelnerki do siebie podobne; **a zwłaszcza ta, co nam podaje!**

Taką gwoździkową metodą pisany był również mój felieton jubileuszowy pod tytułem: „222". Już sam tytuł zawierał zaszyfrowaną wskazówkę, iż w felietonie zawierają się (zawierał — zawierają) co najmniej dwa sensy, dwa znaczenia. Tytuł ten bowiem czytać należało nie jako 222, lecz jako: 2! 2?! 2!!!, czyli nie jako dwieście dwadzieścia dwa, lecz jako: dwa! dwa?! dwa!!!

Niestety wyraźną tę wskazówkę zlekceważyli dwaj (!! — *nomen omen*) felietoniści „Dziś i Jutra", którzy replikowali na ten felieton (felietoniści — felieton). A raczej — pardon madam! (mordą padam — jak mówi Ali; była też taka piosenka Panufnika: „Ach pardon, och pardon, żegnam Panią, poszła won!"), a raczej powtarzam, dwaj replikowali lecz jeden z nich nie zrozumiał. Pierwszy bowiem, sygnowany jako Przyjaciel, postąpił sobie z chwalebną dwoistością: zrozumiał sens podwójny, lecz udał, że nie rozumie i polemizował z pojedynczym. Drugi natomiast — Bogumił Kolec, zrozumiał tylko pojedynczy — polemizował więc podobnie jak poprzedni, z pojedynczym, lecz z jednością w duszy, gdy pierwszy rozdwoił się jak język węża.

Dlaczego, panie Kolec?! Mieni się Pan uczniem Irzykowskiego, a ten nakazywał pisać o jednym i tym samym utworze dwukrotnie: chwaląco i ganiąco. A przecież sama nazwa „Dziś i Jutro" nasuwa skojarzenia zwielokrotnione jak w lustrze. Jutro dzisiejsze jutro jest jutrzejszym dziś, a dzisiejsze dziś to jutrzejsze wczoraj, pojutrze popojutrze jest jutrem a jutrzejsze jutro jest pojutrzejszym dziś, popojutrze... Albo ów cytowany przez Irzykowskiego w „Walce o treść" („Zdobnictwo w poezji. Rzecz o metaforze") napis w szynku: **„Dziś za gotówkę, jutro na kredyt"**, napis aktualny na co dzień, bo co dzień jutro jest jutrem, a jutrzejsze dziś to jutro właśnie dziś. Jaka szkoda, panie Kolec, że pan nie myśli antynomicznie!

I to mnie boli, to mnie gniewa, to mnie nęka
jak mówi stara rumba.

Kisiel

Ps. Polemizuję z panem dwa razy: pierwszy i ostatni.

TYDZIEŃ PRASY POLSKIEJ

FILOZOFIA, PSYCHOLOGIA, SOCJOLOGIA: **Jerzy Adamski:** Filozof Diderot, N o w a K u l t u r a 48

LITERATURA: **Jerzy Andrzej Górski:** O literaturze katolickiej raz jeszcze, D z i ś i J u t r o 48; **Alfred Gerard:** Nad „Doktorem Faustusem" Tomasza Manna, jw; **Roman Zimand:** O szkicach krytycznych Melanii Kierczyńskiej, N o w a K u l t u r a 48; **Kazimierz Wyka:** „Spotkanie z Salomeą" (M. Jastrun), jw.

TEATR: **Irena Schillerowa:** Wyniki dyskusji o puściźnie K. S. Stanisławskiego, T e a t r 9—10; Festiwal polskich sztuk współczesnych: artykuły **T. Łomnickiego, M. Rusinka, I. Babel, W. Biegańskiego, I. Kamieńskiej, J. Kaliszewskiego, G. Buszyńskiego, J. A. Szczepańskiego,** jw; **August Grodzicki:** Uwagi o dwóch inscenizacjach Leona Schillera, jw; **Stanisław Dąbrowski:** Kazimierz Kamiński o sobie; jw.

PRZYRODA I TECHNIKA: **Maciej Czarnowski:** Po co tworzy się zadrzewienie w Związku Radzieckim, P r o b l e m y 11; **Henryk Senkowski:** Niezwykłe jeziora w Związku Radzieckim, jw.

REPORTAŻE I SPRAWOZDANIA: **Aleksander Rogalski:** Katholikentag 1949—1950, D z i ś i J u t r o 48; **Ignacy Rutkiewicz:** Ludzie „źle myślący" (nowe środowisko katolickie we Francji), jw; **Józef Łucki:** Moskwa zmienia sylwetę, P r o b l e m y 11.

PLASTYKA: **Kazimierz Rakowski:** Sztuka chińska, P r o b l e m y 11.

KSIĄŻKI NADESŁANE

TEKSTY KLASYKÓW

Molier: MIZANTROP. Przeł. i opr. Tadeusz Boy-Żeleński. Wyd. III. Biblioteka Narodowa, nr 2. Seria II. Wyd. Zakł. Narod. im. Ossolińskich. Wrocław. Str. 110.

Carlo Goldoni: SPRYTNA WDÓWKA — ZAKOCHANI. Komedie w 3 aktach. Przeł. Zofia Jachimecka. Wstępem i objaśnieniami opatrzył Mieczysław Brahmer. Biblioteka Narodowa, nr 64. Seria II. Wyd. Zakł. Narod. im. Ossolińskich. Wrocław. Str. 322.

J. I. Kraszewski: BRUHL. Opowiadanie historyczne. Opr. Józef Feldman. Wyd. II. Biblioteka Narodowa, nr 114. Seria I. Wyd. Zakł. Narod. im. Ossolińskich. Wrocław. Str. 369.

Juliusz Cezar: O WOJNIE DOMOWEJ. Przeł. i opr. Jan Parandowski. Okł. proj. J. S. Miklaszewski. Nakł. sp. wyd.-ośw. „Czytelnik" 1951. Str. 143.

Józef Ignacy Kraszewski: STAROŚCINA BEŁSKA. Opowiadanie historyczne 1770—1774. Okł. proj. A. Heidrich. Nakł. sp. wyd.-ośw. „Czytelnik", 1951. Str. 226.

Józef Ignacy Kraszewski: SZALONA. Powieść. Wstępem poprzedził Z. Mitzner. Okł. proj. A. Heidrich. Nakł. sp. wyd.-ośw. „Czytelnik", 1951. Str. 240.

Henryk Sienkiewicz: DRAMATY. Seria: Dzieła. Wyd. zbiorowe pod red. J. Krzyżanowskiego. T. XXXIX. Nakł. Państw. Inst. Wyd. Warszawa 1951. Str. 158.

Henryk Sienkiewicz: WIERSZE I INNE DROBNE UTWORY. Seria: Dzieła. Wyd. zbiorowe pod red. J. Krzyżanowskiego. T. XL. Nakł. Państw. Inst. Wyd. Warszawa 1951. Str. 171.

Henryk Sienkiewicz: LISTY Z PODRÓŻY I WYCIECZEK. Seria: Dzieła. Wyd. Zbiorowe pod red. J. Krzyżanowskiego. T. XLIV. Nakł. Państw. Inst. Wyd. Warszawa 1950. Str. 272.

HISTORIA, BIOGRAFIE

L. Gronowski: POLACY WE FRANCUSKIM RUCHU OPORU. Okł. proj. R. Sidorowski. Wyd. „Prasa Wojskowa", Warszawa 1950. Str. 51.

N. Artemjew: WYZWOLENIE WĘGIER PRZEZ ARMIĘ RADZIECKĄ. Przeł. W. Zaczkiewicz. Wyd. „Prasa Wojskowa". Warszawa 1950. Str. 87.

Henryk Stamirski: JÓZEF SZUJSKI I JEGO KONTAKTY Z SĄDECCZYZNĄ. Odbitka z Rocznika Sądeckiego. T. II. Nowy Sącz 1949. Str. 46.

Kazimierz Tymieniecki: ZIEMIE POLSKIE W STAROŻYTNOŚCI, LUDY I KULTURY NAJDAWNIEJSZE. Pozn. Tow. Przyj. Nauk. Wydział historyczny i nauk społecznych. Nakł. Pozn. Tow. Przyj. Nauk. 1951. Str. 834.

Kazimierz Opałek: ZNACZENIE I ROZWÓJ NAUKI W POLSCE W XVIII WIEKU. Dział historyczny „Wiedzy Powszechnej". Wyd. Popularno-Naukowe. Nakł. sp. wyd.-ośw. „Czytelnik" 1951. Str. 51.

N. Garnicz: BITWA POD BORODINO. Przeł. J. Rozenberg. Okł. proj. J. Wagnerowa. Wyd. Min. Obrony Narod. Str. 43.

Witold Łukaszewicz: STANISŁAW GABRIEL WORCELL. Okł. proj. R. Sidorowski. Wyd. Min. Obrony Narod. Warszawa 1951. Str. 51.

KSIĄŻKI I BROSZURY AKTUALNE

John Peet: WYBRAŁEM POKÓJ. Przeł. A. Szemiński. Okł. proj. Anna Hoffmannowa. Wyd. „Prasa Wojskowa". Str. 24.

M. Rubanow: IDEOLOGIA AMERYKAŃSKIEGO MILITARYZMU. Przeł. J. Nowacki. Okł. proj. R. Sidorowski. Wyd. „Prasa Wojskowa". Str. 69.

B. Rozanow: WALL STREET. Przeł. M. Beringowa. Okł. proj. A. Hoffmann. Wyd. „Prasa Wojskowa". Str. 113.

Anna Rochester: POCZĄTKI KAPITALIZMU AMERYKAŃSKIEGO. Przeł. J. Meysztowicz i H. Stasiak. Okł. proj. M. Rudnicki. Nakł. sp. wyd.-ośw. „Czytelnik". 1951. Str. 129.

Wydawcy i autorzy, pragnący, by książki ich były omawiane w „TYGODNIKU POWSZECHNYM", proszeni są o nadsyłanie swych wydawnictw do redakcji, o ile możności w dwóch egzemplarzach. Wszystkie te wydawnictwa będą przed recenzją odnotowane w specjalnej rubryce „Książki nadesłane".

Prenumeratę miesięczną 3 zł, lub kwartalną 9 zł przesyłać na adres: — P.P.K. „Ruch" — „Tygodnik Powszechny", Kraków, ul. Lubicz 42, konto P.K.O. IV-9684/110. Ogłoszenia w cenie 4.50 zł za 1 mm wysokości, 1 szpalta szerokości oraz inne wpłaty nie dotyczące prenumerat, przyjmuje Administracja „Tyg. Powsz.", konto P.K.O. IV 198 113. Wydawca Kuria Metropolitalna Krakowska. — Redaktor: Jerzy Turowicz. — Adres Redakcji i Administracji: Wiślna 12, tel. Redakcji 576-40. Administracji [illegible]. Redakcja przyjmuje tylko od 11.30-13 Administracja od 9 do 13. — Krakowska Drukarnia Prasowa, Przedsiębiorstwo Państwowe, Kraków, ul. Wielopole 1. M—2—20847

104

Odcinek dla odbiorcy

zł 5000.-

Adresat Ob.
Artur Chojecki
Kraków, Helclów 4

Nadawca
I. Misiewska
W-wa, Cicha 3-8

Dzień nadania



Wypłacono
przelano na rach. P.K.O. } dnia ....

Nr ....

podpis

Miejsce
na korespondencję

Kochany Dziadziuniu, przepraszam za skromną przesyłkę w formie paczki małej z cukrem. Czy nioła są jeszcze potrzebne, czy je zażywasz? Jadąc do Krynicy mogę przywieźć więcej czego ci potrzeba, tylko napisz. Wyjadę ok 6-go października. Całuję i ściskam

Irma

06-9-02

Poczt. Zakł. Graf. Łódź i. p. 39

KARTKA POCZTOWA

B.J 105





WARSZAWA 2
18.9.50

WRZ...
TWÓJ ...
BUDUJE W...

...W KRAJU I POKÓJ

NADAWCA: J. Mińkowska
W-wa
Cicha 3-8

Wielmożny Pan
Piotr Grzegorczyk
Kraków
ul. Słowackiego 30 m 6.

może być przykre - Obawiam się że się zmieniła na gorsze stosunek najbliższego jego otoczenia, czy nie pozbawią go należytej opieki. Posłałam 5.IX. pieniądze (5 zł 15.) i trochę cukru. Czy to w obecnej sytuacji dociera do rąk właściwych p. Chojęckiej, lub do tego powołanych. Zwracam się do Pana, wiedząc o jego dużej życzliwości i oczekuję łaskawej odpowiedzi. J. Mińkowska

czy paczka dop. Chojęckiej?
czy całe mu doręczona?

P.P.T. i T. – II.50 – 6.000.000 – 7.

Warszawa, 17.IX.50 r.

Szanowny Panie,

Czy zechciałby Pan napisać mi wszystko o p. Chojeckim i jego obecnym stanie zdrowia. Otrzymałam dość dawno kartkę skreśloną inną ręką, a wczoraj naraz dwie koperty bez listów, a na kopercie kilka słów pisanych własnoręcznie przez p. Chojeckiego w dość dziwnym układzie. Równocześnie nasza wspólna znajoma p. Grabowska otrzymała podobną kopertę z pomieszanym adresem i nazwiskiem moim i jej. Jeżeli to taki już ciężki stan umysłu, to także smutny los tego drogiego człowieka, z którym obcowanie

Wielki Trątek
11.IV.52 r.

Wielce Szanowny i Miły Panie Piotrze,

Piszę leżąc w łóżku, niestety na same Święta. Rekonwalescencja zapowiada się dosyć długa. Przebyłam coś w rodzaju zapalenia płuc, ogólne powikłania utrudniają powrót do zdrowia. Stan był dosyć ciężki, penicilina zastosowana w dużej dozie – od razu 300.000 – a następnie 3 po 100.000 (zresztą omyłkowo z powodu braku wykwalifikowanej pielęgniarki) zlikwidowała stan zapalny – trawienie cało zaszwankowało – Miałam b. ciężkie przeżycia psychiczne na tle obecnych trudności w pracy – Zostałam zredukowana pomimo swego inwalidztwa (w 60%) nabytego przy pracy, za oblicze –, mówi się brak uświadomienia politycznego, a w istocie dla osobistych względów, a raczej z powodu urażonej miłości własnej pewnego dygnitarza partyjnego.

Bolesne to i krzywdzące – pozbawia mnie pracy inteligentnej i ciekawej, środowiska sympatycznego, warunków lokalowych i zarobku względnie dobrego –

Nadmiar tego traci resztę sił fizycznych. Nie mogę już myśleć o powrocie do pracy z ustawiczną dyscypliną i stosunkami. Będę starała się

coś robić w domu. Bodaj na maszynie przepisywać, tylko trzeba ją kupić; jakieś prace zlecone – polecam się, gdyby Panu było co wiadome, że dopiero od czerwca lub lipca – Tymczasem przyznano mi rentę wypadkową, ~~nie~~ 180 zł. czasowo, więc będę miała prawo do świadczeń lekarskich.

Z przyjemnością śledzę Pana prace bibliograficzne w Tygodniku Powszechnym, który mi zawsze do mnie dociera – Podziwiam wszechstronność ujęcia i bogactwo źródłowych danych, co świadczy o Pana iście benedyktyńskiej pracy –

Przesłałam skromną cegiełkę do budowy nagrobka ś.p. Artura [illegible] na ręce profesorowej Rogalskiej", czy zbiórka zakończona?
Czy Pan jest w posiadaniu pamiętnika „[illegible]", czy ma Pan zamiar go opublikować, sądzę, że to będzie trudne narazie. Z ilu stron się składa rękopis, chciałabym bardzo go przeczytać, może przy okazji swojej bytności w Kr-wie mógłby Pan mi użyczyć na parę dni dla przeczytania –

Pozostaje mi wyrazić Panu i najbliższym Pana serdeczne życzenia „Wesołego Alleluja" Zdrowych i pogodnych ze wszech miar świąt –

Łączę serdeczne pozdrowienia

J. Wiśniewska

ZAWA 2
4. 52. 19
ac

W...
12. 4. 52. 19
ac





107

Pan

Piotr Grzegorczyk

Kraków

ul. Słowackiego 30 m. 6

W-wa 1, ul. Cicha 3 m. 8

108

1. II. 1953 r.

Szanowny i Drogi Panie Doktorze,

Dziękuję serdecznie za przysłanie mi dowodu prawdziwej pamięci przyjaciół śp. Artura Chojeckiego i jakiego zachodu, by mu ofiarowali, na co tak zasłużył, ten estetyczny pomniczek na jego mogile.

Wiem, że nie przywiązywał na swój sposób żadnego znaczenia do tych spraw, ale i na inny pomnik z jego dorobku literackiego przyjdzie czas.

Zdziwił Pana zapewne zdeterminowany ton mego ostatniego listu - zostałam bowiem zdyskwalifikowana jako czynnik [illegible] niebezpieczny dla kultury [illegible]; wyczerpana żyłam do ostateczności pod względem nerwowym, zapadłam w rezultacie poważnie na zdrowiu... i przechorowałam całą jesień - niemal trzy miesiące, nie wiedząc właściwie co mi jest. To był bardzo ciężki okres, bo Matka moja również odchorowała moje niepowodzenia i moje niedomagania. O przystąpieniu do jakiejkolwiek pracy zawodowej nie może być nadal mowy, ze względu właśnie na Matkę, która jeszcze ciągle przebywa w łóżku. Sama zaś jestem właściwie rekonwalescentką po zakażeniu

gruźlicy m, o czym wcale nie wiedziałam
Straciłam dużo na wadze i wyglądzie, przy
trudzie domowej pracy i ciężkim niedożywieniu
skorej nie łatwo jest to odzyskać —
Pomimo trudności finansowych nie
utraciłam spokoju, żyję tylko z renty, która
wynosi aż 180 zł. Mama ma dwa razy
mniej, musimy się z zamiarem wyprzedaży
wartościowszych przedmiotów w zakresie
starych sprzętów, odzieży itp. —
Renta jeszcze przysługuje ponieważ ręka
uzyskała aż 30% niezdolności do pracy
w ostatnim orzeczeniu ~~[illegible]~~, sądzę,
że internista uzna ogólnie też 30% niedołęstwa.
Wobec szybko [illegible] się [illegible] wszystkie
to na zupełny zanik energii, której kiedyś duży
zasób włożyłam w swoją pracę na terenie
Min. Kultury i Sztuki. Może jeszcze ją odzyskam?

Dawno już nie mam możności nabycia
Tygodnika Powszechnego, sądzę że nadal
wychodzi. Przeżywamy ciężkie chwile
w związku z wypadkami, które nie każą
na siebie czekać.

Mam nadzieję, że osobiście nie spotkała
Pana żadna przykrość.
Łączę wyraz najbardziej przyjaznym
szczerym [illegible] pozdrowienia.
Irena Misiewska